

HISTORIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2015/5

URODZINY MISTRZA

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

GOŚĆ SPECJALNY:

KUKASZ RADECKI

CZŁOWIEK TRUMU
E. A. POE

ANOMALIA | JAK SEODKO PACHNIE AKACJA
KREW NA ŚNIEGU | NA GRANICY MIASTA
OBRACHUNKI FATIMSKIE | OGRODNICZKA
PLON | SĘDZIA DAGO | WĄPIERZ
ZA WYJĄTKIEM BIAŁYCH KOŚCI

SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
ANOMALIA	Karol Zdechlik	5
JAK SŁODKO PACHNIE AKACJA	Alicja Tempłowicz	10
KREW NA ŚNIEGU	Lena Kozłowicz	18
NA GRANICY MIASTA	Piotr Borowiec	27
OBRACHUNKI FATIMSKIE	Przemysław Karbowski	45
OGRODNICZKA	Łukasz Radecki	57
PLON	Dariusz Węgrzyniak	67
SĘDZIA DAGO	Paweł Cieliczko	82
WĄPIERZ	Krystian Janik	100
ZA WYJĄTKIEM BIAŁYCH KOŚCI	Artur Frysztacki	111
CZŁOWIEK TŁUMU	Edgar Allan Poe	127
Urodziny Mistrza	Eliza Krzyńska-Nawrocka	136

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Dawid Boldys, Paweł Chmielnicki, Stanislav Lament,
Roman Panasiuk

Korekta: Dagmara Adwentowska

email: magazynhisteria@gmail.com

Witajcie!

Wspólnie z Wami doczekaliśmy numeru dziesiątego. Cieszy nas to tym bardziej, że wydanie przypada w dniu urodzin Stephena Kinga. Z tej okazji oprócz dziesięciu nowych Histerii mamy dla Was artykuł Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej poświęcony Królowi Horroru. Oprócz tego, w ramach przypominania klasyki przeczytacie opowiadanie E.A. Poe – „Człowiek tłumy” w doskonałym przekładzie Bolesława Leśmiana.

Pamiętacie jeszcze „Tuż obok piekła” Łukasza Radeckiego? Po roku autor powraca do nas jako gość specjalny z nowym opowiadaniem „Ogrodniczka”, które nie było wcześniej nigdzie publikowane.

Czekają na Was również cztery opowiadania laureatów konkursu „Cztery pory grozy” poświęconego porom roku. Jak się okazuje, lato też może zmrozić krew w żyłach.

W dziesiątej Histerii jest trochę weird fiction, trochę wampiryzmu i erotyzmu. Znalazło się również miejsce dla tekstu w cthulhowo-lovecraftowskim klimacie. Takich autorów jak: Przemysław Karbowski, Piotr Borowiec czy Paweł Cieliczko na pewno znacie z poprzednich numerów.

A już na następnej stronie znajdziecie wywiad z Przemysławem Kyrzczem, który po raz drugi został Histrykiem Miesiąca. Komu przypadnie następny tytuł? To już będzie Wasza decyzja. Ale najpierw zapoznajcie się ze wszystkimi opowiadaniem, wpadając z każdą kolejną stroną w histerię!

Życzymy strasznej lektury, a my jak zwykle – wracamy do pracy nad kolejnym, tym razem listopadowym numerem!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA



Przemysław
Kyrcz

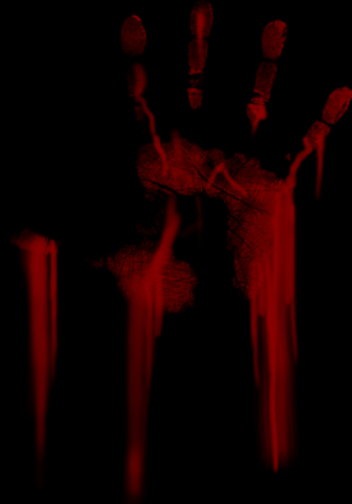
Od mojego ostatniego spotkania z czytelnikami Histerii nie zmieniło się wiele, a w zasadzie nic. Piszę, czytam, staram się być dobrym mężem i człowiekiem. Pracuję nad zbiorem opowiadań i kilkoma innymi projektami. W wolnych chwilach poświęcam czas rodzinie i mojej kotce. Pozdrawiam wszystkich czytelników!

Głosami naszych czytelników zostałeś po raz drugi Histerkiem Miesiąca. Jakie to uczucie?

Najpierw chciałem podziękować wszystkim za oddane głosy. Tym razem wynik głosowania otrzymałem od redakcji podczas urlopu w Polsce, więc ten tytuł kojarzy mi się jak najbardziej wakacyjnie i wywołuje uczucia związane z latem i relaksem. Chciałem w tym miejscu podziękować mojej żonie Justynie za to, że motywuje mnie do pisania. To ona po publikacji „Smakosza” dopingowała mnie jak nikt inny do dalszej pracy. Podziękowania należą się też moim pierwszym czytelnikom, Mateuszowi i Damianowi. To oni jako pierwsi czytają wszystko, co napiszę. Ich opinie są zawsze dla mnie bardzo cenne.

„Wyobraźnia” czy „Smakosz”? Z którego opowiadania jesteś bardziej zadowolony i dlaczego?

Podobno wszystkie swoje dzieci należy kochać jednakowo. „Smakosz” i „Wyobraźnia” to dwa zupełnie inne opowiadania. Opowieść o wyrafinowanym kucharzu powstała z mojej czystej ciekawości sprawdzenia, jak to jest w świecie gore. Od tamtego czasu się tam nie zapuszczałem, chociaż czułem się w nim komfortowo, i pewnie jeszcze nieraz się tam zapuszczę. Jeśli chodzi o „Wyobraźnię” to drzewo obwieszone maskotkami naprawdę istnieje. Rośnie przy deptaku na Weston Shore w Southampton. Zauważyłem je pewnego dnia podczas spaceru z moją żoną. Reszta przyszła sama, kilka dni później i jak zwykle... nie wiem skąd.



Z którymi pisarzami chciałbyś znaleźć się w jednej antologii?

Hmm... jeśli chodzi o polską scenę grozy, to na pewno Stefan Darda, Łukasz Orbitowski, Dawid Kain i Jakub Żulczyk. Bilety na ich „wycieczki” zawsze kupuję w ciemno, bo wiem, że podróż będzie pełna wrażeń. Jeśli chodzi o autorów anglojęzycznych, to oczywiście mistrz Stephen King, Graham Masterton, Edward Lee, Robert McCammon, John Everson i Jack Ketchum. Mam nadzieję, że kiedyś moje nazwisko zagości w spisie treści obok ich nazwisk.

Pisanie jest dla mnie...

Ucieczką do mojego świata, w którym czuję się bezpiecznie. Nie zawsze jest to świat przyjemny, ale znam go i wiem, co spotka mnie za zakrętem. Czasem codzienność jest największym z potworów, i myślę, że każdy ma takie swoje miejsce, gdzie może się przed nimi ukryć. Dla mnie jest to pisanie. Jest też czymś, bez czego nie mógłbym funkcjonować. Piszę, bo jest to coś, co lubię. Jest to coś mojego, co tworzę od początku tak, jak chcę.

Gdzie można jeszcze przeczytać Twoją twórczość?

Do tej pory „Histeria” była moją areną. Dała mi szansę zaprezentowania się szerszemu gronu. Jestem też aktualnie w kontakcie z magazynem „Szortal na wynos”, w którym ukaże się moje opowiadanie. O dacie premiery oczywiście powiadomię Szanownych Histeryków. Myślę, że do końca roku zakończę prace nad zbiorem opowiadań i zacznę poszukiwania wydawcy. Jeszcze raz dziękuję czytelnikom za głosy oddane na moje opowiadanie. Pozdrawiam!



ANOMALIA

Karol Zdechlik

Oczywiście zdawałem sobie sprawę ze stale i nieubłaganie narastającej siły Anomalii, ale zbagatelizowałem wszystkie niepokojące symptomy. Gdy drzwi do mojego mieszkania zniknęły z parteru, pozostawiając na swoim miejscu jednolitą, aczkolwiek nieco gąbczastą ścianę, stało się dla mnie jasne, że jest już za późno. Postanowiłem, zupełnie wbrew zdrowemu rozsądkowi, zostać w bloku do końca.

Udało mi się zachować obojętność wobec dziwacznych zmian przemieniających już nie tyle mój blok, co całe miasto, a może i świat, według tylko sobie znanej logiki – lub jej braku. Zastanawiam się, jak udało mi się nie oszaleć w zetknięciu z manifestującymi się otwarcie przejawami narastającej Anomalii, skąd znalazłem w sobie na tyle wewnętrznej równowagi, by móc to wszystko przetrwać i odnotować, ogarnąć zimnym okiem, jakby postępujące we wrażliwej tkance rzeczywistości odkształcenia w ogóle mnie nie dotyczyły. Tymczasem byłem w ścisłym ich centrum.

Nie znalazłem satysfakcjonującej odpowiedzi na to pytanie. Być może był to efekt

oddziaływania na mnie samej Anomalii. Być może chciała – o ile w jej przypadku można pozwolić sobie na tandetną antropomorfizację, próbę dopasowania czegoś wymykającego się możliwościom ludzkiego poznania do istniejących szufladek z pojęciami – by przetrwał ktoś, kto mógłby rzeczowo i obiektywnie opisać jej przebieg. Kto wie...

Odnalazłem swoje mieszkanie na najwyższym piętrze. Jestem pewien, że tego piętra nie było wcześniej. Na chwilę obecną znajduje się tam tylko moje mieszkanie, drzwi otoczone gładkimi ścianami klatki schodowej, samotne na całej długości korytarza. Obawiałem się nieco, co za nimi zastanę, w jaki sposób Anomalia zniekształci moją ciasną kawalerkę. Jak się okazało, martwiłem się bezpodstawnie, gdyż poza jej umiejscowieniem w przestrzeni nic się nie zmieniło.

Przez jakiś czas mieszkania w nowym-starym miejscu zakwitałem codziennie czarnymi kwiatami wypełzającymi z mojego ciała przez okrągłe jamy o brzegach otoczonych niebieskawymi włoskami. Z dnia na dzień zmieniały położenie, wędrowały po mnie, przenikały moją materię. Było mnie jakby mniej, gdy opadały na kurz i w pył gromadzący się w ogromnych ilościach w moim mieszkaniu, było mnie jakby więcej, gdy chwyciłem je i chciwie wgryzałem się w mięso ich płatków, po czym rozsmarowywałem ciemną posokę po całym ciele. Cieniste postacie głaskały mnie po głowie, nieraz przyprowadzały ze sobą na smyczkach z ludzkich jelit świniopsy i psoświnie. Najpierw nie wiedziałem, jak się odnieść do tych istot, potem doszedłem do wniosku, że mogą być przydatne. Rzucałem im bezkształtną breję czyichś zbutwiałych marzeń, rozmemłane, zbrylone lepsze jutro, które się nie urzeczywistni. Było ich wszędzie pełno, wystarczyło umieć szukać. Wraz z postępami Anomalii widziałem więcej świata i wiedziałem więcej o świecie niż przedtem. Jakby pojawienie się w jego ramach czegoś absolutnie obcego spowodowało naprężenia rzeczywistości, której szwy zaczęły się rozchodzić.

W międzyczasie blok rozrósł się, rozprzestrzenił na wielkie obszary, leżące gdzieś poza tym wszystkim, co codziennie widzimy wokół nas. Z zewnątrz wyglądał jak zawsze, dopiero w środku okazywało się, że pomiędzy moim ostatnim piętrem a piętrami dotychczasowymi pojawiło się kilka innych poziomów, z których dodatkowo wiodły korytarze do bloków równoległych, do spiralnych i kwadratowych klatek schodowych, kolejnych rzędów przejść i ciasnych korytarzy pełnych zamkniętych drzwi, prowadzących gdzieś w jeszcze odleglejszą przestrzeń skrytą w ciemności. Jak na złość wraz z postępami Anomalii przestało wschodzić słońce, przez co cały odkształcony blok zdany był na łaskę działających światła. A te działały nie wszędzie lub świeciły blaskiem nieznanym wcześniej na Ziemi.

Spędziłem trochę czasu na samotnych wędrówkach po tym świecie skrytym w Anomalii, zapamiętałem stamtąd niestety tylko pojedyncze obrazy, jakby całość struktury, w którą się zagłębiłem, była zbyt przytłaczająca, by mój mózg zdołał ją wychwycić i zapamiętać. W wielu miejscach musiałem się czołgać, w innych krążyłem w strugach ulewnego deszczu padającego przez ogromne dziury w dachu. Nie miałem pojęcia, gdzie jest początek i koniec tego ogromnego, niesamowitego kompleksu, czy w ogóle w jego przypadku jest sens mówić o początku i końcu, czy też raczej trwał on po prostu wrzucony do naszego świata, urywek czegoś innego, większego, obcego, co dziwnym trafem zaczęło przesączać się w szarą rzeczywistość otaczającą nas na co dzień.

Najbardziej pociągała mnie ciemność kryjąca się w najdalszych częściach Anomalii. Było w niej coś kuszącego i odstręczającego zarazem. Jakież wielkie tajemnice musiały skrywać się pod jej osłoną... W czasie długich wędrówek po splotach przejść i korytarzy (z których nieraz wracałem wcześniej niż o godzinie ich rozpoczęcia) trafiałem często do własnych wspomnień, pod łukowe sklepienia, w czerwony blask prześwitujący przez ogromne witraże, widziałem swoje odbicia w obsydianowych lustrach o ramach bogato zdobionych w symbole starsze niż ludzkość.

Innym razem klatka schodowa doprowadziła mnie do ogromnej przestrzeni, którą pamiętałem tak dobrze. Jako mały dzieciak trącałem kijem martwą wiewiórkę w parku spowitym mgłą. Pies sąsiadki podszedł zaciekawiony do martwego stworzonka i odgryzł mu głowę. Obserwowałem, jak ją gryzie, po czym wypłuwa mi pod nogi, zniesmaczony. Bezwiednie rysowałem spirale patykiem w mokrym żwirze ścieżki. Tym razem nie byłem tym chłopcem, lecz widziałem tę scenę z odległości.

W jednym z korytarzy spotkałem moją babcię, nieżyjącą od lat. Niosła brytfannę pełną pachnących wakacjami na wsi babeczek z malinami. Nie zauważyła mnie, przeszła obojętnie, kryjąc się w mroku. Nie spotkałem jej więcej.

Gdzieś tam, hen, głęboko, były też otwarte drzwi. W jednych z nich, w panującym półmroku – na tym piętrze nie świeciło się światło – widać było tylko urywek sylwetki dziewczynki siedzącej w letniej piżamie na wielkim, bujanym fotelu ustawionym w progu. Jej nogi były bardzo chude i tak blade, że aż sine. Góra jej ciała skryta była w ciemności, z której przebijał się tylko ogólny zarys, szczupły tułów, okrągła głowa i dwa warkoczyki.

W innym mieszkaniu jakby nigdy nie trwała studencka impreza. Zza zamkniętych drzwi słychać było podniecone śmiechy pijanej dorastającej młodzieży. Dla kontrastu zza innych dobiegało wiele różnych odgłosów. Ciche szepty bez słów, głośne krzyki. Płacz. Uderzenia. Sapanie. Basowe pomruki. Nieokreślone piski, szумы, zgrzyty.

Dopóki odnajdowałem swoje mieszkanie i mogłem w nim prowadzić tyle z mojej codziennej egzystencji z czasów przed Anomalią, na ile mi Anomalia pozwalała, dopóty nie miałem większych problemów z przystosowaniem się do zmieniających się warunków. Byłem w tym momencie wdzięczny latom spędzonym w pracy w helpdesku, który do tej pory określałem żartobliwie mianem mojej małej anomalii. Jednak nastał w końcu ten dzień, kiedy nie mogłem już wrócić do swojego mieszkania. Podczas mojej nieobecności (swoją drogą, w pracy nikt nie widział kwiatów toczących moje ciało) drzwi wejściowe zamknęły się na stałe. Nie pozostał w nich nawet ślad po zamku czy klamce. To samo stało się z wszystkimi drzwiami do mieszkań w części trawionego Anomalią bloku, która pamiętała czasy sprzed jej wystąpienia .

Zasmucony schodziłem po schodach otoczony wianuszkami cieni, z których żaden nie należał do mnie. Chlupotało mi w butach. Zostawiałem za sobą rozbryzgi czarnej cieczy, odniosłem wrażenie, że spływa za mną po żelbetowych schodach, po żeliwnej barierce, że chce się ze mną ponownie zjednoczyć. Ktoś sapał mi uparcie do prawego ucha. Głosik może czteroletniej dziewczynki nucił mi pozbawioną słów melodię do lewego. Cieniste demony w wielkiej liczbie schylały przede mną głowy i ścisnęły mi dłonie. Pojawiały się nagle, stawały mi na drodze, rozlewały się na kształt wielkich, czarnych kleksów na odrapanych ścianach. Coś ciężko zsuwało się po schodach kilka pięter wyżej, klekocząc przy tym i uderzając czymś o każdy szczebel barierki. Zatrzymywało się wtedy, kiedy i ja się zatrzymywałem.

Zanim wyszedłem z bloku, strona po stronie wydarłem w czasie wędrówki po schodach wszystkie zapisane strony w każdym z zeszytów, w których prowadziłem kronikę Anomalii. Z czasem przestałem notować słowa, gdyż nie były w stanie oddać kotłujących się myśli i tego, co działo się z rozplywającą się w szaleństwie rzeczywistością. Ze wszystkich swoich sił notowałem postępy oblędu. Przechodziłem obok śmierci i szaleństwa, obok zdychających wzniosłości i śmieszności. Miałem przeczucie, że od teraz nie było to już ważne. Strona po stronie oddałem kronikę prawowitym właścicielom, oddałem ją Anomalii. Wyszedłem przed blok i wziąłem głęboki oddech.

Drzwi do klatki schodowej zniknęły, materia świata pękała, łuszczyła się jak farba, spadały z niebios cuchnące spalenizną anielskie pióra. Fasady mojego bloku oraz sąsiednich budynków, a także drzewa rosnące między nimi odkształcały się jak kulki zmiętego papieru, które ktoś próbował bezskutecznie rozprostować. Mój blok częściowo roztrzaskał się jak rozbita tafła szkła. W każdym z odłamków uwiecznione zostały fragmenty ich dawnej kompletności.

Powietrze pachniało tak, jak wiele lat temu pachniała noc. Gdy jeszcze będąc

w szkole, włóczyłem się bez celu z paczką przyjaciół, młody i naiwny.

Nie strzepywałem już z siebie czarnych kwiatów. Przestały się pokazywać. Przekwitłem. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, zwinąłem się na chodniku w kłębek i zapłakałem. Straciłem coś pięknego. Coś się we mnie urwało. Cienie stanęły ciasno wokół mnie, nie wiedziałem, czy zlewają się w jedno, czy chwytają się za ręce, o ile je miały. Wibrujący w mojej głowie obcy głos wyjaśnił mi, że taka jest kolej rzeczy – najpierw zakwitłem, a potem wydałem owoc.

rys. Roman Panasiuk



JAK SŁODKO PACHNIE AKACJA

Alicja Tempłowicz

Kiedy ktoś wreszcie pootwierał okna, żeby wpuścić do mieszkania świeże, majowe powietrze, poruszone przeciągiem dreny zakotływały się lekko jak młode liście na drzewach. Zagrzechotały w nich cicho skrzepy krwi.

Zapachniało akacją. Słodka, miodowa woń uderzyła bez ostrzeżenia w jego nozdrza, mieszając się z odorem gnijącego mięsa, fekaliiów i butwiejącej wykładziny. Ugryzł się w język, żeby pobudzić ślinianki.

Widział coś takiego po raz pierwszy, a starał się – bardzo się starał – żeby nie dało się tego po nim poznać. Niewiele miało to jednak wspólnego z dumą starego wyjadacza. Po prostu – spokój szefa był teraz spokojem wszystkich. Gdyby stracił nad sobą kontrolę – i na przykład osunął się na... denatkę...? – puściłaby tama i nikt nie dokończyłby oględzin.

Umarła, siedząc na dywanie, oparta o krzesło oplecione drenami. Dopiero potem, zanim stężenie pośmiertne zmieniło jej ciało w rzeźbę, osunęła się na bok.

Zdażyła zamknąć oczy – pewnie zasypiała powoli, jak to przy wykrwawieniu.

W pierwszej chwili wydawało się, że to po prostu bardzo dziwne i skomplikowane samobójstwo – drzwi do mieszkania były zamknięte, ani pokój, ani denatka nie nosili znamion szarpaniny. Zresztą założenie drenów, a potem dość długie czekanie, by uciekła przez nie cała krew, wymagało swego rodzaju... zaangażowania.

Bierności.

Zwłaszcza że kierunek ruchu płynów najwyraźniej przeczył grawitacji.

Mówią, że wiosna to życie. Wiosną wszystko rozkwita i budzi się z zimowego snu śmierci.

Mogłabym zabrać trochę tego życia dla ciebie, mój miły. Wykroiłabym je skalpelem, powoli, żeby nie uronić ani kropli, wypreparowała, pozwoliła mnożyć się na szkiełku, a potem wtłoczyła w twoje zapadłe żyły.

(Wybacz, że nadal nie wiem, co poszło z nimi nie tak i dlaczego limfa nie chce płynąć.)

Wtedy ocaliłabym twoje mięso przed gniciem. Myśli przed ucieczką w otchłań. Oczy przed ucieczką w tył głowy.

Ciebie przed ucieczką przede mną.

Czasem zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze tam jesteś. Usłyszysz, kiedy zawołam cię wreszcie po imieniu?

Byłam dzisiaj na zewnątrz. Przepraszam cię, czasem muszę wychodzić. Widziałam tę wiosnę. Jak pulsuje. Wychodzi pleśnią z zakamarków.

Myślę, że to nie potrwa już długo. Jestem bliżej niż kiedykolwiek.

Oboje jesteśmy.

Zalóżę ci kapcie, bo zmarzniesz, przecież mamy ledwie marzec. Tyle razy wkładałam ci do głowy, żebyś ich nie zdejmował.

Dopiero, kiedy przykucnął, żeby dokładniej przyjrzeć się twarzy martwej kobiety, zobaczył, jak wygląda jej druga połowa.

To była głowa szmacianej lalki. Łysa, krzywo pozszywana, z guzikiem zamiast oka i namalowaną kreską w miejscu ust. Z bladą cerą łączyła ją niewprawna fastryga. Wtedy też dotarło do niego, że uschnięta gałąź leżąca pod ciałem została w jakiś sposób połączona z barkiem. Jak – tego przy obecnym układzie nie mógł ocenić.

To wtedy zdusił pierwszy odruch wymiotny.

Drobny szczegół – nieco zabrudzona biel w uchu i dziurce od nosa.

Sięgnął do nich i ostrożnie wyjął maleńkie ruloniki papieru. Po kilka z każdego otworu. Tknięty przecuciem, rozchylił martwe wargi. Trafił. Zwitki spod języka były jednak zupełnie rozmiękczone.

– Ludwika Weiss, doktor biochemii – recytował obojętny głos nad jego uchem, gdy rozprostowywał papier. – Lat pięćdziesiąt trzy, samotna, bez nałogów, nic nie wiadomo o przewlekłych chorobach. O wrogach też nie za bardzo. Ogólnie lubiany wykładowca i uznany specjalista. Od czterech miesięcy na urlopie naukowym...

No i stało się, mój miły. Obcięli mi dotacje.

Twierdzą, że to dlatego, że program nie przynosi efektów, ale ja myślę, że to coś innego. Wiesz, co o mnie mówią? Że postradałam zmysły. Że ciebie wcale nie ma.

Ale przecież jesteś, prawda? Śmieją się, że zachowuję się jak Geppetto i Pigmalion w jednej osobie, ale ty nie jesteś ani kukielką, ani rzeźbą. Jesteś prawdziwy. Muszę ci to tylko odpowiednio wytłumaczyć. To też muszę ci włożyć do głowy.

Chcieli cię obejrzeć, ale zaprotestowałam. Nie jesteś gotowy. Jak mogłabym pokazać im ciebie takiego? Z tymi zapadniętymi żyłami i nieruchomym sercem?

Jakie ty masz suche dłonie... Nie bolą cię? Mnie by na pewno bolały. Tak pękają...

– ...skromna, cicha, nie wchodziła nikomu w drogę – wymieniał profesor Rawski drżącym nie tylko ze starości głosem. Wzrok miał szklany, utkwiony w ścianie. – Trochę smutna, ale zawsze uważaliśmy, że taki jej urok. Nigdy bym nie podejrzewał... Nigdy bym...

Trudno się prowadziło takie przesłuchania.

Bez słowa komentarza podsunął świadkowi pudełko chusteczek.

– Dziękuję...

– Łączyła ją z kimś bliższa więź? Wiemy, że była samotna, że nie ma rodzeństwa ani żyjących krewnych w okolicy. Ale jacyś bliżsi znajomi?

– Nie. – Rawski zdecydowanie pokręcił głową. – Ona zawsze była taka... trochę niedostępna. Jak tak myślę, to to by do niej nawet nie pasowało, wie pan.

– Wiem – odpowiedział machinalnie, myśląc o swoim pustym mieszkaniu.

Słuchał kolejnych zeznań, przeglądając bezmyślnie zdjęcia z miejsca zbrodni. Jakby liczył na to, że coś mu jednak umknie. Że teraz, po czasie, znajdzie na fotografiach szczegół pozwalający rozwikłać zagadkę.

Nic z tego.

Znał już te widoki na pamięć – dziwna kukła z ludzkiego ciała, szmat i gałęzi śniła mu się po nocach i nawiedzała w wizjach na jawie, gdy tylko zamykał oczy. Czekala wyryta po wewnętrznej stronie powiek. Ciemny, duszny pokój także nie krył żadnych tajemnic. Nawet oplecione drenami jak bluszczem krzesło.

Kolejne zeznania przyjmował już obojętnie – tu także nie pojawiała się nic nowego. Jedni darzyli doktor Weiss nieco pobłażliwą sympatią, inni uważali za dziwną i irytującą, ale niezależnie od emocjonalnego nacechowania stwierdzeń, ich treść mniej więcej się pokrywała.

Cicha. Stojąca z boku. Skryta.

I bardzo, bardzo samotna.

To nie było coś, co mogliby zrozumieć – prawdziwa samotność. Widzieli w tym wybór albo nieporadność, ewentualnie splot niefortunnych okoliczności.

A tymczasem to było fatum.

Próbował to kiedyś tłumaczyć jednemu ze znajomych, kiedy zepsuły się podlane szotami hamulce.

– Idzie wiosna – usłyszał w odpowiedzi. – Wiosną wszystko się zmienia. Zwierzątka, wiesz, łączą się w pary. – Tu nastąpiło porozumiewawcze mrugnięcie, które ścisnęło wszystkie jego wnętrzności wielką, spoconą ordynarnie pięścią.

Ach, oczywiście zostały jeszcze liściki z ucha i nosa.

„Oddychaj.”

„Żyj.”

„Nie zdejmuj kapci.”

Otworzę na chwilę okno, dobrze? Tylko na chwilę, wiem, że nie lubisz przeciągów. Może wpadnie przez nie trochę wiosny.

Czujesz? Pleśń pachnie. I trawa. Zaczęła już wschodzić.

Czasem mam wrażenie, że jestem taka samotna. Taka niechciana. Wszyscy są daleko. Odpycham ich, chociaż tego nie chcę.

Wiesz, ja lubię ludzi. A oni chyba lubią mnie. Ale nikt nigdy nie podchodzi blisko.

Siadam na krześle, patrzę na ciebie i czekam. Aż dasz mi jakiś znak. Tylko ty potrafisz mnie jeszcze kochać. Wiem o tym, że mnie kochasz. Wiem, że gdybyś miał serce, byłoby dla mnie.

Cale życie czekałam na kogoś takiego.

Z tego też się śmiali. Kiedy byłam młoda, mówili, że zachowuję się jak królowna, a lepiej zrobiłabym, gdybym brała, co dają. Nie rozumieli. To ja miałam rację. W końcu jesteś.

Kocham cię.

Nie krzyknął.

Wystraszył się za bardzo, żeby krzyknąć.

Maszynka do golenia wypadła mu z dłoni i uderzyła o umywalkę.

To – ten zimny, głuchy dźwięk – wystarczyło, by wróciła rzeczywistość.

Podniósł dłoń, żeby dotknąć policzka. Był ciepły i miękki. Wciąż pokryty zarostem i pianką. Spojrzał więc w lustro ponownie.

Materiał zniknął. Zniknęło oko z guzika i namalowane usta – znów miał całą twarz. Widział, jak ta twarz staje się czerwona, jak zaczynają drżeć wargi. Oparł się dłońmi o krawędź umywalki i, wciąż patrząc sobie prosto w oczy, wybuchnął płaczem. Sam nie wiedział – z przerażenia czy ulgi.

A potem po prostu dopadł muszli klozetowej i gwałtownie zwymiotował.

W łazience jednak wcale nie cuchnęło – rozchodził się po niej słodki zapach akacji.

Mam!

Chyba wymyśliłam!

Teraz to już naprawdę nie potrwa długo. I nie potrzebuję tych durnych dotacji!

Dam ci swoje życie.

Zdjęcie za zdjęciem.

Mieszkanie, kostnica, znowu mieszkanie.

Papier zaczynał czernieć na brzegach od tłuszczu, potu i kurzu. Może lepsze byłyby cyfrowe kopie, ale tych nie dało się trzymać pod poduszką, za solniczką i na pralce.

Nie golił się od kilku dni, bo bał się na dłużej wejść do łazienki, gdzie czekało na niego lustro. Nie dotykał też swojej twarzy. Zrobił to raz, odruchowo, leżąc w łóżku i próbując zasnąć. To wystarczyło.

Wydawało mu się wówczas, że poczuł szorstki materiał i grubą nić. Zerwał się, otworzył gwałtownie ludzkie oko i zobaczył, że prawe ramię aż do nadgarstka oplecione jest wężowymi ciałami drenów. Wrzeszczał. Wrzeszczał tak głośno i długo, jak jeszcze nigdy, szarpiąc je nieporadną bardziej niż kiedykolwiek lewą dłońią, aż trysnęła jasna, tętnicza krew.

Ale one wciąż się ciągnęły. Nie mógł znaleźć ich końca. Z każdym ruchem stawały się dłuższe, a od uczucia i wiedzy, że ocierają się o wewnętrzne strony żył, dostał spazmów.

Drżał na całym ciele i bardziej wypełził, niż wyszedł z cuchnącej świeżym moczem pościeli. Dopadł ściany, wspiął się po komodzie i zapalił światło.

Resztę nocy spędził w fotelu, wpatrując się nieruchomo w przeciwległą ścianę.

Przyszło mu nawet do głowy, żeby do kogoś zadzwonić, ale lista kontaktów osobistych od wielu lat przecież pozostawała pusta. Miałby się zwierzać podwładnym? Albo – jeszcze gorzej – przełożonym?

Pomyślał też, że dobrze będzie wyjść między ludzi, poprzebywać w tłumie, nawet jeśli zwykle tego nie lubił. Co jednak, gdyby to stało się ponownie? Tam? Na zewnątrz?

Nie jestem pewna, czy tak to powinno wyglądać. Ale się nie boję.

Patrzę, jak płatanina drenów powoli wypełnia się czerwienią. Moja krew płynie do twoich zapadniętych żył. Moje życie do spękanej skorupy twojego ciała. Spadnie na ciebie jak deszcz na spaloną słońcem pustynię.

Teraz już naprawdę będziemy jednym.

Nie mogłam oddać ci nic więcej. Więc proszę, chociaż spójrz na mnie.

Twoje gałki oczne poruszają się powoli, niewprawnie. Spokojnie, nauczysz się.

Och, nie dałam ci powiek, wiem, chciałam mieć pewność, że będę wiedzieć, kiedy na mnie popatrzysz. Poradzisz sobie bez nich.

Nie masz też palców u dłoni. Nie będą ci potrzebne, przecież się tobą zaopiekuję.

Jestem okrutna?

Nie! Spójrz na nich! Na tych, którzy nie chcieli, żebyś żył! To oni są okrutni!

Ja cię kocham, nie pamiętasz?

Krew przepływa między nami powoli. Jasna, tętnicza i żywa.

Nasza.

Zasmakuje ci. Jest pełna życia i miłości.

Och, jesteś doskonały... Doskonalszy z każdą kroplą. Czujesz to? Czujesz, mój miły?

Pachniało miodową akacją.

Zdjęcie. Zdjęcie. Zdjęcie.

Wszystkie znane na pamięć.

Nie.

To jedno nie.

Na nim gałąź-ramię kwitła niewinną, czystą bielą akacji.

Na nim oko było otwarte.
I patrzyło wprost na niego.

Nikt z nas nie musi być samotny. Jest wiosna.

rys. Roman Panasiuk



KREW NA ŚNIEGU

Lena Kozłowicz

Krew na śniegu. Czyja? Jej? Ich? A może wszystkich razem? Krew na śniegu połyskująca lśniąca czernią w blasku chudego księżyca. Zupełnie jak ich oczy. Martwe oczy ojca i... JEJ. Ale te drugie nie były martwe, o nie! Wciąż patrzyły na nią w ten sam zimny sposób – bez serca, bez duszy. Nawet gdy już rozłupała jej czaszkę siekierą, oczy nadal na nią patrzyły, nie chciały zgasnąć.

Krew na śniegu. Krew na ścianie, na podłodze i na suficie. Krew spływająca po schodach i boazerii. Krew kapiąca z lampy, wpływająca do kominka i gasząca buzujący ogień. Wszędzie krew – posoka różowa i świeża, szlachetnie rubinowa lub czarna jak noc.

Krew, krew, krew.

Uciekająca dziewczyna uniosła ręce i przyjrzała się im bezmyślnie w bladym świetle mroźnej zimowej nocy. Śnieg skrzył się niczym klejnoty i kusił jak miękka puchowa pierzyna, ale, niestety, nie ułatwiał biegu. Kleił się do cienkiej nocnej koszuli, wciągał bosc stopy jak ruchome piaski. Wściekle głosy za jej plecami narastały, pościg trwał i deptał jej po piętach. Światła błyskały wśród drzew, całkiem blisko rozległ się dziwny syk. Ktoś musiał upuścić pochodnię w mokry śnieg.

Nie miała już dokąd uciekać. Mimo to po raz kolejny zerwała się do biegu. Zostawiała za sobą głębokie ślady w śniegu oraz ten jeden, najważniejszy. Krew.

Krew na śniegu.

Kiedy umarła matka, specjalnie nie rozpaczał. Trochę udawał przed ludźmi z wioski, bo tak wypadło, ale naprawdę wcale się nie przejął. Kasia uważnie go obserwowała. Jej życie w jednej chwili się skończyło, a on nawet nie zapłakał. Pewnie miał dość żony – jej smutnych oczu i ciągłego wymiotowania krwią. Nawet głupia kucharka plotkowała, że nie miał z niej pożytku, tylko wiecznie zapaskudzoną pościel. Kasia słyszała każde słowo i nienawidziła ich wszystkich.

Mama była taka delikatna. Jak motyl albo przebiśnieg. Jak anioł. Wrażliwa, przezroczysta, niemal nierealna. Tuliła Kasię i obiecywała, że wszystko będzie dobrze, a potem długo kaszlała, aż na białej chustce pojawiały się czerwone kropelki.

Krew. Krew na śniegu.

Wtedy ojciec musiał siłą odciągać Kasię od pólzywej matki i wyrzucać na korytarz. Płakała, histeryzowała i kopała w drzwi. Widziała, że nie ma zbyt wiele czasu, że musi wykorzystać każdą chwilę. A potem dostawała lanie. Jednak czerwone pręgi na twarzy i pośladkach nic nie znaczyły. Nie były tak przerażające jak kolejne czerwone prześcieradła. Im bardziej czerwone, tym bledsza stawała się mama, jakby pościel wysysała z niej kolory.

Umarła.

W lodowaty styczniowy poranek zgasła jak słońce, które na tyle miesięcy opuściło ten ponury padół. Ziemia była tak zmarznięta, że nie dało się wykopać grobu, więc leżała nadal

w swoim pokoju, przykryta białym prześcieradłem. Kasia zakradała się tam każdego dnia, tkwiła na straży w przejmująco zimnej sypialni, w której pootwierano wszystkie okna, i patrzyła, jak ciało matki zapada się w sobie. Tuliła się do lodowatej ręki, która powoli zaczynała dziwnie pachnieć. Tkwiła na posterunku, dopóki ojciec się nie zorientował i znowu jej stamtąd nie wyrzucił. W końcu zamknął ją w jej pokoju do czasu pogrzebu.

Nawet nie zabrali jej na cmentarz. Kasia kaszlała i miała gorączkę. Krzyczała i błagała, aby wzięli ją ze sobą. Chciała się pożegnać.

– Wariatka! – orzekł ojciec i przekręcił klucz w zamku.

Kasia drapała drzwi paznokciami i tłukła w nie pięściami aż do krwi. Jej drobne rączki, bardziej przypominające dłonie dziecka niż dorastającej panienki, zostawiały krwawe ślady na białej farbie.

Krew na śniegu.

Nie minęły chyba nawet dwa miesiące od śmierci matki, gdy ją przywiózł. Taki był dumny, taki wesoły. Nowa żona: młoda, ładna, zdrowa. Płodna. Nie kolejny żywy trup rodzący wybrakowane córki.

Nie powiedział, gdzie ją znalazł, ale na pewno nie pochodziła z okolicy, każdy by ją zapamiętał. Była piękna, ale w ten chłodny, groźny sposób. Pewnego dnia wyjechał w interesach i po prostu wrócił z nią do domu. Kasia obserwowała ją wielkimi, podkrążonymi oczami i drżała ze strachu. Ta twarz! Te ślepie! Nieludzkie, puste, nieruchome i dzikie. Czy nikt tego nie widział? Nikt nie zauważył, CO ojciec przywiózł do domu?

Potwór.

Jeszcze nie wiedziała dlaczego, ale zwyczajnie czuła, że nowa żona ojca jest zła. Nie pachniała jak człowiek ani tak nie wyglądała. Jej usta przypominały wielką, pękniętą ranę na białej twarzy. Kasia podejrzewała, że gdyby w pełni się otworzyły, mogłyby ją wchłonąć w całości. Były czerwone jak krew na śniegu.

Krew na śniegu.

To od początku właśnie tak musiało się skończyć. Nie było innego wyjścia.

Ludzie przychodzili, aby ją powitać. Gratulowali ojcu wyboru. Mówili, jaka jest piękna. Czy niczego nie widzieli? Wszyscy znaleźli się pod jej urokiem. Twierdzili, że ojciec wreszcie znalazł właściwą żonę, a nie... Nie taką jak pierwsza.

Na Kasię tak nie patrzyli. Omiatali ją zaledwie wzrokiem i krzywili się z niesmakiem.

– Nic z niej nie będzie – szeptali, gdy wydawało im się, że nie słyszy. – Taka sama jak matka.

Traktowali ją, jakby nie była w pełni sprawna umysłowo. Zbyt głupia, aby zrozumieć, co mają na myśli. Mama mówiła, że pójdzie do szkół, teraz nawet nie było o tym mowy. Po co? Na co? Dla nich to się nie liczyło.

Ojciec miał wiele ziemi i był dobrym gospodarzem. Zapewniał pracę okolicznym mieszkańcom i lubił z nimi wypić, dlatego ludzie darzyli go sympatią. Cieszył się szacunkiem i popularnością. Ostrzegali go, że nie powinien brać za żonę wydelikaczonej panienki z miasta, ale on się uparł i przywiózł matkę na ten paskudny koniec świata. Imponowało mu, że jest taka śliczna i wykształcona. Delikatna. Miała szczupłe i białe jak śnieg dłonie, którymi nie mogła się pochwalić żadna z okolicznych dziewczuch. Wcześniej tylko haftowała serwetki, kaligrafowała i grała na fortepianie. Mąż zagnał ją do roboty i zorał na śmierć. Nie była przystosowana do ciężkiej pracy, nie przetrwała.

Kasia była drugim dzieckiem i jedynym, które przeżyło. Pierwsza mama straciła... Tak jak trzecie, czwarte i piąte. Mimo to ojciec się nie poddawał. Chciał mieć syna, który odziedziczy ziemię i zamierzał go z niej wycisnąć.

Jednak kolejni bracia i siostry Kasi raz za razem przemieniali się w zakrwawione prześcieradła. W sumie było ich siedmioro. Wypadali z matki jak dojrzałe wiśnie... Albo jak krople krwi padające na świeży biały śnieg, a mama bladła, gasła i powoli znikwała. Wreszcie sprowadzony z miasteczka lekarz położył temu kres.

– Prędzej życie z niej wyciśniesz niż dziecko! – krzyczał na ojca.

A potem było jeszcze gorzej. Na wiosnę mama zaczęła kaszleć, na jesieni płuć krwią i umarła.

Zjawiała się ona. Macocha. Tej nie kazał pracować. Siedziała w salonie i tylko na nich wszystkich patrzyła. I zawsze wyglądała na głodną... Tkwiła nieruchomo godzinami, skupiona, czujna jak polujący drapieżnik. Kasia nigdy nie słyszała jej głosu. Pewnie jej gardło nie było przystosowane do ludzkich dźwięków. Tylko te czarne ślepie poruszały się w bladej twarzy. Śledziły każdy ruch Kasi i czekały na właściwy moment. Potwór. Zmora. Koszmarny stwór, którego ojciec znalazł gdzieś w lesie i dał się omotać. Przywlekła się za nim jak upiór i tylko czyhała na okazję, aby wyssać z nich życie.

Kasia to wiedziała. Kasia to rozumiała. Odkąd macocha pojawiła się w domu, czuła się coraz gorzej. Nie przespała spokojnie ani jednej nocy, miała wrażenie, że czarne oczy patrzą na nią przez ściany, wykwitają na suficie jak mroczne kwiaty i zerkają na nią. Czasami całymi dniami nie mogła podnieść się z łóżka, jakby przygniatał jej piersi jakiś olbrzymi ciężar. Była rozpalona, świat rozmywał jej się przed oczami w dziwnej mgłę. Kaszła coraz mocniej. Bolało ją serce. Brakowało tchu. Nie miała siły.

Potwór nie próżnował. Zajmował całą przestrzeń. Wielkimi nozdrzami wciągał cały tlen, tak że ani trochę nie zostawało dla Kasi. Nie było dla niej świeżego powietrza ani miejsca w domu. Macocha rozpychała się w nim i nadymała jak wielka ropucha.

Najpierw Kasia straciła pokój, w którym się wychowała. Ojciec kazał ją przenieść na strych, a tam planował umieścić nowe dzieci, na których pojawienie się tak bardzo liczył. Silnych i w pełni sprawnych chłopców, a nie... Nie takie Kasie.

Ale nawet upokarzająca przeprowadzka była tylko tymczasowym rozwiązaniem.

– Dziewczyna dorasta – powiedziała pewnego dnia kucharka. – Wkrótce skończy czternaście lat. Trzeba ją wydać za męża, wtedy te historie na pewno się skończą.

Ojciec kiwał głową. Wydawał się przekonany do tego pomysłu. Podsluchująca pod drzwiami kuchni Kasia zaczęła rozpaczliwie krzyżeć: „nie, nie, NIE!”. Wiedziała, co oznacza małżeństwo. Krwawe ślady na prześcieradłach, krew na podłodze, bezkształtną krwawą miazgę, którą akuszerka wyciągała z jej matki, a potem w białej misce wynosiła do ogrodu i zakopywała pod płotem.

Nie, nie, nie!

Ojciec tłukł ją, dopóki się nie uspokoiła, a macocha przyszła popatrzeć. Krwawe usta wyginały się w głodnym uśmiechu, czarne oczy paliły skórę Kasi bardziej niż kolejne razy skórzanym paskiem.

– A nie mówiłam? – dorzucała swoje kucharka. – To taki wiek. Mąż ją wyleczy z kaprysów. Nieużywane dziewczki głupieją, z mózgiem im się coś dzieje.

A ojciec tylko potakiwał. Nie kazał jej się zamknąć. Pewnie myślał podobnie.

– Toż to dziecko jest chore! – Nieoczekiwanie wstawiła się za nią dziewczyna, która pomagała w gospodarstwie. – Z niej nic nie będzie. Nie wyżyje!

Też dostała pasem. Sprawiedliwie.

Ale Kasia była silna. Nie zamierzała dać się zameczyć. O nie! Miała cel, dla którego chciała żyć jak najdłużej.

Macocha.

Potwór.

Zemsta.

Nadciągnęła ciężka zima. Najstraszniejsza w całym stuleciu, mroźna i brutalna. Jakby całe ciepło zniknęło ze świata i miało już więcej nie powrócić. Zima lodowata i bezlitosna jak macocha, która teraz wydawała się rozkwitać niby prawdziwa królowa lodu. Śnieg sypał całymi dniami, a mróz malował piękne obrazy na jedynej, niewielkiej szybie w wyziębionej

sypialni Kasi na strychu. Teraz nigdy nie opuszczała pokoju. Trzęsa się jak w febrze, gorączka niemal nie ustępowała. Nie mogła uwierzyć, że minął już prawie rok, odkąd...

Inni również wyglądali źle. Pochylali się nad jej łóżkiem szarzy i rozmazani – jakby nie byli już ludźmi, ale cieniami dawnych siebie. Coś do niej mówili, ale nie zawsze rozumiała co. Obrazy i dźwięki nie pasowały do siebie. Kasia była zmęczona, tak strasznie, potwornie zmęczona.

– Ona nie jest człowiekiem – szeptała uparcie do dziewczyny, która pomagała w gospodarstwie i jako jedyna wydawała się ją choć trochę lubić. Przynosiła jej jedzenie, gdy już wszyscy stracili nią zainteresowanie. – Nie pachnie właściwie.

Rzeczywiście, macocha pachniała ziemią i zbutwiałymi liśćmi – jak coś, co zbyt długo leżało w lesie i zdążyło tam zgnić.

– Ona potrzebuje lekarza, jest bardzo chora – mówiła błagalnie litościwa dziewczyna do ojca Kasi. – Majaczy.

– Kaprysy! – prychnął tylko. – Zupełnie jak matka.

Kasia nie mogła znieść pogardy w jego głosie. „Matka” była dla niego teraz najgorszym wyzwiskiem, jej dom przejęła macocha. Kasia nie widywała już potwora, ale wciąż na nowo wyobrażała sobie, jak na jego usta wypływa ten zimny uśmiezek. Oddałaby wszystko, aby móc go zetrzeć. Macocha zamęczyła mamę, aby zająć jej miejsce, a teraz dzień po dniu zabijała Kasię, jedyną osobę, która wiedziała.

Pewnego dnia zakradła się do ich sypialni i widziała wszystko przez szparę w drzwiach. Zmora siedziała na ojcu i całym swoim ciężarem przygniatała go do łóżka. Dyszała, jęczała i unosiła się nad nim raz za razem, by raz za razem spadać na niego, wgniatając coraz głębiej w pościel, jakby chciała wydusić z niego życie. Oplatała go rękami i nogami. Brała w posiadanie, zgniatała w mackach, a on pozwalał jej na to, kompletnie bezwolny. W pewnej chwili macocha uniosła oczy i napotkała spojrzenie Kasi. Uśmiechnęła się tryumfalnie krwawymi ustami.

To koniec. Chciała zabić ich wszystkich!

Kasia odskoczyła od drzwi oszołomiona i przerażona. Oczy zasły jej mgłą, płuca paliły żywym ogniem. Padła na kolana, kaszląc straszliwie. Coś szarpało jej wnętrzności, coś zżerało ją od środka. Aż wreszcie stało się to, co nieuniknione. Krew. Poląła się przez jej dłonie na biały mankiet koszuli.

Krew na śniegu.

Jej krew. Ich krew. Moja krew.

Ale nie tym razem.

Kasia z trudem uniosła się z podłogi i powoli zeszła na dół. Musiała przytrzymywać się ściany, zostawiając na niej czerwone ślady. Drżała z zimna w cienkiej nocnej koszuli, ale mimo to szła przed siebie. Dobrze pamiętała, co widziała rano przez okno. Straszna zima pochłaniała zapasy węgla i drewna. Wciąż trzeba było rąbać nowe.

Zimny wiatr szarpał włosy Kasi, lodowaty śnieg palił stopy jak rozżarzona blacha, płuca bolały jeszcze bardziej od mroźnego powietrza. Siekiera nadal tkwiła w pieńku, wbita gładko i stabilnie. Wydawało się prawie niemożliwe, aby słaba i chora Kasia zdołała ją unieść, ale coś dodało jej sił. Siekiera była ciężka, ale ostrze lśniło kojąco w świetle księżyca. Schłodzona stal doskonale łagodziła płonącą w niej gorączkę – jak kompres przykładany troskliwą dłonią matki.

Dzisiaj to się skończy. Wreszcie. Uwolni ich od potwora i wszystko znowu będzie dobrze. Może nawet wróci mama...

Droga z powrotem na górę zajęła jej całe wieki. Siekiera nie leżała dobrze w drobnej dłoni, Kasia musiała ją praktycznie ciągnąć za sobą. Sunęła cicho przez ciemne korytarze w uśpionym domu. Ostrożna. Milcząca. Jak duch, którym już niemal była. Księżyc oświetlał jej drogę i prowadził do celu.

Leżeli uśpieni, nadzy, zaplątani w siebie... i obrzydliwi. Niczego się nie spodziewali. Siekiera Kasi uniosła się i opadła po raz pierwszy, ale trudno byłoby to nazwać ciosem. Ostrze zaledwie musnęło policzek ojca. Obudził się, spojrzał na nią – bladą, straszną w nikłym świetle księżyca – i zaczął krzyczeć.

Nie było już odwrotu.

Kasia zamachnęła się jeszcze raz, a on wyciągnął rękę, aby się osłonić albo odebrać jej broń. Dwa palce potoczyły się po łóżku. Mężczyzna zawył jak zarzynane prosię. Z każdym uderzeniem Kasia nabierała pewności siebie, jakby coś przejęło nad nią kontrolę, kierowało ręką, dodawało sił. Żuchwa. Szyja. Brzuch. Pierś. Wszystko było takie miękkie... Zrobione z puchu, który niemal nie stawiał oporu twardemu ostrzu. Świst. Łup. Trzask. Plask. Jakie to łatwe, jakie przyjemne. Wyzwalające.

Nigdy nie kochał matki. Wolał to COŚ. Kasia nie miała dla niego litości. Sam wpuścił zło do domu, musiał ponieść konsekwencje.

Krew tryskała na ściany, malując je w fantazyjne wzory, których zawsze brakowało w tym ponurym domu. Jasnoróżowa, rubinowa lub czarna jak smoła w zależności od tego, gdzie trafiła siekiera. Ojca już nie było. Zniknął, gdy jego twarz stała się krwawą miazgą. Przemienił się w krew na prześcieradle. Krew na śniegu. Dostał za swoje.

Macocha obudziła się niemal od razu, ale nawet nie próbowała krzyczeć czy uciekać. Usiadła na łóżku i spokojnie patrzyła, jak Kasia rozłupuje czaszkę swojego ojca, z której wycieka szara breja, wsiąkając w poduszki. Siedziała nieporuszona, a jej lodowate oczy śledziły ostrze siekiery i plamy na suficie. Usta otwarły się jak wielka, niegojąca się rana. Oblizwała się.

Kasia uderzyła na odlew. Siekiera miękko weszła w głowę macochy. I nagle te straszne, zimne oczy straciły symetrię, jedno opadło tylko nieco niżej, drugie zawisło pod oczodołem. Ale wciąż na nią patrzyły.

Cięła jeszcze raz. I znowu, i znowu. W szyję, w bok, w kręgosłup. Jednak nadal czuła na sobie to spojrzenie, chociaż nie było już oczu ani twarzy, która mogłaby patrzeć. Nie tak powinno być, lecz TO nadal w jakiś sposób żyło i patrzyło.

Moment nadludzkiej siły minął. Siekiera sama wypadła z rąk. Kasia cofnęła się o krok i obejrzała swoje dzieło. Coś zachlupotało pod jej nogami. Krew. Od podłogi aż do sufitu wymalowała pokój wspaniałą czerwienią. Czerwona pościel, czerwone ściany, czerwony dywan. Czerwone dłonie i jej sukienka. Krew spływała jej po twarzy i między palcami. Smakowała słono, ale ten smak Kasia już bardzo dobrze знаła.

Usłyszała głosy. Nie wiedziała, ile trwała rzeź potworów, ale hałas obudził innych mieszkańców zwykle cichego domu. Drzwi sypialni otworzyły się i migotliwe światło lampy padło zza pleców Kasi.

– O mój Boże! – wrzasnęła kucharka.

Kasia odwróciła się do nich. Zobaczyła blade twarze i uśmiechnęła się, ocierając z czoła krople krwawego potu.

– Potwór! – zawołał stajenny.

Pomoc kuchenna zwymiotowała gwałtownie na własne stopy.

– Nie ma już potwora – wyjaśniła Kasia. – Zabiłam TO.

Jednak gdy tak patrzyli w oniemienu i cofali się przed nią ze strachem, zrozumiała swój błąd. Wyczytała to w ich oczach. Ich zdaniem to nie macocha była potworem, tylko ona.

Kasia z siekierą.

Krew na śniegu.

Kapała z jej rąk, włosów i sukienki, gdy Kasia przedzierała się przez zaspę i ciemny las, próbując uciec przed pogonią. Wiejskie społeczności nie czekały na oficjalny sąd, znały

lepsze i skuteczniejsze metody wymierzania sprawiedliwości. Służyły do tego cepy, widły i płonące pochodnie.

Oraz siekiery.

Otoczyli ją na polanie. Działali i myśleli jak stado wilków. Metodycznie i sprytnie. Nadeszli ze wszystkich stron i odcięli jej drogę ucieczki. Krzyczeli. Nie miała żadnych szans.

Mamusiu...

Padła na kolana i pochyliła głowę, czekając na pierwszy cios.

Daleko od polany, na której konała Kasia, coś uparcie pełzło w las. Długa, krwawa smuga ciągnęła się od dużego wiejskiego domu aż do pierwszych drzew nieprzebranej puszczy. Ciemny ludzki kształt pozbawiony był dłoni i sporej części brzucha, czaszkę miał rozłupaną do samej szyi. Cokolwiek to było, od dawna nie powinno żyć, ale ten fakt bynajmniej nie przeszkadzał stworowi brnąć przez białe połacie świeżego, skrzypiącego śniegu do ciemnego lasu, z którego kiedyś przyszedł, a teraz wracał do domu pożywiony i szczęśliwy.

Została po nim tylko krew na śniegu.

rys. Dawid Boldys



NA GRANICY MIASTA

Piotr Borowiec

1. Miejsce

Wszystko się zmienia, lecz jedna rzecz pozostawała niezmienna przez wieki. O Miejsce najczęściej upominało się Miasto. Zachłanne, ciągle potrzebujące kolejnych hektarów, które mogłoby zająć. Miejska zabudowa obrastała ten zakątek, otaczała szczelnym pierścieniem kamienia, betonu oraz stali. A wcześniej drewna. Miejsce musiało więc się bronić. Nikt z mieszczan nie wiedział, jaka była przyczyna pożaru, który zniszczył ich gród w czasach, gdy zaczął się on rozwijać bardzo dynamicznie. Kilkaset lat później grupa archeologów i historyków badających dzieje Miasta ustaliła, iż ogień zaproszony został na obszarze nieużytków oraz mokradeł na wschodnich rubieżach miejscowości.

O Miasto natomiast upominała się historia. Budynki niszczył ogień artyleryjski, tory kolejowe zapępniały kolejne eszelony wypełnione mięsem armatnim. Na schodach

secesyjnych kamienic buciory żołdatów i gefreiterów zostawiały frontowe błoto, a kostkę brukową miażdżyły gąsienice czołgów. Skwery rozkopywano, najpierw pod okopy, później masowe groby. Po każdej katastrofie Miasto powoli powstawało z ruin, musiało najpierw uleczyć rany w swojej własnej tkance, zanim zacznie rozwijać się ponownie.

Historia zniszczyła Miasto, po czym upomniała się o Miejsce. To musiało więc się bronić.

Latem czterdziestego czwartego roku pod Miasto zaczęła podchodzić Armia Czerwona. Rozkaz wstępnego rozpoznania otrzymała 19. Gwardyjska Brygada Zmechanizowana. Dowódca kompanii, która poszła na zwiad, stwierdził, że jedynym pozbawionym obrony odcinkiem jest skrawek bagien na granicy miejscowości. Młody porucznik, dwudziestodwuletni chłopak kochający swoją narzeczoną oraz Matkę Rosję, chciał zostać bohaterem, zdobyć odznaczenie, a tym samym utwierdzić się w przekonaniu, że świat należy do takich jak on. Zdobywców w ślicznych mundurach. Świat może tak, lecz nie Miejsce. Musiało zapobiec ponownemu zdeptaniu, rozjechaniu, rozszarpaniu przez pociski dział – jak to zdarzyło się trzy lata wcześniej.

Zwiadowcy weszli w zarośla i stwierdzili, że teren jest zdalny do przeprowadzenia przez niego lekkiego sprzętu. Z pewnymi trudnościami mogły przejechać samochody pancerne – podmokła ziemia i muliste stawy zajmowały wtedy tylko część Miejsca. Spotkali też jednego niemieckiego żołnierza. Wychudzoną postać w mundurze feldgrau, z oznaczeniami 308. batalionu 201. dywizji piechoty Wehrmachtu. Podniesione do góry ręce, błagalne spojrzenie i prośba: oszczędźcie mnie! Dezerter miał przy sobie mapy, z których wynikało, że teren, na który weszli sowieccy żołnierze, jest dalej dokładnie zaminowany, a jeszcze dalej czekają na atakujących CKM-y. Z dokumentów wynikało też, że obszar na północy pozbawiony jest min, a także wrogich wojsk. To samo twierdził jeńiec, który obiecał przeprowadzić Rosjan przez luki w obronie. Faktycznie, wskazał drogę. Z dala od mokradeł, prosto na pole minowe, pod lufy osiemdziesiątek ósemek. Zginęli prawie wszyscy, stu siedmiu czerwonoarmistów. W sumie to mieli cholerne szczęście, zmarli już poza granicami Miejsca.

Zazdroszczę im, naprawdę.

Młody porucznik przeżył, okaleczony przez wybuch, który zmasakrował mu twarz i pourywał kończyny. Oficerowie NKWD, którzy go później przesłuchiwali, nie mogli uwierzyć, że jego oddział napotkał dezertera. A na pewno nie z jednostki, która walczyła na tym terenie w czerwcu 1941 roku.

Wszystko się zmienia. Swoich zamiarów wobec Miasta odbudowanego ze zniszczeń

nie realizowali już fabrykanci i burżuje, ekspansją kierowali partyjni dyrektorzy, elita władzy ludowej. Mieli do dyspozycji maszyny budowlane, a do wypełniania plany industrializacji kraju. Miejsce miało być osuszone, wykarczowane i wchłonięte przez przemysłową dzielnicę Miasta pod hasłem rozwoju gospodarczego Polski Ludowej. Plany pozostały tylko planami, kierownik budowy, inżynier równie młody jak ów porucznik, który miał być zdobywcą Berlina, zaginął w czasie oględzin lokalizacji inwestycji. Niedługo potem przyszedł kryzys, dokumentację odesłano do archiwów, spychacze i koparki rdzewiały w garażach, unieruchomione brakiem paliwa oraz stagnacją gospodarczą. Zaprzestano również poszukiwań zaginionego. Ani człowieka, ani ciała. Znalaziono tylko zwłoki niemieckich żołnierzy zagrzebane w torfie.

Następna wolta historii, kolejna zmiana ustroju. Miasto podupadło, odeszła władza, która dbała o fabryki na jego obrzeżach. Dawni robotnicy ze zlikwidowanych zakładów powyjeżdżali za chlebem na Zachód. Ci, którzy zostali, niszczyli siebie, a także swoje rodziny, użalaniem się, alkoholem, beznadzieją. Prawie wszyscy. Jeden z nich, aby ratować siebie, chciał zranić Miejsce. Nie unicestwić, lecz zdewastować.

Opał jest drogi, bezrobotnego nie stać na zakupienie pełnych zapasów na zimę. A Miejsce, od którego mieszkał niecałe dwa kilometry drogi, całkowicie zarosło drzewami. Wierzby, buki, osiki, topole. Nikt nie pozyskiwał stąd drewna, bowiem zmiany własnościowe, bankructwa i wywłaszczenia, korowody syndyków i biurokratyczny bałagan uniemożliwiały ustalenie właściciela. Może to było Miasto, a może któraś z upadłych spółek. Mężczyznę, który przychodził do Miejsca z piłą mechaniczną, mało to interesowało. Po dwóch tygodniach pracy miał już nadwyżki drewna, które mógł sprzedać. Stałe źródło dochodu, może i pochodzące z działalności bezprawnej, jednak pewne.

Zaczął przychodzić tam z córką, sześciolletnią blondynką, która pokochała Miejsce równie mocno jak on. Palili ogniska, zbierali owoce, ojciec uczył swoją córeczkę gry w piłkę. Byli tam szczęśliwi, w przeciwieństwie do większości mieszkańców Miasta. Mężczyzna pracował i odpoczywał jedynie na obrzeżach terenu, bez wchodzenia w głąb. Po co niby miałby wchodzić w gąszcz krzewów, w siatkę cieni rzucanych przez kolonię zrosniętych wierzb, w zwartą ścianę trzciny rosnącej przy głębokim stawie? Stan wód zdecydowanie się tu podniósł przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

Tak więc tych dwoje pozostawało jedynie na krawędzi. Miejsce nie odstraszało upiorną atmosferą, nie budziło nieokreślonego niepokoju. A przynajmniej nie u nich, w przeciwieństwie do wielu, naprawdę wielu innych. To nie irracjonalna obawa, lecz względy praktyczne decydowały o tym, że oboje pozostawali na uboczu dziczającego terenu. Trudności

z wywózką zdobytego drewna, córka zbyt łatwo mogła zgubić się w zaroślach. Były tam przecież stawy, w których dziecko mogło utonąć, oraz mokradła, które trzeba by omijać zdezelowanym GAZ-em, którym tu przyjeżdżali. Drzewa padały, lecz tylko na obrzeżach terenu, ciszę przerywał huk piły mechanicznej, ale jedynie na granicy Miejsca. To wystarczyło, żeby wzbudzić opór.

Pewnego dnia ojciec z córką weszli głęboko w teren nieużytków, zarośli i zabagnionych stawów. Wystarczyła delikatna sugestia, uwaga osoby trzeciej, że bezpieczniej im będzie wycinać drzewa z głębi, z daleka od wzroku zawistników, mogących złożyć donos o nielegalnym pozyskiwaniu drewna z tego terenu. Człowiek, który poradził to mężczyźnie, wydawał się być życzliwy. Miał też rację. Miasto pełne było ludzi sfrustrowanych i niezaradnych, zazdroszczących innym zaradności.

Środek lipca, słońce spacyfikowało ten dzień, przygniatając wszystko upałem. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, świat już nie tyle tęsknił za deszczem, co wręcz o niego błagał. Jednak gdy dwoje ludzi weszło w podmokły obszar, niemal natychmiast zapomnieli o pogodzie i porze roku. Nisko rosła trawa, trzcina, pokrzywy, które parzyły przechodzących. Na średniej wysokości rządziły krzewy oraz ich owoce. Niedługo będzie można zebrać jeżyny, maliny już przejrzały. Najwyższe partie zajęły korony drzew. Konary odcinały się czarnym kolorem kory od zielonej masy liści, pędów i gałązek, których wierzchnia warstwa niż zdążyła jeszcze stwardnieć.

Światło słoneczne docierało tu solidnie poszatkowane, jakby jedynym jego zadaniem było tworzenie mozaiki światłocieni. Nasiąkało innymi kolorami, nabierało niezwykłych właściwości. Miejsce tak jakoś naturalnie potrafiło oszukiwać, że światło i cień są czymś zupełnie innym niż w rzeczywistości. Oczywiście, to było złudzenie.

Mężczyzna zdawał sobie z tego sprawę. Im głębiej wchodzili, tym więcej iluzji ich otaczało. Drzewa wydawały się wysokimi postaciami, pochylającymi się, aby spojrzeć na niespotykane zjawisko: wtargnięcie człowieka. Mężczyzna z córką szli po miękkiej ziemi, nasiąkniętej wilgocią, użyźnionej gnijącymi resztkami roślin. Sprawiała wrażenie żywej skóry, delikatnej i sprężystej. Jakby pod trawą nie było gleby, lecz ciało. Krew i mięśnie. Miejsce tworzyło świat nieprawdziwy z wprawą doświadczonego iluzjonisty.

Chociaż weszli w głąb terenu o drugiej po południu, Miejsce uraczyło ich złudzeniem nocy – na niektórych odcinkach gęstwina odcinała zupełnie światło. Chociaż znajdowali się w granicach administracyjnych Miasta, mieli wrażenie, że idą przez dżunglę, a najbliższe zabudowania są setki kilometrów dalej. Im głębiej, tym bardziej roślinność Miejsca zasłaniała świat, do którego należeli ojciec z córką: rozpadające się kamienice robotniczego osiedla,

opustoszałe fabryki trwające w stanie między kompletną ruiną a zwykłym zaniedbaniem, hale magazynów, z których dawno wywieziono ostatnie towary. Chociaż temperatura powietrza nie pozostawiała wątpliwości co do pory roku, mogło się wydawać, że w samym centrum Miejsca spadł śnieg.

Leżała tam powalona burzą wierzba. Gałęzie pokrywał biały puch. Drzewo rozsiewało nasiona, lipiec to przecież miesiąc, w którym ono kwitnie. Powalona roślina jeszcze przed swoją śmiercią (bowiem one nie „usychają”, one umierają) zdobyła się na ostatni wysiłek, aby przekazać życie dalej. Dziewczynka, zachwycona, podbiegła do wierzby. W tym momencie mocniej zawiął wiatr, dziecko zostało obsypane śnieżnymi kotkami.

Zjawisko niespotykane, przy tym piękne, a więc zachwycające dla sześciolatki. Oraz śmiertelne. Śmiech i paplanina dziewczynki zostały szybko zdławione przez opuchliznę krtani. Bezradny mężczyzna nieudolnie próbował uratować córkę przed uduszeniem, lecz z Miejsca wyniósł sztywne już ciało. Zawiózł je do szpitala, gdzie dowiedział się, że zabił swoje dziecko. „Nie wolno było panu jej tam zabierać! Nie wiedział pan, że córka jest uczulona na pyłki wierzby?”. Ciężka alergia może mieć skutki śmiertelne.

Jednak mężczyzna miał świadomość, że dziecko tak naprawdę zabiło coś innego niż ostry stan alergiczny. Wiedział też, że lekarze w pewnym sensie mieli rację. Nie powinien zabierać córki do Miejsca, o którym mówiono, że należy do zmarłych. Jakieś głupie plotki, jakieś dziwne opowieści. Resztę swojego krótkiego życia człowiek ten spędził z puszką taniego, mocnego piwa przed dyskontem spożywczym. Miejsca unikał, bowiem bał się, że spotka tam córkę. „Tato! Dlaczego posłuchałeś tego pana?”

Mężczyzna wiedział, że jego córka zginęła, ponieważ naruszyli Miejsce. W jednym się mylił: to nie Miejsce należy do zmarłych. Jest wręcz odwrotnie.

Tam właśnie spotkałem Joannę.

2. Ona

Wściekła z powodu życia, którego wiele innych kobiet mogłoby jej pozazdrościć, samotna żona dwa lata po ślubie. Joanna była paradoksem. Przyszła ze swoim zabawnym szkicownikiem i warkoczem uplecionym przez matkę. „Jak ci tam, Joasiu, staracie się o dziecko? Powiedz, córuś, ale on nie będzie patrzył za jakimiś tam praktykantkami, co, będzie wierny, co?” Matka czesała ją, jakby ciągle opiekowała się małym dzieckiem, lecz pytań nie zadawała bynajmniej dziecinnych. Zainteresowanie matki, kolejny element życia, który zamiast cieszyć, frustrował.

Pusty dom doprowadzał Joannę do szału. A przecież powinna być zadowolona,

przecież tylu jej znajomych ciągle marzyło o własnym mieszkaniu, marniejąc w wynajmowanych klitkach. Odwiedziny u matki również odpadały, oznaczałby konieczność kolejnego kłamstwa. „Tak, mamusiu, wszystko w porządku, jest mi dobrze”. Na wizyty u koleżanek, aż chorych z zazdrości, również nie miała najmniejszej ochoty. Nie musiała opiekować się dzieckiem ani pracować zawodowo. Raz dziennie sprzątała czyste mieszkanie, by potem zastanawiać się, co zrobić z resztą dnia przed powrotem Michała. A w zasadzie zwłok Michała. Mąż, pracujący czternaście godzin, uwikłany w trzy inwestycje, w radzie nadzorczej spółki, mający więcej funkcji w różnych przedsiębiorstwach niż pieprzony sułtan turecki tytułów, doczłapywał do domu resztkami sił.

Dziecko? Jakie dziecko? Jej mężczyzna ze zmęczenia ledwo mógł ściągnąć spodnie, a co dopiero użyć tego, co w nich nosił. Niedługo będzie mu musiała zmieniać pieluchy, Michał zacznie być zbyt wyczerpany, aby sikać samodzielnie.

W tej sytuacji Joanna postanowiła zająć się pasją. Tą samą, która pchnęła ją na ASP, którą gotowa będzie poświęcić, jeśli zostanie matką i żoną zbyt zajęta dbaniem o domowe ognisko. Na razie musiał wystarczyć jej szkicownik, węgiel albo ołówki. Czasem farby i sztalugi. Miasto, gdzie niedawno zamieszkali, miało kilka ciekawych zabytków przemysłowych, parę intrygujących kamienic ostało się z wojennej apokalipsy. Zresztą supermarkety też okazywały się wdzięcznymi obiektami dla plastyka. Jednak tworzenie pejzaży miejskich, studiów budowli czy nawet malowanie ulic o wszelkich możliwych porach dnia po prostu nudziło.

Miejsce Joanna zauważyła przez przypadek, przejeżdżając przez Miasto. Mieszkali po drugiej jego stronie, na nowo wybudowanym, idealnie syntetycznym osiedlu. Wybrała się na zakupy, uzupełnić skromne ubytki w zapasach. I wtedy dostrzegła pas zieleni wciśnięty między ostatnie hale zamkniętej fabryki oraz postpeerelowskie kamienice robotniczego osiedla. Po lewej szkielety przemysłowych hal, po prawej sześciany rozpadających się budowli, którym spółdzielnia mieszkaniowa ciągle wymieniała elewacje. Malowano czynszówki na wesołe kolory, lecz beż i róż nie mogły przykryć smutnego faktu: osiedle gniło.

W przeciwieństwie do Miejsca, które kwitło.

Przyjechała tam następnego dnia, SUV zaparkowała na polnej drodze, która wchodziła w popękaną szosę przy bocznicy kolejowej. Wyszła z samochodu, podeszła pod Miejsce, po czym stanęła. Tak po prostu, stała i gapiła się na krzaki oraz drzewa. Gdzieś w tle, na linii horyzontu, tkwiły bloki osiedla, a na prawo majaczyły bryły centrum handlowego. Aby stracić z oczu Miasto, musiałaby wejść głębiej, przekroczyć niewidzialną, lecz wyczuwalną

granicę. Coś musiało ją powstrzymać, coś musiało ją przyciągać. Dwie przeciwstawne siły działały na nią, wywołując niepokój i fascynację. Przez chwilę miałem wrażenie, że nigdy już tu nie powróci, oddając się swojemu bezpiecznemu życiu i nudnym pasjom. Po kilku minutach stania w bezruchu, Joanna wróciła do pojazdu i odjechała.

Wróciła dwa dni później, z przyborami do rysowania. Robiła pewnie jakieś studium do pejzażu. Obserwowałem ją z głębi, z samego centrum Miejsca, myśląc o tym, co będę musiał zrobić. O tym, do czego jestem zmuszany. Podeszedłem do niej, gdy przyjechała tu po raz trzeci.

Siedziała oparta o pień drzewa. Palce pobrudzone węglem, wokoło długich, chudych nóg walały się pomięte kartki, pewnie nieudane szkice. Z otwartego plecaka, wojskowej kostki, gadżetu popularnego niegdyś u fanów grunge, wystawały pędzle. Wyszedłem z krzaków szybkim krokiem, jednak bezszelestnie. Nie chciałem, aby zdała sobie sprawę z mojej obecności za wcześnie. Było to o tyle łatwe, że całą uwagę koncentrowała na pracy.

– Dzień dobry pani – powiedziałem, gdy podeszedłem do niej. – Tak się zastanawiam... jest pani artystką, ale malarką czy rysowniczką?

Podniosła głowę, spojrzała na mnie zaskoczona. Nie tyle przestraszona, co zmieszana. Szybko jednak na jej twarzy rozkwitł śliczny uśmiech. Naprawdę, Joanna była ładną kobietą.

– Ani tym, ani tym. A na pewno nie artystką. Amatorką-hobbystką.

– Aha. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zobaczyłem panią i pomyślałem, że się przywitam. Chyba kojarzę... mieszka pani na Lewandowskiego?

– Tak, od niedawna. Przeprowadziliśmy się z mężem rok temu.

– Cóż... to dobrze, że ktoś do tego miasta przyjeżdża, ludzie zazwyczaj stąd wyjeżdżają. Ale... pewnie pani przeszkadzam, prawda? Jeśli tak, to...

– Nie, nie przeszkadza pan! Mam na imię Joanna.

Przedstawiłem się, usiadłem obok niej, zacząłem rozmawiać. Musiałem bardzo uważać, aby ukryć ulgę, jaką odczułem. Joanna podtrzymała kontakt, nie posłała mnie do wszystkich diabłów, ani nie dała do zrozumienia, że mam dać jej spokój. Wręcz odwrotnie, najwyraźniej w tych pierwszych, najważniejszych minutach rozmowy spodobałem się jej. Szybko przeszliśmy na ty.

Rozmawialiśmy na luźne, niezobowiązujące tematy. Oczywiście, a przy tym przyjemne, jak muzyka czy filmy. Ona wolała The Sisters of Mercy, ja Nine Inch Nails. Ona, będąc podlotkiem, podkochała się w Brandonie Lee, ja wzdychałem do Winony Ryder. Z początku unikaliśmy osobistych wyznań, natomiast sporo o niej pokazywało mi Miejsce. Samotność i strach Joanny oraz to, że będzie nieszczęśliwa, widziałem jako ciemną smugę

otaczającą ciało. Taka grafitowa, nieco wyblakła poświata. Frustracja odmalowała sine cienie na twarzy, a pożądanie bycia kochaną nadawało skórze jasnoniebieski odcień. Tak nam Miejsce pokazuje ludzką duszę – nadając barwy emocjom.

Wypytywałem się o malowanie: najczęściej kupuje farby akrylowe, bo są wygodne w obsłudze. Stwierdziłem, że jej szkice wyglądają na profesjonalne: nie dostała się na malarstwo, studiowała natomiast grafikę. Pozwalałem sobie na ironiczne uwagi o Mieście: wcześniej wynajmowali mieszkanie w Krakowie, przeprowadzka z kilkuset tysięcy metropolii do kilkudziesięciotysięcznej miejscowości dobrze jej zrobiła. Jest zadowolona, kłamała. Po czym mówiła prawdę:

– Mąż prowadzi dużą firmę deweloperską, nabył tutaj sporo terenu, na którym jego spółka ma wybudować... coś tam ma wybudować, w związku z planami jakiejś przebudowy. Jestem laikiem, jeśli chodzi o pracę Michała.

– Pewnie chodzi o obwodnicę – powiedziałem. – Od dwudziestu lat mówią, że ma być wybudowana i połączona z autostradą na Ukrainę. Wszystko wskazuje na to, że tym razem nic nie stanie na przeszkodzie.

– To pewnie ludzie się cieszą. Odblokowane centrum, mniej samochodów w mieście, te sprawy.

– Tak, ludzie się cieszą... ludzie tak.

Miejsce słyszało naszą rozmowę, więc zareagowało. Subtelnie, lecz dostrzegalnie. Przez ułamek sekundy wszystko to, co tkwiło w nim głęboko, zawrzało, cienie zakotłowały się, barwy zgęstniały. Spojrzałem na Joannę, ciekawy, czy ona również to zauważyła. Nieokreśloną, nieopisywalną zmianę aury. Ja to czułem, lecz ona nie. Była zbyt skoncentrowana na mnie. Podobałem się jej, naprawdę. To dobrze.

– A ty, co tu robisz? – Wskazała białym palcem na aparat, który miałem przy sobie. – Fotografujesz pejzaże?

– Nie. Ale, podobnie jak ty, jestem hobbystą. Ornitologiem amatorem. Na tych bagnach można spotkać ciekawe ptaki. Krogulce, kukułki, raz nawet udało mi się uchwycić czaple. W ten sposób spędzam czas, zanim znowu wyjadę. Siedząc w krzakach i strzelając fotki starą Leicą.

– A kiedy wyjedziesz znowu?

– Nie wiem. Pewnie jeszcze tego lata. To nie zależy ode mnie.

– Tylko od twoich pracodawców, co?

– Bardziej adekwatne byłoby określenie „panów” lub „właścicieli”. A ty, oprócz małżeństwa, zaangażowana jesteś w jakąś współczesną formę niewolnictwa?

Pokiwała tylko głową, z grymasem w stylu „a tam, szkoda o tym gadać”. Dałem jej więc szansę na zmianę tematu. Po chwili spytała:

– Tutaj naprawdę są ptaki? Nie widziałam żadnego żywego stworzenia.

– Są, tylko stąd niewidoczne. Chowają się w trzcinie, w zaroślach. Nie wchodziłaś nigdy głębiej?

– Nie... jakoś... nie wiem. To miejsce jest ciekawe, ale jakieś...

– Trochę upiorne, prawda?

Uśmiechnęła się, zgrabnym ruchem dłoni poprawiła warkocz. Miejsce pokazało mi, że czuje lekki niepokój, ale i zażenowanie. Tak, głupio jest się przyznać przystojnemu facetowi do strachu przed kawałkiem mokradeł i paroma krzakami.

– Upiorne? Czy ja wiem?... Raczej puste i ciche. Takie dziwne.

– Tak, dziwne, tu się zgodzę. Ale to tylko wrażenie wywołane kontrastem. Bo zobacz, kilometr dalej jest już Miasto, hipermarkety, samochody, blokowiska. Za nami te rozwalone fabryki. Jak wejdiesz głębiej – wystarczy kilka kroków – to już ich nie widać. Natomiast można spotkać fascynujące stworzenia.

– Jak na razie spotkałam tylko jedno.

Zaśmiała się, zachwycona własną zalotnością. Coś więcej niż gra w flirt, udawanie kokietki. Wyraźny sygnał: „interesuję się tobą”. To dobrze, to bardzo dobrze. Bo nią zainteresowane było Miejsce. Dziesięć minut później pożegnaliśmy się, bez pytań o numer telefonu czy sugestii w sprawie spotkania „na mieście”. Jeszcze nie, jeszcze za wcześnie. Zresztą, i tak musiałbym jakoś z tego wybrnąć.

Przyjechała ponownie dwa dni później. Gdy tylko wysiadła z samochodu, zaczęła się rozglądać. Jeszcze zanim wyjęła swoje przybory, zlustrowała Miejsce długimi spojrzeniami. Niecierpliwość otaczała ją jasnoczerwonym lśnieniem. Przyszedłem prawie natychmiast.

– Cześć! – ucieszyła się na mój widok. – Czy ty tu mieszkasz na stałe?

– Chyba już można tak powiedzieć... Dalej szukam tych swoich fascynujących stworzeń.

– I co, znalazłeś jakieś?

– Na razie tylko jedno.

Zaśmiała się, zachwycona faktem, że ewidentnie z nią flirtuję. Usiedliśmy w cieniu dębu, ciągle na krawędzi, ciągle zbyt wiele kroków od centrum. Od punktu, gdzie bagno jest najstarsze, a stawy najgłębsze. Przyszło mi na myśl, żeby już to zakończyć, skrócić. Mógłbym jej zaproponować wejście głębiej, pod byle pretekstem. Nawet idiotycznego spaceru. Odmówiłaby, na pewno, jeszcze mi nie ufała. Poza tym zbyt mocno na nią oddziaływała

atmosfera Miejsca. W takim razie musiała zadziałać jakaś inna siła, coś, co zmusiłoby ją do przełamania się, wejścia w gęste zarośla.

Tam, gdzie bagno jest najstarsze, a stawy najgłębsze.

Przyjeżdżała prawie codziennie. Po kilku dniach nasze rozmowy nabrały bardziej intymnego charakteru. Uwagi o życiu, zwierzenia z własnych planów, mówienie o osobistych doświadczeniach wkładało się niepostrzeżenie, lecz konsekwentnie w standardowy zestaw tematów świeżo poznanych znajomych. Joanna odsłaniała się powoli, przypominało to układanie obrazka z puzzli. Kawałek po kawałku, ze spotkania na spotkanie, pokazywała skrywany żal oraz tłumioną frustrację. Mówiliśmy o marzeniach i pragnieniach, więc Joanna oczekiwała ode mnie szczerości. Starłem się kłamać jak najmniej, a przy tym wykonać zadanie. Miejsce niecierpliwiło się, a to... było dla mnie cholernie bolesne.

– Wiesz – powiedziałem, gdy rozmowa zeszała na temat dzieci – ja chciałem mieć córeczkę. Takiego słodkiego aniołka z jasnymi włosami, najlepiej, aby ciągle miała sześć lat. Przez całą wieczność. Uczyłbym ją grać w piłkę, zbieralibyśmy owoce. Można by tu palić ogniska. Kochałbym ją całym sercem.

Ostatnie zdanie było wierutnym kłamstwem. Szczerze nienawidziłem cholernego bachora.

– Może jeszcze będziesz miał?

– Muszę zauważyć, że aby się rozmnażać, trzeba mieć z kim.

– Nie spotkałeś tej jedynej?

– Dotychczasowa kandydatka wcale nie chciała, abym ja był tym jedynym. Spotkałem ją w robocie, gdy pracowałem jako referent w wydziale zagospodarowania przestrzennego miasta. Rozmawialiśmy o tej pracy, pamiętasz. Ona też była urzędniczką. I fakt, mówiła mi, że jestem jedyny. Kilku innym facetom w tym samym czasie też. Okazało się, że zebrałoby się nas małe stado.

– A, to przykre. Więc nie spotkałeś tej jedynej.

– Nie wiem... teraz nie jestem taki pewien.

Drgnął jakiś mięsień na jej twarzy, trochę głębiej odetchnęła. Zadziałało, podniecenie zabłysnęło złotym kolorem. Tętniło życiem i niecierpliwością. Tak jak Miejsce, jego złość pulsowała już na granicy widoczności, za ścianą drzew. Ukryte rzeczy żądały, aby w końcu stać się widoczne.

Jeszcze nie była gotowa. Odmówiłaby wejścia głębiej. Jeszcze jedno, może dwa spotkania.

3. My

Jest już gotowa.

Aluzje stawały się śmielsze, o swoim mężu mówiła z coraz większą irytacją. Moje komplementy sprawiały jej wyraźnie więcej przyjemności. Ja, z drugiej strony, nie mam wyboru. Miejsce nie pozwala mi spać, budzi mnie za każdym razem, gdy chcę się rozplątać. Jeśli już pozwala na sny, napuszcza nas na siebie. Koszmary, w których ciągle przeżywam spotkanie z tym nieszczęsnym dzieckiem. Widzimy też, co spotkało innych. Ciągłe i na nowo.

Muszę działać, bo będzie coraz gorzej.

– Tak się zastanawiam – mówię do Joanny – dlaczego my tu ciągle tkwimy? Od dwóch tygodni spotykamy się prawie codziennie, rozmawiamy jak starzy przyjaciele, lecz zawsze tkwimy w tym samym miejscu.

– O! To pojedźmy na kawę, co? Znam...

– Proszę cię, tylko nie do miasta. Niedobrze mi się robi na samą myśl, że mam tam wracać.

Joanna podciąga kolana pod brodę, mocniej obejmuje nogi. Teraz podejmuje decyzję.

– Aha. To chcesz, abyśmy poszli... tam! – Wyciąga rękę w kierunku Miejsca. Jej palec wskazuje zwartą ścianę trzciny rosnącej przy pierwszym stawie.

– Nie do końca, moja pani. Raczej... tam!

– A co jest... „tam”, mój panie? – Jest rozbawiona. Jej głos przez to staje się nieco piskliwy, jak u ucieszonej dziewczynki, która ma zaraz obejrzeć ulubioną bajkę.

– Staw, który zamienia się wskutek procesów... no, tych procesów, jak im tam... W trzęsawisko. Kilkanaście arów prześlicznej wody, kilka hektarów zagajników. Miejscami podmokłych. Dużo drzew. Jagody. Oraz siedlisko bardzo interesujących stworzeń. Pasuje?

– Oooo... chcesz mi pokazać jakiegoś pięknego ptaka? Pasuje.

Rubaszna aluzja, jakbym dawał się podrywać licealstce. Niesmaczne, prymitywne, w złym guście, lecz Joanna jest zadowolona. Myśli teraz, że ze mną mogłaby być szczęśliwa, jak niewiele z jej rówieśniczek w Mieście. Fantazjuje o seksie w romantycznej scenerii. Ja jednak wiem, że to tylko fantazje. Gdybyśmy doszli od ślicznego stawu, gdybym zaczął ją całować, Joanna wycofałaby się. Nie mogę, mam męża, to nie tak, jak myślisz. Jednak teraz jest zafascynowana i podniecona. Podoba jej się to na tyle, że zapomina o strachu przed Miejscem. Ufa mi.

– W takim układzie, chodźmy. Idź przodem, Joasiu.

Miejsce składa się z kilku warstw. Zewnętrzna to głównie zarośla, pas zieleni porośnięty krzewami i drzewami. Rośliny są młode, zdrowe, choroby je na razie oszczędziły.

Mijamy dwa stawy, wąskie i płytkie. Idziemy przez ten kawałek powoli, wybierając jak najdogodniejszą trasę. Omijamy krzaki, jednak zdarza się, że gałęzie wplątują się w długą suknię Joanny. No, co mnie zaczepiasz. A może, mój panie, to nie krzaczyska, lecz potwory? Obronisz mnie? Kobieta jest niepoważna, roześmiana, szczebiocze. Pewnie myśli, że wygłupy dodają jej zalotności.

Idź dalej, Joanno, idź.

Druga warstwa to łąka, która powoli zmienia się w młody las. Dęby są jeszcze kruche, zbyt wątłe, aby wyraźnie zaznaczyć swoją obecność, natomiast wierzby powpychały się w każdy wolny zakątek przestrzeni. Buki, najstarsze z rosnących tu drzew, rosną daleko od siebie, dzięki czemu ich korony są rozłożyste. Na ziemi sporo kałuż, omijanie ich jest nawet bardziej kłopotliwe niż wcześniej krzewów. Tam, gdzie nie ma drzew, rośnie gęsta trawa. Przedzieramy się przez nią, brniemy wytrwale. Czasami przechodzimy obok kolejnego stawu, bardziej zarośniętego niż te na zewnątrz Miejsca.

Joanna spoważniała, odzywa się ciszej. Mówi, że to miejsce jest śliczne, chociaż kolory jej emocji ciemnieją. Niepokój zabarwia aurę fioletową smugą. Jesteśmy już pół kilometra od granicy i kobieta orientuje się, że weszła do zupełnie innego świata. Mniej światła, przytłumione odgłosy Miasta zastąpiły zupełnie inne dźwięki. Cichy szum wiatru, gdzieś dźwięczą owady. Idziemy wolniej, w końcu przystajemy.

– Co się stało? – pytam.

– Ojć... Mam nadzieję, że to nie jest piękny ptak, którego mi chciałeś pokazać?

Padlina, pewnie czapli lub bociana, zawieszona na gałęziach krzewu. Pióra o ciężkim do zidentyfikowania kolorze, przypominające grudy błota. Przez resztki gnijącego mięsa przezierają kości. Otwarty dziób, w oczodołach kłębi się robactwo.

– Cóż. Ptaszek miał pecha, przyleciał w niewłaściwe miejsce o niewłaściwej porze. Teraz zgnije, rozłoży się i wzbogaci glebę. Ten kawałek ziemi dobrze zagospodarowuje wszystko, co niegdyś żyło. Idź przodem, Joanno, idź.

– Ale gdzie? Daleko jeszcze?

Nie odzywam się, pokazuję kierunek ręką.

Powoli dochodzimy do ostatniego kręgu. Do centrum. Teren staje się permanentnie podmokły, ciągle wchodzimy w kałuże zamaskowane kępami trawy. Joanna narzeka, że zupełnie jej przemokły trampki, że pobrudziła sobie suknię. Wszędzie leżą konary powalonych drzew, z krzewów zniszczonych chorobą pozostały najczęściej jedynie przezarte próchnicą szkielety. Nawet najsilniejsze i największe drzewa niszczy choroba.

– Daleko te kilka arów prześlicznej wody? – Joanna odwraca się do mnie.

– Przed nami. To tutaj zaprowadziła mnie dziewczynka.

– Jaka dziewczynka? A, o tym mi nie mówiłeś...

Teraz i w tej chwili rzeczy ukryte mają stać się widoczne.

– Pracowałem jako urzędnik odpowiedzialny za zagospodarowanie przestrzenne miasta. Mówiłem ci o tym. Dostaliśmy pieniądze z Brukseli na rewitalizację obszarów przemysłowych, to było tuż po wejściu Polski do Unii. Byłem odpowiedzialny za opracowanie i wdrożenie planów, forsowałem ten pomysł, włożyłem w niego dużo energii. Napisałem strategię, aby przedłożyć ją radzie miasta do klepnięcia, miałem powołać zespół, który tu wszystko zmieni. Wniosek do funduszu prawie gotowy, ja tak cholernie dumny z siebie. Narzeczona przyprawiała mi rogi, więc pracą kompensowałem sobie niepowodzenia osobiste. Dostaliśmy wiadomość, że ten teren jest użytkowany przez miejscowych. W samym środku obszaru rewitalizowanego. Przyjechałem to wyjaśnić. Miałem ze sobą plany, a w duszy postanowienie, że doprowadzę wszystko do końca... wysiadłem. Myślę, ile czasu i pracy zajmie osuszenie tego... gnoju... co tu może powstać... gdy wykarczujemy drzewa, usuniemy... syf i bagno. Stoję, planuję i wtedy wychodzi ta dziewczynka.

Miejsce nie musi już udawać, może powoli rezygnować z roztaczania iluzji. Gdzieś ulotniła się ta obłądna zieleń liści, przecież grzybica niemal dokumentnie je pożarła. Wiatr nie śpiewa delikatnie w koronach drzew, lecz wyje. Światło słoneczne odcinają nie tylko gałęzie, ale też gęste chmury zbierające się niebie. Smrodu zgnilizny nie maskują zapachy kwiatów. Nad całym Miejscem rozciąga się ciemność, która mieszkała tu od zawsze. Naprawdę od zawsze.

Joanna ignoruje otoczenie. Zastyga w bezruchu. Obserwuje mnie i moją przemianę, a jej przerażenie staje się ciemniejsze niż najgłębszy z tutejszych cieni. Widzi w końcu, czym jestem. Na razie nie może uwierzyć. Mogę więc przez kilka sekund dalej jej tłumaczyć.

– Dziewczynka, ja zawsze chciałem taką mieć. Wiesz, jasnowłosa aniołek, te sprawy. Mówi mi, że tam jest jakiś pan, który chce skrzywdzić ją i tatę. Czy im pomogę? Pobiegłem z nią. Bezmyślnie, bez zastanowienia. Rycerz w lśniącej zbroi. Gdy dotarłem tutaj, gdzie bagno jest najstarsze, a staw najgłębszy, zobaczyłem ją... i innych.

Kobieta usiłuje wykrztusić z siebie jakieś słowa. Zapewne z gardła ściśniętego przerażeniem miały wydostać się jakieś pytania, może prośby, może po prostu okrzyk przerażenia. Usłyszałem tylko cichy pisk.

– Ja się stąd nigdy nie wydostałem, Joanno. To miejsce pełne jest martwych ludzi. Zmarłych, którzy należą do Miejsca. Jesteśmy w jego posiadaniu.

Pierwsza pokazała się opuchlizna, ciało wzdęły gazy rozkładu. Skóra zsiniała,

ściemniała, rozkwitły na niej plamy opadowe. Gałki oczu zmętniały, aby zmienić się w galareteę. Od kości odchodziły płaty gnijącego mięsa. To, co pozostawiły bakterie, dokończyło robactwo. Drobne, pracowite stworzenia, jedyne żywe istoty, które Miejsce toleruje. Dalej mówię, spomiędzy resztek zębów, spomiędzy warg poszarpanych przez insekty jakos wydobycją się słowa.

—... ale i tak tu nie chodzi o ciebie. Miejsce ma swoje zamiary, używa martwych, aby manipulować żywymi. Lecz tym razem dotyczy to kogoś innego. Co nie zmienia faktu...

Powoli ruszam ku niej. Miejsce porusza poczerniałymi piszczelami oblepionymi resztką tkanki, korpusem obłożonym przegniłymi szmatami. Joanną wstrząsa dreszcz, zatacza się. Próbuje uciekać, potyka się, niezgrabnie wstaje.

—...co nie zmienia faktu, że i tak dołączysz do kolekcji.

Jestem naprawdę blisko niej, gdy zrywa się do ucieczki. W najgorszym możliwym kierunku – prosto przed siebie, a jak najdalej ode mnie. Po kilku metrach potyka się po raz kolejny, długa suknia zaczepia o konar wystający z wody. Tu jest już głębiej. Joanna na chwilę cała zanurza się, potem podnosi i ucieka dalej. Trzask pękającego materiału jest nawet głośniejszy niż wiatr, na drewnie zostają kawałki ubrania.

Krzyczy bardzo głośno, a krzyk zmienia się we wrzask, już zupełnie bezrozumny, gdy zaczynają po nią sięgać inni. Gałęzie obumarłych drzew i ręce, z których pozostały jedynie kości. Szczątki podtopionych krzewów oraz przegniłe dłonie. Jej nogi owinęły wodorosty, a także resztki zwłok.

Woda sięga Joannie jedynie ponad kolana, lecz to wystarczy, aby zakryć ją całą, gdy pada po raz kolejny. Nie udaje jej się podnieść, jest zbyt mocno przytrzymywana przez zmarłych. Wściekłych, jak zawsze, gdy się ich budzi. Po dwóch minutach szamotanina ustaje. Woda i muł, gdzie zniknęło jej ciało, spokojnie zastygają. Cisza.

Dobranoc, Joasiu. Chciałbym ci życzyć słodkich snów, ale wiem, że w naszym przypadku słodkie to one nie będą.

4. On

Umarli śnią. Śmierć jest nocą, zazwyczaj spokojną i ciemną. Umierając, rozpływamy się w niej, czy też raczej rozpuszczamy, jak cukier w gorącej wodzie. Gdy Joanna odpuściła, gdy przestała się szamotać, ponieważ instynktem samozachowawczym przedłużającym agonię, jej jaźń również rozpuściła się w nocy.

Zazwyczaj sny zmarłych to chaotyczne migawki marzeń i wspomnień. Fragmenty tego, czym było nasze życie, urywki tego, czym być mogło. Z nami jest jednak inaczej.

Należymy do Miejsca, jesteśmy jego częścią, tak jak mebel staje się częścią mieszkania. Dzielimy jego fascynacje i obsesje, jego lęki i jego cholerną, przeogromną wściekłość. Więc to ono dyktuje nam sny. Najczęściej to pełne gniewu i zawiści koszmary. Przeżywanie na nowo i w kółko chwili śmierci.

Miejsce nie pozwala mi odejść w noc, nawet po tym, jak posłusznie wykonałem zadanie. Ma dla mnie jeszcze jeden sen, tym razem o przyszłości. Chce się pochwalić, jest zadowolone, a nawet dumne z siebie.

Zanim zabierze mnie miękka i ciepła ciemność, śnię o tym, co będzie.

Ciało kobiety utonie w mule, osiędzie pośród błota. Nad Miejscem, spokojnym już i sytym, zapadnie noc. Wtedy do domu wróci mąż Joanny, zmęczony bardziej niż zwykle, zestresowany mocniej niż zazwyczaj. Na posiedzeniu rady nadzorczej musiał odpowiadać na niewygodne pytania. Terminy, kosztorysy, zasoby, decyzje. Pieprzyć to, zasnąć i przytulić się do żony. Łóżko jednak zostanie puste.

Następnego dnia pojedzie do pracy, zastanawiając się, gdzież to jego żona spędziła noc. Podjazd pusty, brak SUV-a. Może została u matki, mieszkającej czterdzieści kilometrów dalej? Może pojechała do koleżanki, popiła wina i nie mogła prowadzić? To dlaczego jej telefon milczy? Siedem prób połączeń, za każdym razem ten sam drażniący komunikat: abonent czasowo niedostępny.

Michał przestanie myśleć o pracy, koncentrować się na terminach i zadaniach. Pomyśli o swojej żonie. W końcu.

Zaginiecie zgłosi na policję następnego dnia. Procedura poszukiwania osób zostanie wszczęta bez zwłoki. Facet to dyrektor spółki, która jest największym inwestorem w rejonie. Biznesmen obecnie to szycha, jak kiedyś partyjni dyrektorzy. SUV-a znajdą szybko, zaparkowanego tam, gdzie zostawiła go Joanna. Tuż przy Miejscu, na granicy Miasta.

Latarki policjantów przeszukujących krzaki. Szczekanie psów tropiących. Miejsce będzie wściekle, lecz przetrzyma. Przyjdą, nie znajdą nic, pójdą. Chociaż nie, coś znajdą. Mężczyzna szalejący ze strachu o swoją żonę podbiegnie do grupki policjantów pochylonych nad czymś, co w świetle halogenowych reflektorów wygląda jak zbitek gałganów oblanym olejem samochodowym.

– To nie pańska żona – powie funkcjonariusz. – Zwłoki leżały w mule za długo.

W dłoni gliniarza, chronionej gumową rękawiczką, pojawi się dowód osobisty. Już plastikowy, byłem jednym z pierwszych w Mieście, którzy go odebrali.

– Wiem, kto to był, urzędnik z magistratu! Zaginął dziesięć lat temu, szukaliśmy faceta też tutaj...

Ja ciągle o tym śnię.

Policjant powie, że tu często giną ludzie. Toną w stawach albo w bagnie. Czasami dzieci, jednak dziwnie często dorośli. Zwłoki znajduwane są niekiedy po wielu latach. Cholerne miejsce. Ktoś powinien z tym zrobić porządek.

– Ale pana żony tu nie ma. – Policjant będzie chciał pocieszyć męża Joanny.

– Jest. Wiem to.

– Miejmy nadzieję, że nie. To tylko sto hektarów, jak będzie jakiś ślad, to na pewno znajdziemy.

I znajdą. Ślad, tylko ślad. Kawałek długiej sukni, która należała do Joanny. Ponieważ obszar nieużytków będzie znajdował się na terenie poszukiwań, ponieważ znajdą tam fragmenty odzieży i samochód poszukiwanej, nie można tam przeprowadzać żadnych robót aż do zakończenia lub zawieszenia poszukiwań. A terminy gonią. Beton musi być wylany, spychacze muszą pracować. Planowaną inwestycję organy i rady przesuną bardziej na północ, spółka, której przewodzi Michał, zbuduje parking, stację benzynową oraz zajazd dla podróżnych dwa kilometry dalej, na terenie rozebranej fabryki.

Lecz najpierw spółka pozbędzie się ze struktur faceta, który bardziej przejmuje się swoją zaginioną żoną niż obowiązkami dyrektora wykonawczego. Przykro nam, panie Michale. Wiemy, osobista tragedia. Niech pan weźmie urlop, poczuje się pan na siłach...

Mężczyzna będzie powracać na Miejsce, nawet gdy odejdzie stamtąd policja. Ona tam jest. Musi być. Po dwóch miesiącach, podczas kolejnej wizyty, Michał znajdzie coś, co go o tym przekona. Szkicownik, a w nim kilka rysunków swojej Joanny. Policja ponownie nie rozpocznie tak chętnie poszukiwań. Biznesmen na bezterminowym urlopie bezpłatnym to żadna szucha. Jak już zdecydują się na wznowienie działań, nie wyślą całej komendy z psami i sprzętem. Pojedzie dwóch łebków z prewencji, którzy stwierdzą, że nic niż znaleźli, zanim jeszcze wysiądą z samochodu.

Michał będzie powracał na Miejsce, już nie szukając jakiegoś śladu, lecz czekając na niego. Tak po prostu, będzie tkwić wśród chorujących drzew, na podmokłej ziemi i patrzeć się w ciemność, która mieszkała tu zawsze.

Wszystko się zmienia. Zmarli należą do Miejsca. Żywi należą do Miasta, to ono ich posiada, dyktuje treść koszmarów. Miejsce uznało za niezwykle intrygujące złamanie tej starej reguły. Po raz pierwszy zdołało nie tylko obronić się przed Miastem, ale też zagarnąć coś nowego: żywego człowieka.

Jest z siebie tak cholernie dumne.

Dlatego muszę o tym śnić.

WILLIAM HJORTSBERG
HARRY ANGEL

WZNOWIENIE
JEDNEGO ZE
WSPANIALSZYCH
KLASYKÓW
LITERATURY NOIR.

DEAN KOONTZ
WIZJA

DEAN KOONTZ
W NAJLEPSZYM
WYDANIU.





SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

rys. Roman Panasiuk



OBRAHUNKI FATIMSKIE

Przemysław Karbowski

Jako formalny poddany rzymskiego papy poczułem się obrzygany. Prawie jak podczas pogrzebu Jaruzelskiego. Fatimski hipermarket z dewocjonaliami niby mnie nie przerasta, zwykła ciekawostka, handel jak każdy inny. Tylko co tu robią wina, słodycze, korkociągi? Co tu robią posągi Buddy? Co tu robią hinduskie rzeźby? Podobizny Wisznu i Ganeśi? Dziwne, nie do końca wytłumaczalne uczucie. Coś, do ciężkiej cholery, jest nie tak! Może mi to ktoś wyjaśni, ale jeśli użyje słowa „ekumenizm”, dostanie po mordzie, słowo daję. Służba Mammonowi, o tak!

Niech te dwumetrowe Matki Boże będą brzydkie, niech ci wydzierni na podkoszulkach pastuszkowie straszą na bawełnianym tle. Niech krucyfiksy kapią od sztucznego złota. Niech te figurki papieży przerażają. Jan Paweł II jak pan z teledysku do

„Enter Sandman”, Benedykt XVI jak laleczka Chucky, Franciszek I jak Frank Lampard.
Tylko z tiarą...

Niech sobie ten gmach, ta jaskinia zbójców, stoi na uboczu. Mam nadzieję, że wszystko jest obliczone tylko na to, izby nie rozkładać kupieckiego majdanu przed kościołem. Koncepcja słuszna, tylko czy wprowadzana w życie? Obaczę na miejscu. Uwaga, wychodzę!

I, jako pierwszy turysta od wielu lat, a może i od początku istnienia tego przybytku, opuszczam sklep wyjściem dla tych bez zakupów, zapomnianym, omszałym, zarosłym pajęczynami i pleśnią... W przenośni, ale jednak... Wzbudziłem niezdrowe zainteresowanie, coś w rodzaju furory, przez dłuższą chwilę jestem w centrum wydarzeń, pokazują mnie palcami. Jak tak można? Ani eurocenta nie zostawić? Można, można, trzeba mnie tylko nieźle wkurwić. Złamanym szelągami nie podpiszę się pod tym cyrklem.

Nie znam się na habitach. Franciszkanin? Karmelita? Kameduła? Patrzy drwiąco albo życzliwie, ciężko stwierdzić. Na sto procent Polak, czuję to.

– Jedyne sprawiedliwe w Sodomie? – pyta z przekąsem, po polsku, a jakże!

– Widzi braciszek, ja jestem zwolennikiem twardej teologii – cedzę słowa. – Od biedy za ostatnie objawienie mogę uznać nawrócenie się Szawła w drodze do Damaszku. Nic ponadto.

– A na kawę się pan skusi?

– Nie piję kawy, ale kieliszek portu jak najbardziej.

Idziemy do kawiarni na portu. Bo mają.

– Gdybym w polskiej herbaciarni zamówił setkę czystej, mógłby być problem...

– Nie wątpię. – Zakonnik uśmiecha się dziwnie. – To jak to jest z tymi objawieniami? Prowokator... Tylko do czego on może mnie sprowokować?

– Jedni wierzą, inni nie. Mam nadzieję, że ta odpowiedź braciszka satysfakcjonuje?

– Ale mówił pan, że ostatnim objawieniem...

– Ale ja różne rzeczy mówię – przerywam. – Przyszliśmy pić wino czy na teologiczną dysputę?

Śmieje się. Typ wybitnie wesołkowaty.

– Są to czynności komplementarne... – Wyciąga rękę nad stolikiem. – Jan.

– Mariusz...

Niemal niezauważalnie speszony i to po takim prostym triku. Mam cię, konspiratorze z bożej łaski! Znasz moje prawdziwe imię! No to jedziemy... Niniejszym uznaję się za sprowokowanego!

– Ja nie wierzę w żadne objawienie. W żadne Fatimy, Lichenie, Medjugorje, Akity... Mało tego, ja nie wierzę, że taki teolog jak Ratzinger w nie wierzył.

– Ostro... Czyli co z fatimskimi pastuszkami? Niedożywieni, chorzy, podpuszczeni przez dorosłych?

– A może opętani?

– Czyżbyś wierzył w Boga?

– Powiedziałem: opętani przez Boga?

Jan ponownie się speszzył. Ewidentnie wyprzedza tę dyskusję według klucza, który ktoś mu podsunął.

– No, nie...

No jasne, że nie, bracie Janie. Rzucę ci parę kół ratunkowych.

– Licha wiara w osobowego Szatana porządkuje życie na stare lata. Dożyjesz mojego wieku, to zrozumiesz... Bo przecież nie może być tak, że sam wpadam na to, żeby spróbować wjechać pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Że myślę o tym, jakby tu zatłuc małżonkę albo poćwiartować teściową. Zgwałcić siostrzenicę albo ekspedientkę. Zatankować do pełna i uciec, nasrać przełożonemu na laptop i iść do domu... Łatwiej żyć z myślą, że to podszept Złego, a nie zło w nas, prawda?

– Ciszej!

– Dlaczego? Kto mnie usłyszy? Ta smutna pani za ladą? Ona myśli tylko o tym, że kiedyś władała połową świata, którą skolonizowała, a teraz nalewa turystom porto w kawiarni... Jak chcesz mnie jeszcze zobaczyć, to jutro w południe przed sanktuarium. Dziękuję za wino. Następnym razem ja płacę.

Ani chybi Szatan mnie podkusił, żeby tu przyjechać. Po jaką cholere? Po Lizbonie, klasztorach w Alcobaça i Bathalii, do Fatimy. Szlakiem każdego szanującego się turysty, hehe...

Łeb boli po tym porto. Dobre, ale jakby tak wypić wiadro, to wylew murowany.

Jak mnie namierzili? I kto?

Zgódźcie się, Manuelu. To ksiądz aż z Lizbony, od samego arcybiskupa. Nikogo nie dopuszczę do Franciszka! On jest chory. Wiem, Manuelu. Ten ksiądz pobłogosławi. Dlaczego nie mogę być przy tym? Przecież obiecaliście... Dzieciak ma zapalenie płuc, ale doktor powiedział, że już jest dużo lepiej. Manuelu, on pobłogosławi. Manuelu!

Dosypał mi czegoś braciszek Jan do wina? Kiedy? Przecież nawet nie wychodziłem do toalety. W takie drzemki nie mam zwyczaju wpadać...

Kto mnie namierzył? I jak?

Hiacynto! Córeczko! Boże miłosierny! Bóg zabrał ją do siebie, Manuelu... Ksiądz był w szpitalu, pobłogosławił... Zabiliście mi dzieci! Zabiliście Franciszka i Hiacyntę! Nie bluźnij, Manuelu. Gdzie jest ten ksiądz? Na rany Chrystusa, gdzie on jest?! Moje dzieci! Manuelu, nie bluźnij... Na Boga, chrońcie Lucję!

Ależ oklapłem! A jutro jeszcze brata Jasia trzeba przycisnąć. O ile się zjawi... Może to był przypadek? Nie ma przypadków, są tylko znaki.

Jednak jestem cholernie naiwny. Myślałem sobie: stawiają supermarket na przedmieściach, to przed kościołem pewnie nie handlują. Pomyłka sezonu. Handlują ze zdwojoną siłą. Muszę odreagować. Jak mały gówniarz, a nie stary debil. Idę do sklepu, kupuję pudełko podrabianych pastéis i dwa piwa. Siadam na ławce, żrę i popijam. Dla pewności butelka „Superbocka” w reklamówce, nie wiem, czy tu można oficjalnie chlać na ulicy.

– Dzień dobry. Szukałem cię pod kościołem.

– Zapewne. Widziałem was, jak mnie śledziliście. Daruj sobie, bracie Janie.

No, prawdziwym agentem to on nigdy nie będzie. Prosty blef i od razu na twarzy konsternacja.

– Częstuj się, dzisiaj bez wina.

– Zaszkodziło?

– Miałem dość porąbane sny. Ale jak tu jeszcze z godzinę pobędę, to nie wykluczam, że ze dwie flaszki na wieczór sobie zapodam.

– Jest źle, prawda?

– Jest gorzej niż źle. Mammon zaciera ręce, co robi dobry Bóg, nie wiem... Czterdzieści pięć stopni w cieniu, ja się wbijam w czarne długie spodnie, żeby nikogo nie urazić w świątyni szortami, a przede mną paradują dziewczyny niemal w bikini i nikt ich na

zewnątrz nie wyprowadza. Nawet uwagi nie zwraca. To mnie frustruje. Gołe dupy wolę oglądać poza kościołem. Taki ze mnie staromodny dziwak.

– Wierzysz w Boga? – Brat Jan wypił piwo na dwa łyki. Swój chłop jednak, tylko nie chce zmienić płyty.

– Wierzę tylko w archanioła Michała.

– Co?

– Słyszałeś. Raz go wezwałem i pomógł, stąd wierzę.

– Wczoraj o Szatanie, dzisiaj o Michale... Ale może na jedno wychodzi? Szatan podszył się pod Michała?

– Nie wydaje mi się. Pod Jezusa, Matkę Boską, owszem, ale nie wierzę, by diabeł miał moc udawania archanioła Michała.

– Ależ ty jesteś...

– No? Słucham, słucham... Pierdolnięty? To chciał braciszek powiedzieć?

– Niezupełnie. Taki... Inny. Zaczynam rozumieć... Jak to było?

– Zwyczajnie. Wiesz, co to zmora? Uczenie mówiąc – paraliż senny, ponoć można się przy tym przekręcić. Jak mnie już ładnie przydusiło, zawołałem przez sen: „Michale Archaniele, ratuj!” i puściło w tym momencie.

– Sam widzisz, modlitwa pomaga.

– Tak? Manuel też się modlił, a jednak dzieci mu pozabijali.

Ja to powiedziałem? Serio? Powiedziałem.

Przerwij rozmowę, oddal się! Przerwij tę rozmowę!

– Muszę już iść. – Brat Jan zrywa się z ławki. – Może jeszcze się zobaczymy.

Mnich szybko się oddała. Nie zauważył, że coś zgubił. Małeńką bezprzewodową słuchawkę. To z niej ktoś wrzeszczy, żeby przerwać rozmowę... Coraz ciekawiej... Skąd mi ten Manuel do głowy przyszedł?

– Wiecie, gdzie mnie szukać, jak mniemam – mówię do słuchawki. – Jutro wyjeżdżam do Coimby, więc się pospieszcie...

Skoki adrenaliny są przereklamowane. Nawet u superherosów na sto procent kończą się ciężkim rozwolnieniem. Tylko nikt o tym głośno nie mówi...

Mężczyzna po pięćdziesiątce, skrzyżowanie Hemingwaya z Conradem. Kojarzy się z morzem, pewnie przez pobrużdżoną twarz i zarost.

Zjawił się w hotelu późnym popołudniem. A ja tak się na kiblu odwodniłem, że dziwnie zobojeźniałem. Nawet mi się myśleć nie chce, czy mnie zastrzeli, czy zasztyletuje?

– Nie pojedzie pan jutro do Coimbry.

– Wiem...

– Przepraszam za Jana, na kimś trenować musi. – Otwiera aktówkę i gmera w papierzyskach.

– Taki pewnie Jan, jak ze mnie Mariusz – teatralnie wzdycham. – Ale z niego naprawdę nic nie będzie, słowo daję.

– Jest zakonnikiem i zna kilka języków. Na razie musi mu to wystarczyć.

– Rzeczywiście, bardzo mu te języki pomogły, jak ze mną gawędził...

Chyba nie lubi jałowych pyskówek. Czyli gość konkretny. Zatem trzeba konkretnie zapytać, w co się wpakowałem. Nie zdążyłem, konkretny mnie wyprzedził.

– Skąd pan wiedział, że Hiacynta i Franciszek zostali zamordowani?

Tu cię boli, wilku morski!

– Intuicja...

– Tylko tyle?

– Logika...

– Niech pan sobie nie pochlebia.

– No dobrze, przecucie. Czytając dawno temu o Fatimie, musiałem wyczytać także, że Manuel Marto był ojcem biednego rodzeństwa, ale nie zapisałem tego faktu w pamięci. Wyskoczył nagle we śnie.

– Medium... Pośrednik *genius loci*.

– Niech pan mi nie pochlebia.

– Ma pan rację. Zwykła jungowska synchroniczność.

– Nie znam się na Jungu. Co się zsynchronizowało?

– Nieważne co. – Wyciąga z teczki zdjęcie. – Ważne jak. Wie pan, kto to jest?

Typowy starszy południowiec. W szerokim uśmiechu leciutki fałsz podkreślony przez wielki krzyż na włochatej piersi.

– Absolutnie nie.

– Człowiek, którego miał pan zabić. Aguinaldo Cabrita.

Muszę się napić albo obudzić. Nalewam porto do kieliszków. Podaję gościowi, sam wypijam jednym haustem.

– Nie znam. Po co miałbym go zabijać?

– Bo został pan do tego wytypowany...

– Zabiłem w swojej karierze całkiem sporo komarów i lisa, który wskoczył mi pod koła. Nie najlepsze referencje, prawda? Kto typował? Poliglota Jan?

Zamoczył usta w winie. Faktycznie, werbalne przepychanki to nie jest jego ulubiona dyscyplina. Konkretny zawodnik, zwłaszcza jak się odzywa.

– Pan miał go zabić, zostać w Portugalii skazany na dożywocie, ewentualnie odsiadywać wyrok w Polsce i powiesić się w celi. Przy czym nieistotne byłoby, że pan wcale Cabrity nie zabił, istotny byłby sam akt oskarżenia.

W gardle słodkawo, jak po wyrznięciu o lód kością ogonową. W wydrenowanych kiszkiach bulgocze wypite przed chwilą porto... Nie będę pytał, bo każde pytanie jest na tę chwilę bez sensu.

– Pobyt w hotelu przedłużyliśmy panu o dwa dni, nie musi pan osobiście męczyć recepcjonisty. Proszę nie robić nic głupiego, zwłaszcza nie wyjeżdżać bez pożegnania.

Wypij to, Franciszku, to lekarstwo... Tato, tato! Czy przyjąłeś komunię? Proszę księdza, ja nie chcę... Wypij! On umiera, Manuelu, już nic nie możemy zrobić... Tato! Co mi się stało?! Nie mogę mówić, tato! Widzę coś strasznego! Tato! On udusi Hiacyntę! Udusi Hiacyntę w szpitalu! Biedne dziecko... Zaniemówił... On umiera, Manuelu. Niech Bóg ma go w swojej opiece...

– Miał pan swoje prywatne objawienie... W pewnym sensie pana uratowało...

Siedzimy we trzech w knajpie. Jan naprawdę lubi piwo, jeszcze dobrze nie usiadł, a już trzy wytrąbił.

– Kto mnie wystawił? Obstawiam jedną z byłych żon.

– Pudło.

– Współpracownik, którego opierdoliłem, bo nie chciało mu się myśleć?

– Bliżej... Ale wciąż pudło.

Kto chciał się zemścić aż tak, żeby zrobić ze mnie kozła ofiarnego? Żeby wmieszać mnie w morderstwo organizowane przez wywiad? I czyj wywiad? Polski czy watykański?

– To nie w każdym przypadku jest zemsta. – Czyta mi w myślach wilk morski. Tadeusz. Zdażył się przedstawić. – Do bazy ludzi, nazwijmy to, niewygodnych, trafił pan dzięki swemu pracodawcy...

Oplułem się porto, Jan klepie mnie po łopatkach, bo krztuszę się niemilosiernie.

– Nie wierzę... – Łapię oddech.

– To nie jest kwestia wiary, suche fakty. Czymś pan podpadł, nie wnikamy przecież jak bardzo.

– Podpadł? Urządzam co jakiś czas awantury, gdy ktoś gwałci logikę albo zdrowy rozsądek, nic poza tym. Pracuję najlepiej, jak potrafię, do mojej pracy nikt nie ma zastrzeżeń...

– Może woleliby, żeby pracował pan gorzej, ale trzymał gębę na kłódkę?

– Niewykluczone... Na ile mnie wycenili? Mój brak powrotu z urlopu?

Tadeusz zawahał się przez chwilę.

– Teraz już jest pan nasz, więc... No, dobra, średniej klasy samochód. Nowy.

Skurwysyny... Skurwysyny... Zapłacili, żeby wsadzili mnie do pierdła za granicą. Taniej byłoby wręczyć wypowiedzenie.

– Oni zyskują wtedy pewien parasol ochronny, dostęp do informacji niejawnych, poufnych danych... – Tadeusz wciąż czyta mi w myślach zupełnie swobodnie. – To znaczy tak im się tylko wydaje. Przecież nie myśli pan, że tą bazą dysponuje autentyczny polski wywiad?

– Pan chyba lepiej ode mnie wie, co ja myślę... To kim wy jesteście?

– Dla pana... Służba Michała Archaniola, może być?

– Może być... Zajmujecie się...?

– Rekonkwistą. W pewnym sensie.

Dużo materiałów do przejrzenia. Raporty, charakterystyki, zdjęcia. „Pan jest już nasz”. Tak im się zdaje. Oszukuję siebie, pewnie, że jestem ich. Portki pełne strachu, ileż można zgrywać twardego faceta?

Gustavo Cabrita – ojciec Aguinaldo. To on, podając się za księdza, zamordował Franciszka i Hiacyntę. Chłopcu podał truciznę, dziewczynkę zadusił poduszką w szpitalu. Pięć rodzin, prawie jak w Nowym Jorku. Cabrita, Valente, Magalhães, Bento i Pereira. Zmonopolizowali handel dewocjonaliami i pamiątkami. Tu łapówka, tam łapówka, urzędnicy,

duchowni, koncesje, patenty, wyłączności, zastraszanie, zabójstwa... Do dziś czerpią krociowe zyski z tych wszystkich stoisk i sklepów. Aguinaldo Cabrita mieszka pod Fatimą w pięknej willi. Żywota ma dokonać na jej tarasie. Plan jest prosty i piękny.

Z żadnego dokumentu nie wynika, że objawienie było oszustwem albo mistyfikacją, wydaje się to bez znaczenia. Czy te biedne dzieci nie chciały wziąć w coś udziału? Po co było je mordować i dlaczego przeżyła Łucja? Najstarsza, najmądrzejsza... Zrozumiała, o co idzie gra? Jak nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze... Gorzej, że nawet jak niby wiadomo, o co chodzi, i tak chodzi o pieniądze. Mammon...

Zaczynam się niezdrowo podniecać tym, że wreszcie w czymś uczestniczę. A przecież nie mam osiemnastu lat... Teraz tylko wysłać pocztówkę do kraju: „Ze słonecznej Portugalii pozdrawia świeżo upieczony agent Michała Archaniola, jeszcze nie wiem, co będę robił, ale już jest fajnie...”. Jaką rekonkwistę miał na myśli Tadeusz?

– Ci ludzie mają się z nami podzielić zyskami. Bardzo nie chcą, choć grzecznie prosimy. – Tadeusz postawił na podłodze walizeczkę. – Ale jak sprzątniemy Cabritę, zaczną się zastanawiać.

– Aguinaldo nie ma ochrony?

– Oczywiście, że ma. Tylko do dzisiaj nikt z członków pięciu rodzin nie śmiał nawet pomyśleć, że ktoś zabije jednego z nich. Cały czas bujają w obłokach, że papież nie pozwoli ich skrzywdzić.

– A pozwoli?

Wilk morski otwiera neseser. Olśniewający SIG-Sauer. Szwajcarskie cacuszko.

– Szczerze? Nikt z nas nie pytał. Papież wykonuje pod publiczność różne dziwne ruchy, ale nie rozumie, że pieniędzy wciąż brakuje. Pan myślał, że Kościół upaść się na procencie od różańców? Upaśło się ramię świeckie i kilku purpuratów.

– Myślałem, że pobudki będą szlachetniejsze. A tu idzie o zwykły haracz od gości, którzy wciskają pielgrzymom chińską tandetę.

– Kościół to my. Kościół to były również te biedne dzieci, które z zimną krwią ukatrupił Cabrita senior. Z podpuszczenia tych i owych.

Jak małe dziecko uwierzyłem, że to garstka ideowców. Zastęp sług Michała Archaniola. A to są jacyś półoficjalni łatacze watykańskiego budżetu. I właśnie się do nich zapisałem.

Braciszek Jan zagląda w lunetę.

– Tak bezrefleksyjnie kropniesz faceta, bo jego papcio był dzieciobójcą udającym księdza?

Nic nie mówi, udaje, że reguluje celownik.

– Nie zrozum mnie źle, ale robi się z tego Dan Brown w wersji dla gimnazjum. Pomyślałeś o tym?

Milczy, chyba wszystko poustawiał jak należy.

Wiedziałem... To dobrze. Wasza Świątobliwość musi jak najszybciej beatyfikować Łucję... Nie minęło jeszcze pięć lat... Wasza Świątobliwość musi... To jest ta słynna tajemnica fatimska? Nie uczynię tego... Niech się Wasza Świątobliwość dobrze zastanowi... Niech się kardynał nie zapomina... Niech cię piekło pochłonie!

– Co ci jest?! – Brat Jan klepie mnie po twarzy. – Obudź się!

Zasłabłem od tego cholernego upału. Dobrze, że łbem nie walnąłem w skałę, chyba Jan złapał mnie, jak upadałem. Mam już dość tych prywatnych objawień. Jestem pewny, że dosypują mi czegoś do picia i jedzenia.

– Zabiłeś go? – Ciężko łapię powietrze.

– Jeszcze nie...

– Słuchaj... Ja go zastrzelę... A ty mi powiesz, w jakiej rekonkwiescie biorę udział.

Myślałem, że nie będzie chciał o tym słyszeć, że się zawaha. Myliłem się.

– Masz pojęcie o strzelaniu?

– A o jakie tu pojęcie chodzi? Karabin na stojaku, do tego sukinsyna wszystkiego trzysta metrów... Leży i śpi, tylko nacisnąć spust.

– Jednak masz pojęcie o strzelaniu... No, dobra, kładź się i uspokój oddech.

Brat Jan idealnie ustawił SIG-Sauera. Przymknięte oko drzemiącego Cabrity w samym środku optycznego dalmierza. Nacisnąć spust... Tylko i aż... Co za chwilę zwycięży? Ciekawość czy Szatan?

Strzelam. Krótki wytłumiony zgrzyt. Nie wierzę...

– Chybiłem...

Cabrity wciąż drzemie na leżaku.

– To był ślepek – mówi spokojnie Jan. – Spływamy!

– To dlatego Benedykt ustąpił...

– Chwała mu za to. – Tadeusz delektuje się porto. – Gdyby nie beatyfikował Łucji, ludzie kardynała Benvenuti zabiliby go wcześniej. Dostał wolną rękę. Wybrał rezygnację... Może zrozumiał, że chociaż zasiada na tronie, tron i tak jest pusty?

– *Sede vacante?*

– Dokładnie. A naszym celem jest ponowny podbój tronu Piotrowego. Żeby zasiadł na nim prawdziwy papież. Droga daleka...

– Taka to rekonkwista... Wydawało mi się, że jesteście na usługach Watykanu i papieża. Sam pan mówił...

– Podobnie jak pan różne rzeczy mówię – przerywa mi Tadeusz. – Trzeba uwolnić Kościół Boży od swądu Szatana. Odkręcić wszystkie rzekome objawienia. Prawdziwy papież powie głośno to, o czym kardynałowie mówią tylko w prywatnych rozmowach.

– Jeśli powie głośno, wyrzuci ten biznes jak Jezus kupieckie stragany w świątyni. Albo nikt go nie posłucha. Albo skończy jak Jan Paweł I...

– Nasza w tym głowa, żeby tak się nie stało. I pańska również... Jest pan zdeterminowany, wyszło to podczas próby zabicia Cabrity.

– Zdeterminowany do odkręcania całego Soboru Watykańskiego II? Nie sędzę. Ja się po prostu boję...

– Czego?

– Powrotu do znienawidzonej pracy...

Lecę z Faro do Katowic i bardzo się boję. Jednak muszę na chwilę wrócić do pracy. Już na innych warunkach. Jako nietykalny. Mój Boże, jak oni tam zatrząsą dupami na mój widok! Chcieliśmy się tego pyskacza i awanturnika pozbyć, a on wraca! I nie możemy nic zrobić!

Zbiorę haki na ludzi ze wszystkich szczebli, skasuję odprawę i pomacham im na pożegnanie. Dobrze im tak! Jeszcze będą zmuszeni płacić mi w czasie przeróżnych, nagłych delegacji.

Tylko mojego strachu to nie zmniejsza, wręcz przeciwnie. Bo ja całe życie się boję. Niewyparzoną gębą maskuję strach, lekceważącym uśmiechem przykrywam lęk,

nabzdyczoną miną udaję silnego. A naprawdę boję się, że w swej słabości kogoś zabiję. Bałem się zabić Cabritę, ale jeszcze bardziej bałem się go nie zabić. Bałem się, że zabije mnie Tadeusz albo Jan... Według kontraktu zabijanie przeze mnie ludzi ma być oznaką siły a nie słabości.

I tak się boję, póki co. Boję się, że aby pozbyć się swądu Szatana, będę na jego usługach.

Myślę sobie, że to dla was, Hiacynto i Franciszku...

Od teraz boję się dla was...

Z listu Prawie Świętego Mnie do Centrali:

A kiedy kardynał Benvenuti zainkasował ołowiany pocisk i wyrznął łbem w mitrę o posadzkę, to widział Bóg, że to było dobre.

Kiedy zasię podtruty arszenikiem wiceminister Guerrier rzygał dalej niż widział, aż dostał wylewu, to Bóg widział, że to było dobre.

A gdy komendant Vaulin wybudził się na krótko ze snu z poderżniętym gardłem i nie zdążył nawet zakląć, to widział Bóg, że to było dobre.

A kiedy tak patrzę na listę osób do likwidacji, to Bóg widzi, że to będzie jeszcze lepsze.

Mam nadzieję...

rys. Dawid Boldys



OGRODNICZKA

Łukasz Radecki

Jak to się wszystko zaczęło? Pamiętam to nad wyraz dobrze mimo lat, które dzielą mnie od tej przerwy w szkole, gdy Wojtek podszedł do mnie i powiedział:

– Widziałem ją naga! – Te trzy słowa, wyszeptane spękanyymi, zaślinionymi wargami mojego kumpla ze szkolnej ławki, któremu oczy aż błyszczały z podniecenia, sprawiły, że poczułem nieprzyjemne uczucie zazdrości. Nie wiedziałem, o kim mówi, to nie było istotne. Jak się ma szesnaście lat, hormony rozsadzają ci jądra. Fakt, że twój rówieśnik widział nagą kobietę, może doprowadzić do gorączki. Moja rozpalona wyobraźnia zadziałała natychmiast, ukazując mi przed oczyma chyba wszystkie możliwe koleżanki z klasy mojej i równoległych. A potem wszystkie pozostałe. Niech mi Bóg wybaczy.

– Ogrodniczkę. – Wojtek sprecyzował moje myśli i wyobrażenia w jednej chwili scentralizowały się na osobie, o której wspomniał. Tajemniczej kobiecie, która zamieszkiwała

stary, ogromny dom na końcu ulicy, przy której stała nasza szkoła. Widzieliśmy ją tylko kilka razy, przechodząc tamtędy w drodze do domu. Ogrodniczka była młoda i piękna. Tak można opisać ją najkrócej, nie dając się ponieść myślom, które przywodzą późniejsze zdarzenia. Smukła blondynka w zwiewnej, zielonej sukience. Chyba miała słomiany kapelusz, ale nie jestem już tego pewien. Po prostu kilka razy widziałem, jak przechodzi za stalowym ogrodzeniem swojego wielkiego domu z konewką lub grabiami i coś tam robi przy sadzonkach i krzewach. Nie znałem się wtedy na ogrodnictwie. Teraz też wiem niewiele więcej. Ale z Wojtkiem zwróciliśmy na nią uwagę, bowiem na ulicy, przy której stała nasza szkoła, stały rzędy jednorodzinnych, parterowych domków poniemieckich, za płotami których można było co najwyżej spotkać babcie i dziadków naszych kumpli ze szkoły. Samotna, piękna kobieta zamieszkująca wielki dom działała na wyobraźnię chyba każdego w mieście. Na moją, niech mi Bóg wybaczy, w tamtym czasie trudno było nie podzielać.

– Opowiem ci po lekcjach – rzucił na odchodne i poleciał na drugi koniec boiska, zostawiając mnie pod płotem. Z trudem złapałem oddech, czując, jak fale zazdrości i podniecenia kotłują mi się w piersi. Odwróciłem wzrok od dzieciarni ganiającej się po wylanej betonem płycie, która w tamtych czasach robiła dla nas za boisko i spojrzałem przez ogrodzenie. Tam, kilka działek dalej ode mnie znajdował się ogród, w którym była ona. A mój kolega widział ją naga...

Górujący nad domkami gmach jej domu spoglądał na mnie ponuro.

Dziś młodzież ma dużo łatwiej. Nie wspomnę o Internecie i wszędobylskiej pornografii, na którą można trafić, wchodząc do byle sklepu z prasą. Seks i erotyka wylewają się z każdej reklamy, teledysku... I to zakłamanie z cenzurowaniem filmów... Kiedyś, w latach 80-tych, niemal w każdym kinowym przeboju były tak zwane „sceny”, a widok nagich piersi nie dziwił nikogo. Dziś wszyscy udają pruderyjnych, podczas gdy golizna wylewa się zewsząd, wodząc na pokuszenie i prowadząc do grzechu.

Za moich czasów erotyka sprowadzała się do wyobrażeń. Podniecaliśmy się z kolegami długością spódniczek, wysokością podkolanówek u dziewczyn, radując się niepomiarowo, gdy udało się dzięki temu zobaczyć większą część ciała. A gdy któraś się pochyliła na zajęciach gimnastycznych i znalazł się szczęściarz, który zobaczył biustonosz w prześwicie kołnierza... Niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Byliśmy młodzi i grzeszni. Nie mieliśmy dostępu do kolorowej, epatującej pornografią prasy. Nasza erotyka znajdowała

się w książkach, które pożyczyliśmy od starszych kolegów, z wypiekami na twarzy czytając później starannie zaznaczone i podkreślone fragmenty. Ujrzeć nagą kobietę było czymś nieosiągalnym dla ówczesnego szesnastolatka. Dlatego gdy Wojtek zaczął opowiadać swoją historię, walczyłem z obłądną erekcją i równoczesną chęcią zamordowania go z czystej zazdrości.

– Poszedłem tam przypadkiem – mówił, a ja patrzyłem na jego usta i nienawidziłem ich, wybacz mi Boże, za słowa, które wypowiadają. – Szedłem ulicą wieczorem i podbijałem piłkę. Kopnąłem jakoś tak niefortunnie, że ta przeleciała przez ogrodzenie...

Banał, prawda? Bzdura wierutna, której nie wierzyłem nawet wtedy. Oczywiście, były to czasy, gdy samochodów było naprawdę mało, podobnie jak boisk z prawdziwego zdarzenia, więc bardzo często grało się w nogę na jezdni. I nie dziwił widok koleśki ćwiczących, by zostać nowym Deyną. Ale jakoś nie mogłem uwierzyć w powody, dla których mój kumpel znalazł się po drugiej stronie jej płotu. Nie było to jednak istotne. Ważne, że tam był.

– Piłkę znalazłem dosyć szybko, nie było jeszcze tak ciemno, poza tym sam wiesz, białe plamy rzucają się w oczy – próbował się do mnie przymilać, ale i tak go nienawidziłem. – Nie wiem, co mnie podkuśiło, ale gdy byłem tam pośród tych drzew i krzewów, poczułem, że mogę przecież podejść trochę bliżej, zobaczyć, co jest dalej... I tam, pośród paproci, na świeżej, wonnej trawie leżała ona. Całkiem naga.

To, co później opowiedział, zlało się z moimi wyobrazeniami i nie wiem już dziś, czy obraz, jaki zachowałem w pamięci, jest jego opowieścią, czy moją imaginacją. Długonoga piękność, ze sterczącymi, różowymi sutkami delikatnych piersi, jej smukłe ramiona rozrzucone wraz z blond włosami na trawie, kolana wzniesione ku górze, jej srom wtulony w kłębek ciemnych kędziorków. Rozchylone, rosą znaczone usta. Anielska twarz wpatrująca się w ciemniejące niebo z wyczekiwaniem i nostalgią.

– Bujasz! – uciałem krótko, przerywając jego ekstatyczny wywód. – Pieprzysz jak potłuczony. Niby jak przelazłeś przez płot? To wysokie pręty. Tam się nie ma czego złapać! – rzuciłem na odchodne i odszedłem szybkim krokiem, nie czekając na wytłumaczenia Wojtka. Bałem się, bardzo się bałem, że odpowie mi na tyle racjonalnie, że uwierzę w jego historię. A wtedy spłonę z zazdrości i zawiści.

Tej nocy nie mogłem zasnąć, a gdy już to uczyniłem, wszystkie moje sny krążyły wokół ogrodniczki. Jak się okazało, nie tylko moje.

Wojtek podszedł do mnie na drugi dzień jeszcze przed lekcjami. Był blady, sińce pod oczami rozlewały mu się niemal na policzki. Przekrwione oczy błagały mnie o pomoc. O wysłuchanie. Niech mi Bóg wybaczy, ale nie chciałem go słuchać. Gdy powiedział mi, że śnił o ogrodniczce, zawrzałem z niezrozumiałego gniewu. Tak jakby moje sny były tylko moimi, jakby nagość tajemnicznej kobiety stała się moją własnością, bowiem ja ją sobie wyobraziłem...

Wysłuchiwałem go dopiero po lekcjach, gdy wracaliśmy do domu.

Moje sny były niewinne, dominowała w nich nagość i róż, ale wszystko sprowadzało się do roznegliżowanej ogrodniczki leżącej pośród paproci. Wierzcie mi. W tamtych czasach nie potrzebowałem więcej, żeby obudzić się z zabrudzonym prześcieradłem.

Sny Wojtka były wulgarne.

Kobieta, która w nich się pojawiała, nie mogła być tą samą, o której śniłem ja. Była wyuzdana i dzika, masturbowała się pośród drzew, jedną dłonią pieszcząc pierś, drugą penetrując swoje wnętrze. Gałęzie drzew oplatały ją namiętnie, a ona szczytowała, trącając stopami krzewy paproci. Bluszcz owijał się wokół jej smukłych ud, a jej spocona, rozgrzana twarz wyrażała jedynie bezmiar żądzy i bezkres rozkoszy.

Wiedziałem, że to, co słyszę, jest złe.

A mimo to czułem podniecenie. Niech mi Bóg wybaczy.

Słuchałem jak zakłęty tych sprośnych, jakże realnych snów mojego kolegi i tym razem w ogóle nie zastanawiałem się nad prawdopodobieństwem, nie obchodziło mnie, czy Wojtek zmyśla, czy nie. Chłonałem jego słowa i podobało mi się to. Nagle sny stały się rzeczywistością, a ja już śniłem na jawie o nagiej ogrodniczce.

I wtedy ją ujrzałem.

Stała przy płocie, w tej zielonej, zwiewnej sukience i słomianym kapeluszu. Nawet nie zauważyłem, kiedy zbliżyliśmy się do jej domu. Przechodziliśmy tędy codziennie, tak jak większość dzieciaków wracających ze szkoły, ale tym razem, mimo słonecznego popołudnia, poczułem zimne dreszcze strachu przebiegające przez mój kręgosłup. Kobieta patrzyła się na nas w milczeniu. Jej piękna twarz, błękitne oczy, zwieszone wzdłuż smukłego ciała nagie ręce nie wyrażały niczego. Żaden cień uśmiechu nie tlił się w kącikach jej cudownych ust. A ja czułem, jak krople lodowatego potu spływają mi po plecach. Zatrzymaliśmy się z Wojtkiem i zatoneśliśmy w błękitnie tych oczu, w bezkresnej topieli modrych źrenic.

A potem nagle, jak zbudzone ze snu żrebaki zerwaliśmy się do biegu.

Biegliśmy w ciszy, rozpaleni strachem.

I żądzą.

Wojtek jeszcze przez kilka dni skarżył się na podobne sny, które stawały się coraz bardziej dziwaczne i wyuzdane. Opleciona bluszczem ogrodniczka spółkowała z drzewami, oddawała się krzewom, wiła się pośród pnączy i traw. Milcząca i pobudzona w nieludzki sposób. Mój kumpel wyglądał coraz gorzej. Chudł i marniał w oczach, tak jakby ktoś zgasił płomyk w kryształowym zniczu. Zamiast pełgających w załamaniach szkła ogników, radosnych błysków ciepła, był tylko ziejący zimną pustką okopcony pojemnik.

Ja spałem jak niemowlę. Nie pamiętałem żadnego ze swoich snów.

Dziękowałem za to Bogu.

Tamtego wieczoru Wojtek przyszedł do mnie i powiedział, że dłużej nie wytrzyma i dziś w nocy pójdzie do tego ogrodu, by znów zobaczyć ogrodniczkę. Nie potrafił mi wytłumaczyć dlaczego, a ja nie wiedziałem wówczas, że był przyzywany przez tę tajemniczą kobietę. Próbowałem mu wyperswadować ten pomysł, głównie z zazdrości i podziwu dla jego odwagi, której mi brakowało. Ostatecznie jednak zaproponowałem nieśmiało, że pójde razem z nim. Nie wiem, co mnie podkuśiło, jakie grzeszne myśli przebiegły mi przez głowę, ale liczyłem, że może kobieta znów będzie wylegiwała się nago pośród paproci... Ta szalona myśl zakorzeniła się w mojej głowie i nie mogę sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby Wojtek mi odmówił. On jednak przyjął moją propozycję z wyraźną ulgą. Bez słowa wyruszyliśmy do domu ogrodniczki.

Nie powiedziałem nawet rodzicom, że wychodzę.

Ulica, którą zazwyczaj wracaliśmy ze szkoły, była całkowicie wyludniona. Zmierzchało, latarnie mdłym światłem witały otulający miasto mrok. Żelazne pręty płotu osadzone w ceglanych kolumnach piętrzyły się złowrogo w granatowe niebo, oddzielając nas od ciemnej ściany ogrodu. Drzewa i krzewy za dnia radośnie kuszące zielenią, teraz

wydawały się po prostu groźne.

Świadomość tego, że gdzieś tam, pośród paproci, leży naga ogrodniczka, podniecała mnie tak, że z trudem kontrolowałem swój oddech. Niech Bóg mi wybaczy.

Wojtek nie kłamał, gdy mówił o tym, że łatwo dostał się do środka. Pręty płotu nie były przeszkodą, gdy wspięliśmy się po ceglanych kolumnach, wykorzystując wyryte czasem wyrwy i zagłębienia niczym stopnie drabiny.

Gdy moje stopy dotknęły trawy po drugiej stronie ogrodzenia, poczułem kleszcze strachu zaciskające się na gardle. I jednocześnie erekcję, która rozpychała mi spodnie.

Mój kolega nawet nie spojrział na mnie, pochylił się tylko do przodu i ruszył powoli, choć pewnie przed siebie. Szarówka pozwalała jeszcze znaleźć drogę pomiędzy krzewami i drzewami, ale nie wiedziałem, jak trafimy z powrotem, gdy zapadnie całkowity mrok. Nie pomyślałem, że ulica jest oświetlona. W ogóle nie myślałem.

Chciałem zobaczyć nagą ogrodniczkę.

Moje życzenie zostało spełnione.

Ogrodniczka stała w pobliżu lekko oświetlonej altanki. Żółtopomarańczowa poświata okrywała jej kształty, walcząc z plamami mroku na śnieżnobiałej skórze. Widziałem jej kształtne piersi z zadziornymi sutkami, widziałem trójkąt jej włosów łonowych, na którym lśniły ostatnie promienie słońca. Widziałem jej kształtne uda, smukłe łydki... Drżałem, patrząc na pępek spoglądający na mnie z jej cudnego brzucha, czułem, jak oblewają mnie na przemian fale gorąca i zimna, gdy jej złote włosy falowały, targane lekkim, ciepłym wietrzykiem.

Chciałem krzyknąć ze strachu, widząc jej lśniące przerażającym blaskiem oczy.

Stałem jak słup soli, nie mogąc wykonać żadnego ruchu.

Wojtek ruszył zaś do przodu.

Kobieta na niego czekała.

Przyjęła go tak, jakby był jej wytęsknionym kochankiem. Przyłgnęła do niego całym ciałem, wpiła się ustami w jego usta, objęła go ramionami, mocno, zaborczo, zarzuciła mu jedną nogę na pośladki. Mimowolnie znów zachwyciłem się jej łydką i stopą.

Przez chwilę oboje trwali w namiętym pocałunku, choć trudno mówić o bezruchu, gdy ręce Wojtka lubieżnie badały wszystkie krągłości jej ciała, a ogrodniczka drapieźnie i namiętnie masowała jego plecy. Osunęli się na ziemię, a ja nie mogłem oderwać od nich wzroku. Stałem pośród krzewów i patrzyłem, jak mój kolega z ławki pieści się z nagą kobietą pod altanką otoczoną drzewami. Zafascynowany i podniecony nawet przez moment nie myślałem o ucieczce.

Wojtek pozbył się koszuli, sprawnie wy dostał się ze spodni, zzuł buty i ściągnął bieliznę. Pamiętam, nie wiedzieć czemu, że bardzo zdziwiłem się niewielkimi rozmiarami jego prącia. Nie żebym sam dysponował szczególnie wielkim przyrodzeniem, jednak to, co mój kolega miał między nogami, mogło być porównane co najwyżej do palca wskazującego.

W innych okolicznościach pewnie bym się zaśmiał. Teraz jednak widziałem, jak ten jego maleńki fiutek znika w wilgotnym wnętrzu ogrodniczki, która przyjęła go do siebie z westchnieniem, przytulając jego twarz do swych piersi. Dosiadła go i zaczęła ujeżdżać, napierając na niego pośladkami. Z fascynacją wpatrywałem się w spazmatyczne drżenie mięśni jej ciała, zachwycałem się jękami rozkoszy, które wydawała mimo ust wciśniętych w usta kochanka. Wojtek nie pozostawał dłużny. Całował ją namiętnie, pieszcząc i ściskając piersi, ugniatał pośladki i drapał jej plecy, ale już po kilku ruchach zeszywniał nagle i oderwał swą twarz od jej twarzy, głośnym i nieprzyjemnym stęknieniem oznajmiając orgazm. Ogrdniczka przywarła do niego jeszcze mocniej, odchyliła głowę do tyłu, wygięła ciało w łuk, jeszcze bardziej eksponując piersi i zawyla ekstatycznie. Dokładnie tak. Zawyla.

Jak zwierzę.

A potem poderwała się na równe nogi. Dostrzegłem, jak strużki nasienia ściekają po wewnętrznej stronie jej ud, jak jej soki lśnią na w kroplach na kędziorach włosów łonowych. Wojtek opadł na plecy, a ona dopadła jego penisa, schwyciła go w dłoń, poruszyła kilkukrotnie, jakby wyciskając resztki spermy, a potem rzuciła się łapczywie, biorąc go całego w usta. Mój kolega jęknął z rozkoszy, a później wrzasnął tak przeraźliwie, że aż zatoczyłem się do tyłu. Nie zdołałem złapać równowagi i upadłem. Na czworakach patrzyłem na to, co dalej działo się pod altanką pomiędzy drzewami.

Wojtek wił się w spazmatycznych drgawkach, jego oczy były wywrócone białkami do góry, z ust ciekła piana, dłonie były o ziemię, wrywając kępy trawy, a ogrodniczka ssła jego małe prącie, mrużąc przy tym złowrogo. W pewnej chwili przerwała i powoli wypuściła sztywnego członka z ust. Ten wysunął się, wyzywająco kierując w niebo sino-fioletową główkę. Ogrdniczka odchyliła twarz, a strużka śliny łącząca czubek penisa z jej ustami rozciągnęła się na kilkanaście centymetrów.

I wtedy kobieta splunęła.

Plwocina opadła w dół, niczym w zwolnionym tempie, a gdy dotknęła sterczącego członka, rozpętał się prawdziwy horror.

Krzyk Wojtka przeszedł w niewyobrażalny, nieludzki ryk, który wibrował mi w uszach, targając bębenki. Ale to nie narząd słuchu ucierpiał najbardziej, choć zdiagnozowano u mnie potem spore ubytki.

To wzrok. To, co zobaczyłem, zmieniło moje życie na zawsze.

Jego członek nagle zaczął puchnąć, pulsować, tak jakby ktoś zaczął go pompować większą ilością krwi. Stał się cały fioletowy, niemal ciemnopurpurowy. Całe ciało drżało, a skóra szarzała, płowiała, na moich oczach odchodziła płatami, zostawiając odkryte, krwiste dziury żywego mięsa. Oczy zaczęły bulgotać i po prostu rozlały się po policzkach, czarny język wydarł się ze splekanych ust niczym obrzydliwy robal, który wypełził na żer. Włosy wypadły niczym liście zdmuchnięte przez jesienny wiatr, odkrywając strzępy poranionej skóry na gołej czaszce. Ciało wygięło się w łuk, ze zwolnionych zwieraczy chlusnęła uryna i fekalia, które za moment zostały przygniecione opadającą miednicą truchła jeszcze kilkadziesiąt sekund temu będącego Wojtkiem.

Zabarwione naturalnym nawozem mięso zaczęło czernieć i twardnieć, a nabrzmiały do granic wytrzymałości członek, który wyglądał jak fioletowo-czarna purchawka, wybuchł, wzbijając w powietrze gejzer krwi, niewiarygodną wprost fontannę czarnej, tętnicznej strugi, która opadła na nagie ciało ogrodniczki.

Ta bowiem klęczała u martwych stóp mojego kolegi, z rozłożonymi rękoma i twarzą wzniesioną ku rozgwieżdżonemu niebu.

Zwłoki Wojtka zaczęły nagle się kurczyć, resztki mięsa odpadały i zwęglały się natychmiast, płyny ustrojowe bulgotały i rozpuszczały się w powietrzu, tymczasem kości z odrażającym chrzęstem zbiegały się do punktu, którego centrum stanowiła fontanna z krwi pękniętego prącia. W ciągu kilku przerażających chwil cały trup skurczył się, zbiegł do tego centralnego punktu i po chwili po moim towarzyszu nie było już żadnego śladu, tylko ta bezustannie wzbijająca się w niebo czarna fontanna wylewająca się z potrzaskanej miednicy.

Nagle maź zaczęła sztywnieć, twardnieć i przybierać kształt... drzewa. Słup krwi zastygł, a później zaczął zmieniać strukturę, skamieniałe krople stały się korą, sękami, żywicą. Powstały w ten sposób pień poszerzał się, wypuszczał konary, liście, owoce.

Chwilę później pod altanką rosnę kolejne drzewo, pod którym siedziała naga ogrodniczka.

Patrzyła się na mnie.

Wrzasnąłem przerażony i rzuciłem się do ucieczki.

To, że udało mi się uciec, jest oczywiste. W końcu mogę opowiedzieć teraz tę historię. Teraz, po latach wciąż tak samo niewiarygodną jak wtedy.

Nie pamiętam, jak wydostałem się z ogrodu. Nie pamiętam, czy dotarłem do domu. Jeśli mam być szczery, to nie pamiętam kilku następnych lat.

Spędziłem je w zakładzie zamkniętym, a później na rozlicznych terapiach. Nie zostałem uleczony. Ale po prostu w pewnym momencie odkryłem, że jeśli nie opowiadam, co widziałem, co się stało z Wojtkiem, nikt nie podaje mi żadnych środków, które przytępiąją mój umysł. A dostawałem już chyba wszystkie możliwe.

Tak więc oszalałem tamtej nocy. Oszalałem i osiwiąłem, tracąc kilka kolejnych lat życia. Nie żałuję jednak. Pozwoliły mi one spojrzeć na świat z innej perspektywy.

Nigdy później nie widziałem nagiej kobiety. Wystrzegałem się wszystkiego, co mogło w jakikolwiek sposób wiązać się z erotyką.

Zostałem księdzem i poświęciłem całe swoje życie służbie Bogu. A On chronił mnie przez wszystkie następne lata. Wiele dziś złego mówi się o księżach. Niestety, wielokrotnie słusznie. Ale wśród nas nie brak prawdziwych żołnierzy jezusowych, prawdziwych kapłanów, dla których droga miłości, Jego droga, jest jedyną słuszną.

Z dala od grzechu, z dala od pokus.

I żądy.

Żyłem przez lata w strachu, ale On dał mi nadzieję, On mnie ratował od popadnięcia w obłąd, od zbłądzenia na manowce, gdzie wraz z wyuzdaniem i zwierzęcą rozkoszą idzie płacz i zgrzytanie zębów.

Dziś jednak znów czuję paniczny strach.

Zaczęły się sny.

Naga ogrodniczka wyczynia swe bezecne, wyuzdane ruje pośród drzew, które są nagrobkami młodzieńców zatraconych w żądy.

I przyzywa mnie do siebie. Teraz już to wiem. Tak jak wtedy przyzywała Wojtka, ale on się bał, nie potrafił mi tego powiedzieć.

Modliłem się, bo to pierwsze, co zawsze robię w trudnych sytuacjach. Potem próbowałem rozmaitych leków. Nadaremno. Sny powracały.

Był tylko jeden sposób, by przezwyciężyć lęki, by pokonać strach, który, jak sądziłem, zakorzenił się we mnie lata temu i głęboko uspiiony w podświadomości wypłynął teraz, na starość.

Pojechałem do mojego rodzinnego miasta.

Minęło blisko czterdzieści lat. Uliczka domków parterowych, która prowadziła do mojej szkoły, stała się ulicą pełną wyniosłych wieżowców i domów handlowych. Szkołę przerobiono na biura prawników, polityków i przychodnię.

Ale dom ogrodniczki stoi dalej. Niezmieniony przez lata.

Tak jak i ta, która czekała na mnie przy płocie.

W zielonej sukni i słomianym kapeluszu.

Uciekłem przerażony.

Nie przestaję się modlić.

Bo wiem, że tam wrócę.

rys. Dawid Boldys



PLON

Dariusz Węgrzyniak

Sierpniowe słońce prażyło śniadą skórę czołgającej się przez ściernisko dziewczyny. Rozdarta i poplamiona krwią sukienka ciągnęła krwawą ścieżkę po świeżo skoszonym polu pszenicy. Samira nie jęczała, nie płakała. Z zaciśniętymi zębami wbijała brudne od skrzepów palce w twardą ziemię. Podciągała się po kawałku, metr za metrem, taszcząc za sobą obolały od kopniaków brzuch i połamane łopatą nogi.

Lewa skroń bolała ją okropnie. Nie wiedziała, czy ciecz na policzku to resztki po wylanym oku, czy krew z rozciętego podeszwą buta czoła. Nie dbała o to. Wygrzebała się z prymitywnego grobu. Wydarła swoje ciało ziemi i śmierci, a teraz doczołga się do drogi i będzie żyła! Tak! Będzie żyła!

Ostra słoma drapała skórę bezwładnych nóg, kaleczyła ramiona i dłonie, jakby chciała powstrzymać Samirę, przerwać jej podróż ku krańcowi pola.

Szelest łamanych ciężarem ciała źdźbeł szumiał jej w uszach wróżbą śmierci. *Zdechniesz tutaj, chrzęściło ściernisko, padniesz jak pokos pod ostrzem, a słońce wypije cię do sucha!* Głosy w głowie narastały, a rozgrzane od skwaru powietrze kołysało się przed umierającą dziewczyną, falowało niczym tafla ożywczej wody, tak pożądaną teraz, tak potrzebnej.

– Zamknijcie się – warknęła do głosów Samira i pełzła dalej. Zdrowe oko wbiła w majaczący w oddali znak drogowy.

Byle do niego, myślała, potem odpocznę, ktoś mnie znajdzie, ktoś musi mnie znaleźć!

Ostatkiem sił dotarła do przydrożnego rowu. Pragnienie odbierało jej zmysły. Przed okiem zaczęły tańczyć czerwone powidoki, układające się w purpurowe kształty jej oprawców, skrzydlatych smoków, rogatych diabłów, chochlików z roześmianymi twarzami znienawidzonych ludzi.

Pokaż, że jesteś mnie godna, wspomnienie sprzed kilku godzin, gdy leżała, czekając na śmierć, zabrzmiało jej w uszach. Udowodnij siłę swej woli i przeżyj, a dobijemy targu!

Zielona trawa przywitała ją nieoczekiwanym chłodem. Przeczółgała się przez rów i finalnym ruchem, niemal siłą woli, przeturlała konające ciało na topniejącą od skwaru ulicę.

Jęknęła po raz pierwszy, odkąd opuściła mogiłę. Traciła zmysły. Obolały policzek skwierczał przytulony do gorącego asfaltu.

Pisk opon był ostatnim, co usłyszała, zanim zapadła ciemność.

Utrzymanie ciała w śpiączce wymagało coraz więcej skupienia. Była poważnie ranna. Obrażenia wewnętrzne, krwotok do jamy brzusznej, wstrząs mózgu i połamane kończyny sprawiły, że trafiła od razu na stół operacyjny. W sen zapadła z własnej woli, choć lekarze myśleli, że jest to efekt urazów czaszki.

Przez długie tygodnie pozostawała nieruchoma i skupiona na doprowadzaniu wraku, jakim teraz było jej ciało, do względnej używalności. Korzystała z nowych umiejętności, jakby towarzyszyły jej od dziecka. Musiała się uleczyć. Wkrótce będzie potrzebowała nóg, rąk i głowy.

Za jakiś czas, na jakiś czas, zaśmiała się w myślach.

Leżąc, przysłuchiwała się rozmowom odwiedzających jej pokój osób. Był lekarz,

Thomas, i lekarka, Lena, zakochana w nim i ukrywająca uczucie przed resztą szpitala. Pojawiały się pielęgniarki, które traktowały ją jak worek mięsa.

Byli też policjanci. Ci odwiedzili ją tylko raz.

– Cyganka? – zapytał grubym głosem ten, który przedstawił się jako komisarz Sankt.

– Nie wiem – odparła doktor Lena. – Jakie to ma znaczenie?

– Ma – odparł piskliwym głosikiem drugi policjant. – Możliwe, że urządzili ją tak pobratymcy, a to zawęzi nam grono podejrzanych.

– Możliwe – burknęła lekarka. – To wasza sprawa znaleźć winnych, ja zajmuję się leczeniem.

– Czy jest szansa na to, że wyjdzie ze śpiączki? – dopytywał się dalej właściciel piskliwego głosu.

– Jeszcze kilka tygodni temu powiedziałabym, że nie. Pacjentka zdrowieje jednak zadziwiająco szybko. Krwotok ustał, można powiedzieć, bez naszej pomocy. Organy wewnętrzne regenerują się w tempie właściwym dla dużo młodszej osoby, a połamane kończyny już teraz nadają się do rehabilitacji ruchowej.

– Goi się jak na psie – zarechotał komisarz Sankt.

– Jak na Cyganie – dodał drugi policjant. – Normalnego człowieka coś takiego by wykończyło.

– Proszę zachować te rasistowskie komentarze dla siebie – oburzyła się lekarka, a Samira poczuła do niej nagły przyływ sympatii.

Niech no tylko wyzdrowieję, pomyślała, przypomnę sobie wtedy o panu, komisarzu Sankt.

Mężczyźnie można zaszkodzić na wiele sposobów, a Samira знаła je wszystkie, była pewna, że znajdzie się coś dla policjanta. Teraz, gdy udowodniła swą siłę, będzie mogła wiele.

Już wkrótce.

Ponieważ speszeni reakcją pani doktor policjanci nie mówili nic, lekarka kontynuowała zeznania:

– Jest jeszcze kilka spraw, o których panowie muszą wiedzieć.

– Słucham – burknął obrażonym głosem Sankt.

– Dziewczyna była w ciąży.

– Poroniła?

– Tak. Płód dosłownie wykopano z niej butami, doprowadzając do krwotoku wewnętrznego i łamiąc dwa żebra. Oko wgnieciono jej do wnętrza oczodołu, chyba palcem

lub czymś podobnie tęnym. Nogi połamano, uderzając o nie przedmiotem o ostrych krawędziach, obstawiam łopatę.

– Dlaczego łopatę?

– Ślady na ciele i ubraniu sugerują, że ktoś próbował ją pochować. Może grób był za mały? Nogi złamano i powyginano, jak dziecko wygina szmacianą lalkę, gdy ta nie chce się zmieścić do zbyt ciasnego pudełka na zabawki.

– I pani mówi, że ona będzie chodziła? – zdziwił się drugi z przesłuchujących.

– Tak właśnie mówię. I tak, ja też jestem zdumiona.

Policjanci zadali jeszcze kilka rutynowych pytań. O dokumenty, których Samira nie miała przy sobie i o znaki szczególne, z których miała jedynie niewielki tatuaż na ramieniu, nieboskie znamię witalności w postaci oplecionego węzem półksiężyca. Spisali, co mieli spisać i opuścili szpitalny pokój.

Lekarka została. Mówiła coś do Samiry kojącym głosem, jak zawsze przy obchodzie, lecz dziewczyna nie słuchała, zdekoncentrowała się na zbyt długo, czas było wracać do pracy, we wpadającym przez szpitalne okno powietrzu czuła nadchodzącą powoli jesień.

Kolejne dni mijały jej błyskawicznie. Letarg, w który się wprowadziła, oszukał czas i omamił pochylających się nad nią w zdziwieniu lekarzy. Musiała wyzdrowieć do następnego lata, a później...

Później przyjdzie czas na plony.

Żniwa miały się ku końcowi. Ostatni gospodarze, przy pomocy sąsiadów, zwozili ciężkie od kłosów snopki zboża do stodół.

Lato było gorące, ale przyszło po cieplej i umiarkowanie wilgotnej wiośnie, która gwarantowała urodzaj. Wieś świętowała. Spaleni słońcem rolnicy, dyszący z wysiłku w środku dnia, gdy zapadała ciemność, chwyтали drugi oddech. Wieczorny chłód pompował w nich nowe siły, zimne piwo cucilo rozgrzaną upałem krew i popychało, utrudzonych, ku zabawie.

Wiejska remiza ożywała o zmroku. Niekompletna orkiestra cięła ludowe szlagiery do rytmu dudniących o osikowe deski obcasów. Tańczyli starzy i młodzi. Pijani i ci, którzy dopiero zamierzali się upić. Obok nastoletnich dziewczyn podrygiwały stateczne matrony, a między nimi w podskokach uwijały się rozchichotane dzieci. Odpoczywające po upalnym dniu pola niosły ciężkim echem dźwięki radosnej zabawy, a udręczeni pracą rolnicy

zagłuszali krzykami odgłosy nadchodzącej zza lasu burzy. Grzmoty, odległe z początku i niezbyt częste, przybierały powoli na sile. Bawiący się w remizie ludzie starali się ignorować niepokojące dźwięki, lecz po chwili, ci najtrzeźwiejsi, wyszli na plac przed zbudowanym z czerwonej cegły budynkiem.

– Sroga burza idzie. – W głosie sołtysa nie było niepokoju, ale część zgromadzonych i tak ukradkiem zaczęła opuszczać wiejską zabawę.

– Zabierz Josepha i idźcie do domu, zobaczcie, czy aby wszystko pozamykane – powiedziała żona sołtysa, Amelia. – Słyszysz, co mówię, Bruno?!

Młody blondyn odstawił od ust opróżniony do połowy kufel i ruszył w tłum szukać brata.

Znalazł go na ławce pod ścianą remizy, jak zwykle z nieodstępującą go na krok Anną. Nie znosił narzeczonej brata, nawet teraz, gdy ją zobaczył, nie potrafił ukryć grymasu niechęci. Znali się od dziecka, jak to we wioskach bywa. Ta sama szkoła, te same zabawy po zajęciach, wspólna praca w polu.

Odkąd pamiętał, Anna, nawet jako mała dziewczynka, była złośliwa i samolubna. Bruno gotów był się założyć o każde pieniądze, że jej związek z Josephem też jest efektem chęci posiadania tego, czego nie mogą mieć inne panny. *Tu nie ma mowy o miłości*, myślał sobie nieraz, *chodzi tylko o to, by usidlić najstarszego syna sołtysa i najlepszą partię we wsi zarazem*.

Nie mógł się nadziwić, że tylko on dostrzega oczywiste, zdawało się, sprawy. Pozostali mieszkańcy wioski uwielbiali Annę, a jego matka była w niej równie zakochana co Joseph.

– Burza idzie – odezwał się do brata.

– Nie jesteśmy ślepi, Plamo – zakpiła z niego Anna.

Nienawidził tego przezwiska, a ona, mimo że od wypadku z osikanymi spodenkami minęło już dobrych kilkanaście lat, ciągle przypominała jemu i wszystkim dookoła przydomek, który przylgnął do niego w dzieciństwie.

– Matka kazała obejście sprawdzić – zignorował dziewczynę.

– Zaraz do ciebie dołączymy – powiedział Joseph i objął ramieniem szczupłą talię narzeczonej. Ta uśmiechnęła się do niego przymilnie.

– A ty, Plamo? – zapytała ze złośliwym uśmiechem. – Nie szukasz swojej panny, by skryć się z nią przed burzą w jakiejś zacisznej stodole?

Suka, pomyślał, *dobrze wie, że nie mam dziewczyny*. Na głos jednak powiedział:

– Matka mówiła tylko o tobie, bracie. Anna może bawić się dalej. Pioruny biją za

lasem, nawet nie zaczęło padać, kto wie, może bokiem przejdzie?

– Po co w takim razie mamy pędzić do gospodarstwa? – Joseph podniósł się i stanął obok brata.

Był od Brunona dużo wyższy i lepiej zbudowany. Czarne, kręcone włosy opadały mu na opalony kark, a dwudniowy zarost dodawał tylko uroku ogorzałej twarzy.

– Nie wiesz, jaka jest matka? – burknął Bruno. – Trzeba iść i tyle. Nikt się ulewy ani wichury nie spodziewał. Może co niedomknięte zostało? No i okiennice, te na pewno niezaparte, że nie wspomnę o stodole. Chodź – dodał. – Uwiniemy się i jeszcze zdążysz wrócić do narzeczonej.

Niebo nad lasem przeciął jasny bicz potężnego wyładowania. Anna zaczęła liczyć.

– Raz, dwa, trzy, cztery... – Huknęło potężnie. – Ta burza nas nie minie. – Wzdrygnęła się dziewczyna i zarzuciła na białą bluzkę granatowy sweterek. – Biegnę z wami.

– A jak tam sobie chcecie! – powiedział Bruno. – Możemy iść nawet w ćwierć wioski, bylebyśmy w końcu poszli!

Nie czekał, aż do niego dołączą, dopił piwo, odstawił kufel na parapet otwartego okna i ruszył szybko przed siebie. Gospodarstwo jego rodziców leżało niemal w środku wioski, podczas gdy remiza znajdowała się na jej końcu, nie uśmiechał mu się bieg w deszczu, a wspólny spacer z Anną jeszcze mniej. Niestety, brat z narzeczoną prędko go dogonili.

– ...dwa, trzy... – odliczała Anna, łapiąc oddech. – Jest coraz bliżej – oznajmiła.

– Widzę – warknął Bruno i przyspieszył kroku. Wiedział, że dziewczyna wzięła na zabawę buciki na obcasie i cieszył się w myślach, że trochę będzie musiała się postarać, by dotrzymać mu kroku.

Burza wyszła zza lasu. Ustał delikatny, wieczorny wietrzyk, powietrze stanęło. Nagle zrobiło się duszno i nieprzyjemnie. Ciemna chmura wisiała nad rozległymi polami. Nie grzmiało, nie padało, tak jakby burza na coś czekała.

Nagle Anna jęknęła i zatrzymała się.

– No ładnie! – krzyknęła. – Złamałam obcas!

– Zdejmij buty – poprosił narzeczoną Joseph. – Droga czysta, nic ci nie będzie.

– Sam sobie zdejmij! – oburzyła się dziewczyna. – Co to ja jestem, krowa jakaś, żeby bez butów chodzić?!

Bruno parsknął pod nosem. Miał gotowy komentarz, porównujący wdzięki przyszłej szwagierki do krowich, ale się powstrzymał. Anna śmieszyła go z tymi udawanymi, miejskimi manierami. *Bez butów się wstydzi*, śmiał się w myślach, a z *potrzebą za stodołę gania!*

Parne powietrze zafalowało. Pola szumiały, szeleściły, jakby coś przetaczało się w kierunku wioski po sterczącej słomie ścierniska.

– Co to? – Wzdrygnęła się Anna.

– Idzie w naszą stronę... – Joseph nie dokończył. Nagły podmuch silnego wiatru zakręcił pyłem na drodze, wepchnął mu w otwarte usta wirujące ziarenka piachu, trawy i pozostałego po młócce kurzu.

Bruno zachwiał się i zakrył oczy. Tuman śmieci krążył wokół nich, raniąc skórę popychanymi wiatrem resztkami po żniwach. Głośny pisk osłaniającej twarz Anny przebił się przez świst wiatru.

– Moje oko! – krzyczała. – Jezusie, jak boli!

– Weź ją pod szopę! – Krztuszący się Joseph machał na brata ręką. – I zostańcie tam, ja pędzę do domu!

– Dobrze! – Bruno zakrył rękawem twarz, chwycił pod ramię zapłakaną dziewczynę i zaczął ciągnąć ją w stronę rozlatującej się stodoły starego Schweitzera.

Wpadli do zatechłego wnętrza budynku, ścigani wyjąłym z coraz większą siłą wiatrem. Bruno spojrzął za siebie.

Śmieci, liście i resztki pozostawionej na polach słomy tańczyły upiorny taniec w bladym świetle migocącej latarni. Przez moment zdawało mu się, że w środku hasającego w powietrzu pyłu, tuż na granicy światła, widzi jakąś postać. Ktoś krył się w ciemnościach i patrzył w ślad za nim i Anną.

Zamrugał powiekami. Niewyraźny cień rozwiął się wraz z kurzem. *Wydawało mi się*, pomyślał. Nie pamiętał tak silnego wiatru. Stojące na ogrodzie Schweitzera jabłonie kłaniały się nadchodzącej burzy trzeszczącymi konarami. Połamane gałązki kruchych grusz uderzały o ścianę szopy, łamiąc się na jeszcze mniejsze kawałki. Anna wyła z bólu, klnąc i wzywając Jezusa na przemian.

– Nie płacz! – syknął zły, pewien, że jak zwykle przesadza. – Nic ci nie będzie!

– Zamknij się! – krzyknęła. – Co ty tam wiesz, ty, ty... Plamo!

Bruno odwrócił się wściekły, chcąc przygadać znenawidzonej dziewczynie, wykrzyzczyć jej w twarz lata upokorzeń, póki nie ma w pobliżu Josepha... I zamarł. Policzki Anny spływały krwią.

– O Boże... – wyszeptał i ukląkł obok niej.

– Co? – zapytała. – Co „o Boże”?! Mów!

Bruno odciągnął jej dłoń od twarzy i z przerażeniem spojrzął na ziejący krwawą czernią otwór, w którym kiedyś znajdowało się oko. Z oczodołu wystawało coś ostrego,

kawałek patyka lub drzazgi. Wyjął z kieszeni kraciatą chustę, włożył ją w dziewczęcą dłoń i delikatnie przyłożył zaciśnięte na materiale palce dziewczyny do brozącego krwią oka. Chciał coś powiedzieć, jakoś Annę pocieszyć, ale głos uwiązł mu w gardle. Narastający wiatr zagłuszał płacz dziewczyny. W dachówki zastukały ciężkie krople deszczu. Po chwili rozpadało się na dobre.

– Pada... – powiedział do siebie Bruno. Nie patrzył na chlipiącą Annę.

– Żeby tak was wszystkich szlag trafił! – Dziewczyna przestała płakać. – Mogłam zostać na zabawie, nie musiałam iść, nie byłoby tego. – Przycisnęła mocniej dłoń do policzka.

– Nie byłoby – odparł posępnie.

– To twoja wina, Plamo!

Zagrzmiało.

– Twoja i Josepha!

Zagrzmiało bliżej.

– Nienawidzę was!

Kolejny grzmot zatrzęsł starą szopą. Z dachu posypały się kawałki drewna. Na zewnątrz spadła dachówka.

– Wyjadę stąd – mówiła dalej Anna. – Zostawię ten chlew! Pojadę do Uelzen albo jeszcze dalej! Nie będę do końca życia taplała się w gównie!

– A Joseph? – cicho zapytał Bruno.

– W dupie mam...

Potężne uderzenie rozerwało drewnianą ścianę budynku. Bruno jęknął, w uszach mu zadzwoniło, w oczach pociemniało na chwilę. Ziemia zawirowała pod nogami chłopaka i zamieniła się na miejsca z czarnym od chmur niebem. Uderzenie pioruna wyrzuciło go na zewnątrz. Podniósł się z trudem i na czworakach zaczął pełznąć w stronę palącej się szopy.

– Anna! – krzyczał, nie słysząc własnego głosu. Z lewego ucha na szyję sączyła mu się krew.

Podtrzymujące resztki dachu belki strzeliły snopem iskier, żar palącego się drewna odepchnął go i zmusił do zakrycia twarzy. W pnących się do góry płomieniach, tuż przed nim, wiła się nieco tylko ciemniejsza od żaru postać. Podniósł się i zaczął kuśtykać wokół tonącej w ogniu rudery. *Może gdzieś jest wejście, gdzie się nie pali*, myślał gorączkowo.

Lecz pożoga nie chciała go przepuścić.

Płonący we wnętrzu szopy kształt szarpał się z trzymającymi go płomieniami. Przez krótką chwilę, mgnienie oka, Bruno ujrzał, jak strzelające w górę języki ognia rozstępują się niczym czerwona kotara, odsłaniając jedyną aktorkę tego piekielnego spektaklu. Stojąca

między nimi postać nie przypominała już Anny. Ledwie przypominała człowieka. Łysa czaszka świeciła plamami bieli przebijającymi między skrawkami przypalonej skóry. Ciało na torsie i ramionach dziewczyny wiło się w spowodowanych żarem drgawkach, a olbrzymie bąble strzelały wytapiającym się tłuszczem. Anna nie miała już twarzy. Dwie czarne dziury, makabryczna pamiątka po oczach, wpatrywały się z wyrzutem w rozpaczającego chłopaka. Dziewczyna rozwarła zionące dymem, opalone z ciała szczęki w ostatnim przed śmiercią krzyku i zniknęła w buchających ze zdwojoną siłą płomieniach. Rozpaczliwy wrzask Brunona zlał się z upiornym wyciem wichru, łzy mieszały się z deszczem. Przyglądająca się wszystkiemu latarnia zamigotała słabym światłem, załamując cień na czającej się poza zasięgiem wzroku postaci. Ogień, choć zalewany falami deszczu, nie przygasł nawet na moment. Płomienie smagały ciemność także wtedy, gdy do siedzącego w błocie chłopaka przybiegli ludzie z remizy. Ojciec krzyczał na niego, bił po twarzy i szarpał, pytając o Josepha, o Annę. Bruno nie czuł niczego, nie słyszał ani nie widział. Pustkę w jego głowie wypełniał ogień.

Lena Daecher zaparkowała nowiutkiego opla rekorda przed komisariatem policji. Nie miała ochoty tutaj przychodzić, jednak rok temu złożyła komisarzowi pewną obietnicę, trzy dni temu dała w pustym lekarskim gabinecie kolejną, a lubiła wywiązywać się z danego słowa.

– Dzień dobry, przyniosłam uzupełnione dokumenty – przywitała oschle komisarza, gdy ten, po półgodzinnym oczekiwaniu, łaskawie zgodził się ją przyjąć.

– Jakie dokumenty? – Nalana twarz łysiejącego policjanta zdradzała szczere zdumienie.

– Dokumenty związane z chorobą tej niezidentyfikowanej pacjentki. Prowadził pan jej sprawę rok temu.

– Ach, tej Cyganki. – Komisarz wzdrygnął się i spojrzał na lekarkę, jakby dopiero ją rozpoznał.

Twarz Leny wykrzywił grymas obrzydzenia. *Co ten człowiek robi na stolku komisarza policji*, pomyślała.

– Proszę! – Rzuciła na biurko teczkę z dokumentami i wstała, zbierając się do wyjścia.

– Niech pani jeszcze nie wychodzi – powiedział łagodnie Sankt. – Proszę.

– W teczce jest wszystko, co ważne – odparła Lena. – Także to, że nie mogliśmy jej

wypisać. Więcej się pan ode mnie nie dowie, bo więcej nie wiem.

– Uciekła, prawda? – zapytał cicho Sankt.

– Tak... – Zdziwiona pani doktor zawróciła i usiadła ponownie na krześle. Liczyła po cichu na to, że nie będzie musiała tłumaczyć się ze zniknięcia pacjentki, bo komisarz sam sobie to wyczyta z dokumentów. – Skąd pan wie?

– Nie wiedziałem, nie do tej pory, ale... – jękał się policjant. – Wyśmiej mnie pani, ja chyba ją widziałem.

– Jak to, widział pan?

– No mówię, że chyba, bo ona, jakby to powiedzieć, przyśniła mi się.

– No wie pan co! – Lena przewróciła oczami. – Poważny mężczyzna, a snu od jawy nie odróżnia. Niech pan sobie ze mnie nie żartuje. Sen to sen!

– To nie tak... – burknął poczerwieniały ze złości komisarz. – Ach! – warknął. – Wiedziałem, że pani nie zrozumie!

– No dobrze. – Lenie nagle zrobiło się żal policjanta. – Niech pan mówi.

– To był bardzo realistyczny sen, wie pani, taki, którego nie jesteśmy w stanie odróżnić od jawy.

– Co się panu śniło?

– No, ona, że przyszła do mnie, to było trzy dni temu...

– Wtedy zniknęła ze szpitala. – Pokiwała głową lekarka.

– Jezu, wiedziałem! – Komisarz pobladł.

– O co chodzi, czemu przeżywa pan tak bardzo sen o zupełnie obcej kobiecie?

– Ona coś mi zrobiła w tym śnie!

– Co takiego?

– Nieważne. – Policjant nagle się zarumienił. – Istotne, że niestety zadziało.

– Ale co?! – Lena prawie krzyknęła. Denerwowały ją zagadki komisarza.

– No, czary... – wydusił w końcu z siebie Sankt.

– Dość! – przerwała mu lekarka. – Wychodzę!

– Nie, proszę! – Komisarz poderwał się zza biurka i chwycił ją za ramię. – Błagam, niech mi pani pomoże! Coś przepisze! Ja tak nie mogę! Taki wstyd...

– Co mam przepisać? Na co?

Sankt pochylił się i wyszeptał jej coś do ucha, czerwieniąc się mocno.

– Na to, panie komisarzu, to polecam dużo ćwiczeń, zero alkoholu i zdrową dietę. – Lena starała się ze wszystkich sił powstrzymać uśmiech. – Aha – rzuciła na odchodne – jedzenie ostryg podobno pomaga – dodała i opuściła pokój komisarza Sankta.

Stojący przed posterunkiem opel rozgrzał się w sierpniowym słońcu niemal do czerwoności.

Gdy przekręcała kluczyk w zamku, łokieć drugiej ręki oparła niechęcący o gorącą blachę dachu i aż syknęła z bólu. *Żeby to cholera wzięła, pomyślała, trzeba będzie penatenem posmarować, bo oparzenie jak się patrzy.*

Wnętrze auta przywitało ją cuchnącym od nagrzanego plastiku powietrzem. Sięgnęła do korbki i uchyliła oba okna. Leżąc na siedzeniu pasażera brauselimonade smakowała jak pomyje. Wypiła ją jednak duszkiem. Nie odpalała silnika. Zadumała się na chwilę nad sprawą Cyganki i przypadkiem komisarza Sankta. Nie powiedziała mu całej prawdy. Owszem, dokumenty, które przyniosła, z grubsza opisywały sytuację medyczną jej zagadkowej pacjentki. Nie tłumaczyły jednak zbyt szybkiego, niemal cudownego ozdrowienia ani niepasującej do ludzkiego organizmu regeneracji niektórych tkanek. Nie wyjaśniały również, co stało się z Cyganką, gdy już wyzdrowiała, ale tego nie wiedziała nawet ona. Dziewczyna po prostu zniknęła. Nikt nie widział, jak wychodziła z pokoju czy szpitala, jakby rozplynęła się w powietrzu. Przepadła wewnątrz zamkniętego, dobrze strzeżonego nocą budynku. Nie to jednak zdziwiło Lenę najbardziej, a napisany starannym pismem list, który znalazła w swojej kuwecie rankiem następnego dnia. Kobieta podziękowała w nim za opiekę i serce, jakie lekarka okazała jej podczas niemal rocznego pobytu w szpitalu. Dała jej też radę, na której wspomnienie, nawet teraz, w rozgrzanym wnętrzu auta, Lena czuła zimne dreszcze na plecach. List obnażył Thomasa, jej ukochanego, jako kłamcę i uwodziciela, wielokrotnie zdradzającego Lenę z pielęgniarkami i stażystkami. Cyganka stwierdziła, że Lena zasługuje na kogoś lepszego i obiecała ukarać Thomasa. Lekarka nie wiedziała, co przytrafiło się jej ukochanemu, ale ten jeszcze tego samego dnia złożył wypowiedzenie, a dnia kolejnego wyprowadził się z miasta, nie podając nikomu adresu kontaktowego. To mógł być przypadek, ale teraz, gdy wysłuchiwała komisarza Sankta, sprawa nie była już tak oczywista. W ostatnich liniijkach osobliwego listu dziewczyna pozdrawiała ją i prosiła, by Lena, jeśli to możliwe, zgłosiła jej zaginięcie dopiero po trzech dniach. Miała to być ostatnia przysługa, jaką lekarka ma jej wyświadczyć, inaczej może dojść do „większej tragedii”. Wzdrygnęła się na wspomnienie końcowych słów. Niby nic, a pamiętała dobrze, że na samą myśl, by pójść natychmiast na policję, zrobiło jej się słabo i ciemno przed oczami, jakby nie spała od wielu dni. Kiedy postanowiła w myślach, że posłucha prośby Cyganki, wszystko wróciło do normy. List spaliła w popielniczce, przysięgając sobie, że po tym, jak podrzuci na posterunek historię choroby niezwyklej pacjentki, nigdy więcej o niej nie wspomni. Odpaliła auto i z podmuchem wiatru, który chłodził jej długą szyję, zostawiła za sobą posterunek, Sankta z jego

rozporkowym dramatem oraz sprawę skatowanej Cyganki.

Potworny ból obudził sołtysową. Chciała zerwać się na nogi, krzyczeć, wołać męża lub czuwającego przy chorym bracie Josepha, lecz nie mogła. Kończyny odmówiły jej posłuszeństwa, a z wyjąłowionego gardła, niczym z dziurawej dętki, zdołała wydobyć jedynie cichy syk.

– Tyyy! – wyjęczała, spoglądając na stojącą nad nią dziewczynę.

– Ja – odparła Samira.

– Ty nie żyjesz!

– Owszem – odparła Cyganka – umarłam, a jednak jestem tutaj, na krótką chwilę co prawda i tylko po to, by oddać, czym mnie obdarzono.

– Ja niczego ci nie dałam – ciężko dyszała sołtysowa.

– Ależ dałaś mi, Amelio – zaśmiała się Samira. – Obie dałyście mi bardzo wiele. Anna obdarowała mnie wyłupionym okiem i wgniecioną kamieniem czaszką. Ty natomiast, o ty! Ty dopiero dałaś mi prezent! Połamane nogi i poroniona ciąża! Tak! O tym marzy każda synowa! Joseph ucieszyłby się, gdyby wiedział, że własna matka zatłukła mu obcasem nienarodzone dziecko, byle tylko uchronić go od związku z Cyganką i wepchnąć w ramiona własną faworytę!

– Kłamiesz! – W oczach Amelii zabłyśły łzy. – Mój syn nie tknąłby cię palcem! Nie byłaś w ciąży!

– A jednak! – Pokiwała głową Samira i przykucnęła przy leżącej bezwładnie sołtysowej.

Słońce powoli wstawało nad ciągnącymi się bez końca polami. Żniwa tego roku były równie obfite jak latem, gdy Anna z Amelią zwabiły Samirę na tyły remizy, gdzie otruły ją i potajemnie wywiozły do kończącego bezkres pszenicznych pól lasu. Przeklinała dzień, w którym odwiedziła wioskę, szukając pracy; wieczór, gdy poznała Josepha i zakochała się w nim. Wstydziała się własnej słabości i tego, że tak łatwo uległa namiętności. Gdy do stodół, po kolei, zaciągano spalinową młockarnię, ona leżała w czarnej ziemi bukowego zagajnika, czekając na śmierć, której zazdrosne kobiety nie umiały jej zadać. Ta jednak nie nadchodziła, życie nie chciało opuścić zmlaltretowanego ciała Samiry. Zaczęła się więc modlić. Prosić Boga o łaskę, o ratunek z opresji, o litość, w końcu, gdy ból stawał się nie do zniesienia, o szybką śmierć. Bóg nie odpowiadał. Nie oznaczało to jednak, że jej wołania zostały bez

echa. Odezwał się ktoś inny. Do Samiry przemówił głos mroczny i budzący trwogę, lecz kojący zarazem. Głos obiecujący wiele, lecz żądający jeszcze więcej. Musiała tylko udowodnić swą siłę. Wykazać się wolą życia, a ten spełni jej prośbę. Z początku chciała jedynie żyć, uciec z grobu i zapomnieć. Później jednak, gdy kolejna fala bólu przetoczyła się przez jej ciało, ogarnął ją gniew. W głowie zaszumiło od złości, a krwiożercza chęć zemsty zalała serce ciemną falą nienawiści. Złożyła obietnicę, lecz nie za życie, nie za zdrowie. Sprzedała się za możliwość odwetu, oddała swoje ostatnie dni na ziemi za ten moment, tę cudowną chwilę, to satysfakcjonujące „teraz” nad głową umierającej Amelii.

– Odebrałaś mi dziecko – powiedziała, gładząc siwą głowę sołtysowej. – Ja zabrałam twoje.

– Bruno... – Po policzku starej kobiety pociekły łzy.

– Już nie Bruno – parsknęła Samira – lecz skorupa, która kiedyś nim była.

– A Anna?

– Też ja. – Głos Cyganki był zimny niczym lód. – Stałam tam i patrzyłam, jak płonie.

– Boże mój – łkała Amelia.

– Twój? – zaśmiała się szyderczo Samira. – Może i twój. Wzywaj go, nie zabraniam.

Nogi sołtysowej wygięły się same z siebie. Chrupnęło we wnętrzu ud, a przez skórę przebiły się ostre kawałki połamanych kości. Amelia zawyła z bólu, lecz zamilkła, gdy lekki ruch śniadej dłoni zamknął jej usta.

– Obdarowuję cię milczeniem – powiedziała Samira – i przeklinam czas twojego konania. Przyjmij mój dar. – Pocałowała wyschnięte usta Amelii. – Żegnaj!

Sołtysowa nie widziała, jak Samira podnosi się z klęczek, jak pojawia się za nią rozdygotany w budzącym się dniu cień i jak pochłania uśmiechającą się złośliwie Cygankę. Dziwna siła kazała Amelii pełznąć. Drzeć słabymi palcami najpierw leśną ściółkę, później gorące od narastającego upału ściernisko. Coś popychało starą kobietę w kierunku stojącego pośrodku pól drewnianego krzyżaka. Jakaś niepokojąca siła kazała jej ciągnąć w jego stronę połamane nogi, choćby za cenę życia. Słoneczne promienie paliły jej nagie, krwawiące uda, ostra słoma wrywała z poszarpanych ran kawałki mięsa. Dojmujące pragnienie jęczało o wodę w każdym syczącym od posuchy oddechu, jednak Amelia nie zatrzymywała się. Czołgała się do wyschniętej na wiór konstrukcji, jakby ten kawałek drewna miał skończyć rozgrywający się na polu koszmar.

Tam czeka na ciebie chłód i woda, szeptał jej ktoś do ucha, spójrz! Kogo widzisz, czyż to nie Bruno, nie Anna? Machają do ciebie, cali i zdrowi.

Jezu Chryste, myślała, tak, to oni! Byle do nich, tam spokój. Tam koniec męki. Tam się

obudzę, a Brunuś będzie zdrowy, Anna żywa, ja żywa...

Przyspieszyła, nie bacząc na krwawiące rany. Płytki oddech starej kobiety stał się jeszcze płytszy, oczy zabłyśły białkami, gdy drżące dłonie pochwyciły w końcu wierzbową zerdź. Sołtysowa, u kresu sił, zaczęła wspinać się po paliku. Wbiła połamane paznokcie w twarde niczym kamień drewno, opłotła je ramionami, podnosząc dygocące ciało. Krzyż przyjął ją chętnie. Chude ręce rozciągnęły się na poprzecznym drągu, podniosły tułów i krwawiące nogi, które owinęły się żółtymi powrósłami wokół podstawy pala. Rozwarte w niemym krzyku usta zamknęła w kulistym kształcie słomianej głowy diabelska klątwa. Słomiany chochoł, niemy i spokojny, spoglądał na majaczące w oddali dachy wiejskich domostw. Wewnątrz niego, uwięziona pod bezlitosnym słońcem, konająca z pragnienia, krzyczała stara sołtysowa.

Joseph wstał z łóżka przed świtem. Otworzył okno, wpuszczając do ciemnego pokoju rześkie, wrześniowe powietrze. Bruno spał jeszcze. Joseph poprawił mu poduszkę i otarł sączącą się z otwartych ust nitkę śliny. Na widok chorego brata łzy zaszkliły się w oczach przystojnego niegdyś chłopaka.

Umył zimną wodą wychudłą i zmarnowaną troskami twarz. Przejechał grzebieniem siwiejące powoli włosy i szedł na dół. Na ławie, wśród porzrzuconych butelek i resztek jedzenia, spał ojciec.

Stary sołtys od pożaru i zniknięcia żony zapijał się na śmierć. Gospodarstwo było na głowie najstarszego syna. Joseph nie narzekał. Co dzień wykonywał będące ponad jego siły obowiązki. Wstawał rano, kładł się o zmroku. Nawet w niedzielę pracował. Wyprowadził ze stajni konia i zaprzął go do obciążonego pługiem wozu. Żeliwne lemiesz skrzyły się czerwienią w porannym brzasku. Większość pól już zaorał i zabronował. Tylko to najodleglejsze, pod samym lasem, czekało ciągle na dotknięcie wygiętego kowalskim młotem metalu. Nie patrzył przed siebie. Wierny koń szedł równo, ostre pługi posłusznie odkładały skibę za skibą.

W połowie pola przystanął, by napić się wody i dać odetchnąć kasztankowi. Gdy unosił do ust manierkę, jego wzrok przykuł majaczący w oddali kształt. Zostawił konia i ruszył przez pole.

Ech, ten ojciec, pomyślał, mocując się z siedzącym twardo w spękanej ziemi palem. Co mu z tych strachów, skoro dawno po żniwach?

Wyrwał w końcu słomianą kukłę i odniósł ją na wóz. Po skończonej pracy, o zmierzchu, chciał ją pod piec rzucić, spalić, a słomy prosiakom podłożyć. Coś jednak go tknęło. Zmusiło niemal do zmiany zdania.

Dobrze się trzyma ten chochoł, stwierdził. Po diabła mam się trudzić i kolejnego za rok zbijać, skoro ten spokojnie jeszcze kilka lat na polu wytrzyma?

Rzucił stracha do szopy i zamknął za sobą drzwi.



SĘDZIA DAGO

Paweł Cieliczko

Piszę te słowa w stanie niemałego napięcia zmysłów, bo nim nastanie wieczór, nie będzie mnie wśród żywych – Władysław Kościelski czuł, że jakaś obca moc prowadzi jego rękę, był jak zahipnotyzowany, a może to wypalone konopie indyjskie pobudziły w nim reminiscencje jakiejś dawnej lektury. Nie zastanawiał się nad tym. – Wiem, że zdołam przeżyć dopóty, dopóki nie spiszę swojego listu. Listu, który spocznie w arce, niewielkiej skrzynce z hebanowego drewna, gdzie zgromadzone są wszelkie relacje, ustalenia i przeświadczenia dotyczące tajemniczych bóstw Cthulhu oraz ich wyznawców. Zaciągam się ostatnim haustem dymu dającego ukojenie moim myślom, lecz czuję w nim już tylko nikłe wspomnienie smaku cudownego zioła cannabis. Paniczny strach rozsadza mój mózg, a za kilka godzin dopadnie mnie prawdziwe przerażenie. Nie będzie to jednak trwoga przed bankructwem, chorobą czy nawet śmiercią. Owładnie mną niemożliwy do opisanego strach wyłaniający się z trzewi świata, przedwieczny lęk, który wwierca się w mózg, przed którym

nie da się uciec, który doprowadza człowieka do szaleństwa, do takiego obłądzenia, że nikt już nie będzie pamiętał go potem jako normalnego.

Przed oczami mam opowieść ojca o tym, jak oszalał jego stryj, który dla mnie był dziadkiem. Całe długie i arcyciekawe życie tego na wskroś wybitnego człowieka zostało unieważnione opętaniem, w które popadł tuż przed śmiercią. Jego histeria była jednak szaleństwem osobistym. Amok ogarnął go w jego własnym zamku na prywatnej wyspie, wśród najbliższych. Ja żyję w dużym mieście, na oczach tysięcy ludzi, swojego szaleństwa nie ukryję przed światem. Nie chcę, by zapamiętano mnie jako „szalonego hrabiego”. Nie chcę, by przerażenie, którego nie potrafię okiełznać i które doprowadzi mnie do śmierci, zniszczyło pamięć o mnie i o tym, co tworzyłem przez życie. Jedyne, co mogę jeszcze dla siebie ocalić, to dobra pamięć. Chcę być zapamiętany jako człowiek świadomy, chcę, by oceniano mnie za to, co stworzyłem, nad czym pracowałem, a nie za szaleństwo, któremu nie byłem w stanie się przeciwstawić. Szaleństwo, któremu nikt by się nie oparł.

Zmierzcha. Nadchodzi wieczór. Latarnik zapala gazowe lampy, idzie wolno wzdłuż ulicy Paderewskiego i schodzi w dół ku Staremu Rynkowi. Ostatni raz podziwiam ten cud natury, gdy noc przenika dzień, a światło lamp gazowych przebija się przez wirujące śnieżne płatki lutowej nocy. Nie ma takiej latarni, która potrafiłaby rozświetlić ciemność i rozproszyc mrok gromadzący się w mej duszy. Nie ma już dla mnie ratunku. Nie mogę przed tym uciec. Nie mam dokąd uciec. Nie ma sensu dłużej uciekać. Nie istnieje dobre miejsce na spotkanie się z Przedwiecznym Strachem. Już mnie odnaleźli, idą za mną krok w krok, są tuż obok, czuję ich cmentarny oddech na karku. Nie mam siły już dłużej uciekać. Wiem, że przed Przedwiecznym nie ma ucieczki. Poczekał tutaj, aż nadejdzie. A gdy nie będę już miał sił bronić przed nim swych myśli, gdy poczuję, że jest o krok od zawładnięcia moją pamięcią, podejść do okna, raz jeszcze spojrzę na jarzące się gazowym światłem latarnie, odsunę firankę i sfrunę na ulicę. W chwili, gdy zderzę się z brukiem, będę znów człowiekiem wolnym; człowiekiem, który umknął Przedwiecznemu; człowiekiem, który go pokonał. Moje samobójstwo będzie jego porażką. Nie przejmie moich myśli, nie dowie się, gdzie ukryłem arkę, nie odnajdzie artefaktów, a bez nich nie uzyska pełni mocy.

Niezwykła samoświadomość, jakiej doświadczam i o której piszę, nie jest wynikiem wypalenia nadmiaru narkotycznego zieleń. Wiem, że zbliża się ciemność, której nie będę potrafił się przeciwstawić, która mnie zmiażdży, zdusi i uczyni zupełnie innym człowiekiem. Szaleńcem. Moja pozycja, herb i nazwisko zabraniają mi dopuścić do takiej transgresji. Wiem, że jedyna droga ucieczki wiedzie przez okno, wprost na kamienne kocie łby. Kocham życie i nie chcę popełnić samobójstwa. Wiem jednak, że zbliża się ta chwila, w której nie

będę mógł się sprzeciwić dławiącej mnie ciemnej mocy i śmierć będzie jedyną drogą ocalenia mojej duszy i zachowania pamięci o moim życiu.

Pamiętam doskonale szeptem przekazywane opowieści o Marii Komornickiej, która w tym hotelu, w kominku, spaliła swe suknie i gorsety, postanawiając przemienić się w mężczyznę. Może w ten sposób chciała zmylić tropy hysterii opanowującej jej myśli, chciała oszukać przeznaczenie, umknąć przed nieuniknionym. Nie chcę – jak ona – zostać szaleńcem wydanym na pastwę pospolitych ludzi, którzy nie będą w stanie wyobrazić sobie tego, co przeżyłem, co mnie dręczy, co mną zawładnęło. Wolę raczej zginąć niżeli przeżyć, ale szaleństwem zaprzeczyć wszystkiemu, co przez całe życie budowałem.

Gdy ujrzą moje martwe ciało rozbite o uliczny bruk, znajdą wiele wyjaśnień mojej nagłej decyzji o samobójczej śmierci. Jedni powiedzą, że to kryzys światowy i dramatyczny stan finansów wydawnictwa skłoniły mnie do samobójczego skoku z drugiego piętra hotelu Bazar. Inni będą zapewniali, że to nieszczęśliwy wypadek, bo jakież to problemy mógł mieć taki wielki i bogaty pan. Kolejni wskażą na moją nieostrożność i nadmiar alkoholu, jak to się zdarzyło przed laty hrabiemu Mielżyńskiemu. Nikt nie domyśli się nawet tego, co stało się naprawdę. Tego, co było prawdziwą przyczyną. Przyczyną przedwieczną.

Siedzę przed moją starą, wysłużoną maszyną do pisania marki Singer. Napisałem na niej dziesiątki umów, wystukałem setki listów, zaczynałem tysiące utworów, lecz żadnego z nich nie skończyłem, bo żadnego nie mogłem skończyć. Jak mógłbym napisać zwykły romans, kryminał czy poemat, gdy znam najważniejszą opowieść naszego świata, opowieść fundamentalną, opowieść, która wszystko wyjaśnia, wszystko rozstrzyga, a przy tym jest tak przerażająca, że nie mam odwagi przenieść jej na papier. Jak pisać o rzeczach błahych, gdy posiadało się wiedzę o rzeczach najważniejszych. Rzeczach najbardziej przerażających, najbardziej mrocznych i najbardziej niezwykłych. Czuję, jak ostatnie przebliski jasności rozświetlają mój mózg, wokół którego rozpościera się już ciemność, mrok i strach. Wkręcam papier w maszynę i rozprostowuję palce, tak jak pianista przed koncertem. Proste gesty uspokajają mnie. Uderzam opuszkami w kościane klawisze, ich dźwięk rozbrzmiewa w pustym, hotelowym pokoju.

Najtrudniej rozpocząć, znaleźć pierwsze słowo, wystukać pierwsze takty, reszta układa się sama, kolejne frazy są konsekwencją pierwszych. Żeby wyruszyć nawet w najdłuższą podróż, trzeba uczynić pierwszy krok i wyjść za próg własnego domu. Takie zdanie mogłoby otwierać najpiękniejszą opowieść o podróży, przyjaźni, przygodzie oraz strachu przed nieprzeniknionym i potężnym wrogiem, a także o kimś, kto mimo nikłej postury pokona

wszechmocne zło. Ja nie będę bohaterem takiej powieści, ja takiej powieści nie napiszę, mi pozostało tylko tyle czasu, bym opowiedział moją historię.

Moją opowieść mógłbym rozpocząć od lipcowego dnia w 1911 roku, kiedy przeczytałem testament ojca, w którym znalazł się zapis powierzający mojej opiece pamiątki po dziadku, i otworzyłem inkrustowaną skrzynkę z drewna hebanowego, nazwaną przez ojca Arką Cthulhu. Mógłbym rozpocząć od pojawienia się na kartach historii księcia otwierającego poczet naszych władców. Mógłbym cofnąć się do starożytnych Sumerów czy Babilończyków, którzy czcili boga morskich głębin, nazywanego Dagonem. Mógłbym cofnąć się do źródła ziemskiej cywilizacji, do mitycznej Atlantydy. Mógłbym też zacząć od introwertycznego mężczyzny z Providence, który był najbliższy odkrycia sekretu przedwiecznej tajemnicy.

Rozpocznę jednak od pewnej nocy letniego przesilenia w 1861 roku, kiedy to mój dziadek, wraz z oddanym pod jego komendę oddziałem janczarów, postanowił zlustrować okolicę ze szczytu niewielkiego kurhanu. Dziadek nazywał się wówczas Sefer Pasza, dowodził turecką twierdzą Anpic, a za zasługi w wojnie krymskiej sułtan mianował go generałem. Dziadek był jednak przede wszystkim polskim patriotą, dla którego wolność ojczyzny była wartością najwyższą. Z myślą o Polsce uczęszczał do pruskiej szkoły kadetów, dla niej został agentem Hotelu Lambert i organizował powstanie w Poznańskim, dla niej przesiedział w pruskich kazamatach, dla niej prowadził powstańców na pruskie działa w dniach Wiosny Ludów, dla niej budował wieś Adampol dla polskich uchodźców w Turcji, dla niej wreszcie zaciągnął się do tureckiej armii – jedynej, która chciała walczyć przeciwko naszemu zaborcy. Gdyby Dumas czy Sienkiewicz poznali dziadka, to pewnie zostałyby bohaterem cyklu powieści. Ja nie mam już czasu, by opowiadać o jego życiu. Najważniejsze wydarzenie sam zresztą szczegółowo opisałem.

Pewnego lipcowego dnia wybrałem się wraz z czterema janczarami na objazd okolic twierdzy Anpic. Gdy dotarliśmy do skraju patrolowanego terenu, dostrzegłem niewielkie wzniesienie, które mogło być pagórką, wygasłym dawno wulkanem czy starożytnym kurhanem. Na wzniesienie to postanowiłem wjechać, by z wysokości zlustrować teren. Gdy konie stanęły na szczycie wzgórza, przed naszymi oczyma otworzyła się rozległa przestrzeń krateru. Konie zarżały i zaczęły nerwowo strzyc uszami. Wnętrze wulkanu pełne było oślisłych

drzew, wijących się konarów w brunatno-zielonych, węzowych kształtach, nad którymi unosił się fetor siarki, zgnilizny i rozkładu. Wyglądało to niesamowicie. Dookoła nas aż po horyzont rozciągał się step, olśniewający feerią kolorowych, jasnych, kwiecistych barw, a w środku tych wielobarwnych połaci znajdowała się przestrzeń ciemna, brudna, bagienna i zła. Sam krater wytwarzał też jakiś defekt optyczny. Gdy spoglądałem w jego głęb, ten jakby się rozciągał, biegł w dal, nie miał końca.

Dałem znak, by dwaj janczarzy zjechali w głęb wulkanu. Patrzyłem, jak ich konie, tańcząc ze strachu, schodzą powoli coraz niżej. Dotarli do dna, dali znak, że wszystko w porządku i wolno ruszyli dookoła krateru. Widziałem ich, jak się oddalali i zniknęli, zbliżając się do linii horyzontu. Gdy jednak podnosiłem wzrok, widziałem niezmienną ścianę niewielkiego krateru. Przestrzeń, która u szczytu była stabilna, rozciągała się wewnątrz w niekończącą się kotlinę.

Nagle dobiegł nas przerażający kwik koni, dźwięk broni i odgłosy walki. Pozostali janczarzy spojrzeli na mnie, a gdy skinąłem głową, cwałem ruszyli w dół wału. Nie tracili czasu na objeżdżanie krawędzi wulkanu, tylko pogalopowali na przełaj, przez jego środek. I znowu oglądany z góry krater był niewielki, a oni na dole galopowali, oddalali się, znikali za horyzontem. Co chwila spoglądałem to w górę, to w dół i na górze widziałem bezpieczną przestrzeń stepu, a w dole rozszerzającą się w nieskończoność przepaść. Jestem żołnierzem i człowiekiem racjonalnym, pomyślałem, że muszą to czynić jakieś halucynogenne opary, które unoszą się z tego błotnego węzowiska.

Nagle dojrzałem powracających janczarów. Powracających to nie jest najlepsze słowo. Oni gnali, ich konie prawie nie dotykały ziemi, jakby czuły, że walczą o życie. Dwóch dzierżyło jeszcze piki, a na nich krwawe szczątki pokonanych. Uciekali, ale nie widziałem żadnej pogoni. Nagle jeden z nich wyskoczył z siodła i poleciał wysoko w górę. To, co brałem dotąd za stare konary, gałęzie czy krzaki było żywe. Stwór strzelił macką, której wcześniej nie dostrzegłem i porwał jeźdźca. Druga macka owinęła już się wokół drugiego. Trzecia wystrzeliła, by chwycić kolejnego. Ten jednak odciął ją sprawnym ruchem szabli. Ryk, jaki się wyrwał z paszczy poczwary, sprawił, że konie stanęły dęba. Jeden z janczarów spadł, drugiego dopadła macka, trzeci opanował konia i galopował ku brzegowi krateru. Minął bagniste tereny i zaczął wspinać się po zboczu wulkanu. Stałem u szczytu i zachęcałem go krzykiem do poświęcenia ostatka sił, by dotrzeć do krawędzi. Był już bardzo blisko. Od bezpiecznej korony wulkanu, ode mnie dzieliło go ledwie kilkadziesiąt metrów. Nagle ściana zaczęła się piętrzyć. Wpatrzony w jeźdźca nie rozumiałem, co się dzieje. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że wulkan nie wyrasta, tylko składa się. Zamyka krater, tak jak tulipan zamyka

na noc swój kielich. Jego brzegi unosiły się ku górze, by złożyć się nad nim. Janczar zeskoczył z konia, który zaraz stoczył się w czeluść, a on zaczął się wspinać. Chwycił linę, którą mu rzuciłem. Dzielilo nas już kilka, może kilkanaście metrów. Poczulem silne szarpnięcie. Staralem się ciągnąć, lecz sam byłem wciągany. Spojrzałem w oczy janczara, lecz ten tylko pokręcił z rezygnacją głową.

– Pomścij nas, mufti – krzyknął i puścił linę.

Ściana krateru była niemal pionowa, a on – wbrew prawom fizyki i ziemskiej grawitacji – nie spadł, a uniósł się w górę i znalazł na mojej wysokości. Poderwał się i rzucił czymś w moim kierunku. Rzucił celnie, złapałem ten przedmiot w locie. W ślad za nim pędziła w moją stronę brunatna macka. Już miała mnie porwać, gdy nagle opadła. Janczar ostatnim wysiłkiem ciął mackę, ratując mi życie. Spadła kilka kroków przede mną i kilka sekund przed zabiciem mnie.

– Uciekaj! Ratuj się! – usłyszałem jego krzyk z głębi krateru. Wyrwał mnie z letargu. Spiąłem konia i po drgającej, trzęsącej się i pękającej ziemi pogalopowałem w dół zbocza wulkanu, ku stepowi.

Nigdy potem nie odnalazłem tego wulkanu. Miejscowi o nim nie słyszeli. Gdyby nie brunatny medalion, zwątpiłbym, że kiedykolwiek to się zdarzyło.

Niesamowite, z którym dziadek zetknął się w kraterze, zmieniło jego życie. Gdy dotknął największych tajemnic wszechświata, żadna ziemska przeszkoda dla niego nie istniała. Pojechał do Stambułu. Podobno wprowadził na tron nowego sułtana Abd-ul-Aziza, a na pewno został marszałkiem dworu, a potem generalnym inspektorem jazdy tureckiej. Jego janczarzy po całym kraju szukali śladów kultu Przedwiecznych.

Twierdził, że wulkaniczne opary podrażniły jego płuca, a najlepszym miejscem kuracji jest Egipt. Gdy tylko tam się pojawił, doszło do zmiany na egipskim tronie i nowym kedywem został Ismail Pasza, który – jak się łatwo domyślić – bardzo zaprzyjaźnił się z moim dziadkiem. Kedyw Egiptu zezwolił mu na prowadzenie prac w grobowcach faraonów. On także umożliwił mu zakup sporego pakietu akcji Kanału Sueskiego, co uczyniło dziadka multimilionerem.

Nikt nie wie, jakie starożytne skarby udało się dziadkowi zwieźć z Turcji, Mezopotamii i Egiptu. Zgromadził je w średniowiecznym zamku Bertholdstein, na swej

prywatnej wyspie w Styrii. Nie wiem, czy udało mu się poznać tajemnicę Przedwiecznych, czy też w końcu uznał, że jest ona niemożliwa do zgłębienia. Ważne, że odkrył sposób na zneutralizowanie destrukcyjnej mocy artefaktu. Jego zamysł pojąłem, gdy ujrzałem rysunki Wilcoxsa. To był impresjonizm a rebours. Kształty ukazywały intencje, a kolory emocje. Jasne, świetliste plamki impresjonistów zachwycały, a zgniłe, brunatne węzowe kształty Wilcoxsa napawały najgłębszym przerażeniem. Nie wiem, jak dziadek odkrył te przeciwieństwa, nie wiem, jak natknął się na nieznanych wówczas impresjonistów, ale stał się ich wielbicielem i pierwszym mecenasem. Możliwe, że gdyby nie kupił ich wczesnych obrazów, to świat nigdy nie poznałby impresjonizmu.

Nieznana dla świata pozostała najsłynniejsza kolekcja obrazów impresjonistów, którzy sportretowali się na jego zamówienie. Naturalnych rozmiarów autoportrety Bonnarda, Boudina, Degasa, Moneta, Maneta, Pissarra i Renoira eksponował w galerii w swym zamku. Dla takiej kolekcji warto było zbudować nie tylko galerię, ale i muzeum. Dziadkowi nie chodziło jednak o walory artystyczne tych dzieł. Wierzył w ich moc, zwielokrotnioną kręgiem, w którym zostały ustawione. Był przekonany, że najwrażliwsi malarze wszech czasów w swoje autoportrety będą potrafili przelać tak wielkie emocje, że ich dzieła zniwelują negatywną siłę artefaktu, który on uwięził w srebrnej szkatułce, w centralnym punkcie kręgu. Wierzył, że poprzez piękno uda mu się okiełznać zło.

Ani krater wulkanu, ani puszczańskie bagna, ani najwybitniejsze dzieła sztuki nie były jednak w stanie zneutralizować zła zaklętego w artefakcie. Brunatny medalion wyrывał się na wolność, przyzywał przedwieczne moce, pragnął znowu zawisnąć na piersiach swego Przedwiecznego Pana.

To był wiosenny dzień 1928 roku. Siedziałem w czytelni klubowej Biblioteki Polskiej przy Quai d'Orleans na Wyspie św. Ludwika. Rozkoszowałem się smakiem porannej kawy, zapachem świeżych gazet oraz widokiem Sekwany leniwie płynącej za oknem. Raz po raz zerkąłem na most de la Tournelle, bo stamtąd spodziewałem się nadejścia człowieka, który miał mi pomóc w wyjaśnieniu tajemnicy od kilku lat zaprzątającej moje myśli. Tajemnica ta przyczyniła się do śmierci mego dziadka, po którym odziedziczyłem imię, majątek oraz... tajemnicę właśnie. Człowiek, z którym miałem się spotkać (nazwijmy go Howardem) – podobnie jak ja – kontynuował poszukiwania swego dziadka, a jego dziadek – tak jak mój –

zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Obaj byliśmy przekonani, że zgony naszych antenatów nie były przypadkowe. Ale po kolei...

O dziadku Howarda – profesorze Angellu – pierwszy raz usłyszałem podczas wykładu w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, gdzie młody antropolog opowiadał o ludach z najodleglejszych wysp Pacyfiku. Wspomnił wówczas o niezwykłym artefakcie badanym przez profesora Angella, który wydał mi się identyczny z posiadanym przeze mnie. Zdobyłem adres profesora w Providence i niezwłocznie wysłałem do niego depezę. Jego wnuk powiadomił mnie o śmierci dziadka, ale i o tym, że sam kontynuuje jego badania i planuje wkrótce przybyć do Europy, by odwiedzić kogoś w Norwegii. Umówiliśmy się w lipcu w Paryżu.

Howard siedział przede mną i opowiadał o prastarej sekcie czczącej boga o imieniu Dago. Jej członkowie – zwani Cthulhu od brzmienia słów ich rytualnych modlitw – byli niezwykle niebezpieczni. Słuchałem go zafascynowany, w jego opowieści odnajdowałem elementy, które wyjaśniały kolejne zachowania i działania mego dziadka. Cieszyło mnie, że mój przodek nie był jednak szaleńcem, a jedynie został opętany. Dowiedziałem się o dziwnych okolicznościach śmierci profesora Angella, a także norweskiego marynarza, który jako jedyny człowiek ujrzał kamienne miasto Cthulhu. Howard powiedział wreszcie, że od przyjazdu do Europy czuje się coraz bardziej zagrożony, jakby to właśnie tutaj, a nie na Pacyfiku, znajdowało się epicentrum Przedwiecznego Zła.

Z podróżnej torby wyjął blaszane pudełko, w którym przechowywał najważniejsze materiały dotyczące tajemniczej sekty. Wyjaśnił, że będzie czuł się znacznie bezpieczniej, jeśli na kilka dni zdeponuje je w moich rękach. Chciał, bym przechował je do dnia, aż nie zaokrętuje się na statku, który odwiezie go do Ameryki. Panicznie bał się ludzi na paryskich ulicach, a jeszcze bardziej obawiał się pozostawienia kuferka bez nadzoru w tanim pensjonacie, w którym zamieszkał.

Chętnie zgodziłem się na przyjęcie depozytu. Otrzymałem niezwykłą możliwość zapoznania się z całą wiedzą zgromadzoną na temat Cthulhu. Gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju, natychmiast otworzyłem puszkę. Znalazłem w niej wycinki z gazet informujące o niecodziennych, wstrząsających zdarzeniach, jakie miały miejsce w różnych zakątkach świata, w marcu i kwietniu 1925 roku. Profesor Angell powiązał je z potężnym trzęsieniem ziemi, w wyniku którego wyłonił się tajemniczy ląd na Pacyfiku. Przeczytałem dziennik norweskiego marynarza, który dotarł do tego lądu i jako jedyny powrócił stamtąd żywy. Zdążył to opisać przed swą nagłą śmiercią. Norweg widział przedwieczne kamienne

miasta o dziwnej geometrii, gdzie nie było kątów, a granitowe budynki układały się w nienaturalnych pochyłościach.

Najważniejszym dokumentem był zapisany starannym charakterem pisma profesora Angella zeszyt zatytułowany – „Kult Cthulhu”. Jego pierwsza część nosiła tytuł „1925. Sen i owoc snu H.A. Wilcoxsa, Thomas St. 7, Providence, Rhode Island” i była streszczeniem snów opowiadanych profesorowi przez młodego rzeźbiarza. Sny nawiedzały go w marcu i kwietniu 1925 roku, dokładnie wtedy, gdy wyłonił się tajemniczy ląd na Pacyfiku, a po jego ponownym zatopieniu całkowicie ustały. Do spisywania snów młodego artysty skłoniła profesora archeologii rzeźba, z którą artysta przyszedł do niego po raz pierwszy. Było to doskonale odwzorowanie tajemniczego artefaktu Przedwiecznych, o którego złowieszczej mocy naukowiec dowiedział się kilkanaście lat wcześniej.

Okoliczności tego odkrycia przybliżała druga część opracowania profesora Angella, zatytułowana „Opowieść inspektora Johna R. Legrassse’a, Bienville St. 121, New Orleans, Louisiana, na zjeździe A.T.A. w 1908 r.; notatki do sprawy i sprawozd. prof. Webba”. Legrass – policjant z Luizjany – opisał w niej przebieg akcji polegającej na rozbiciu tajemniczej i bardzo groźnej sekty organizującej w głębi puszczy krwawe rytuały, podczas których mordowani byli ludzie z okolicznych osad. W trakcie wielkiej oblawy zorganizowanej przez policję i mieszkańców otoczono sekciarzy, wielu zginęło w walce, liczni zostali skazani na śmierć, a ci, których uznano za niepoczytalnych, trafili do zakładów psychiatrycznych. Jeden z nich, stary metys Castro, opowiedział tam policjantowi o rytuałach i wierzeniach swych współwyznawców. Czcili oni starożytne, przedwieczne bóstwa, które rzekomo przybyły na Ziemię przed eonami lat, a po kolejnych tysiącach lat zasnęły, lecz miały wkrótce powrócić i ponownie przejąć władzę nad światem. Dalej były liczne notatki, uwagi, zapiski, cytaty i wyimki z książek antropologicznych, takich jak „Złota Gałąź” George J. Frazera, „Kult Czarownic w Europie Zachodniej” Margaret A. Murray czy „Argonauci zachodniego Pacyfiku” Bronisława Malinowskiego, rekonstruujące starożytne kultury i wierzenia.

Najbardziej zdumiały mnie jednak rysunki straszliwego, fantastycznego, oślizłego głowonoga oraz jego kamiennego miasta, namalowane na podstawie własnych sennych wizji przez Wilcoxsa oraz znajdująca się na samym dnie, schowana w atlasowym woreczku, zamknięta w lustrzanej szkatułce, niewielka, płaska figurka przedstawiająca przerażające monstrum. Przedwieczny Cthulhu miał głowę kałamarnicy, puste oczodoły, na szczycie znajdowało się zwieńczenie przypominające czapkę czerwonoarmisty, zewsząd wychodziły długie, węzowe ramiona podobne do macek ośmiornicy.

Nie spałem całą noc. Czytałem manuskrypty, przyglądałem się rysunkom. Ze szklanej szkatułki wielokrotnie wyjmowałem tajemniczą, brunatną figurkę. Wykonana była z lekkiego, niezwykle twardego i odpornego materiału, nieznanego żadnemu współczesnemu metalurgowi. Spoglądając przez okna na rzeźnicę oświetloną Wieżą Eiffla, pomyślałem, że nie jest to, co prawda, metal lżejszy od powietrza, o jakim tutaj Geist opowiadał Wokulskiemu, ale i tak było to epokowe odkrycie.

Wiedziałem, że historia mojej rodziny splata się z opowieściami zamkniętymi w arce. Rysunki Wilcoxsa przedstawiały dokładnie to, co wcześniej opisywał mój dziadek, to, co zobaczył w głębi kurhanu na tureckiej równinie i widoku czego nie mógł się już pozbyć do końca życia. Najlepszy policyjny rysownik nie potrafiłby jednak, na podstawie opowieści stryja, nawet zbliżyć się do takiej wierności oryginałowi. Wilcox musiał zobaczyć to samo co dziadek, kilkadziesiąt lat później, w innym miejscu kuli ziemskiej. Wrażliwy umysł tego artysty nawiedziły sygnały wysyłane przez Przedwiecznych, których nie potrafił stłumić, a jedynym sposobem wyrzucenia ich z siebie było przeniesienie na papier.

I wreszcie figurka. Ten sam tajemniczy materiał, niemożliwy do opisanego, który nie był drewnem, kamieniem, gliną czy metalem. Był niezwykle wytrzymały, pozostawał przy tym ciepły i przyjemny w dotyku. Taką samą figurkę pozostawił mój dziadek w zamku Bernstein, a ja zdeponowałem ją w skrytce sejfowej Banku Cukrownictwa u zbiegu ul. 27 Grudnia i Gwarnej. I jeszcze ta zwierciadlana szkatułka. Domyślałem się, że lusterka miały odbijać złą energię wysyłaną przez artefakt i kierować ją z powrotem ku niemu. Przypomniałem sobie warszawską legendę o bazyliuszku, niezniszczalnym potworze zamieszkującym stołeczne podziemia, którego zabił widok samego siebie, gdy sprytny chłopiec podstawił mu srebrne zwierciadło. Może w Ameryce znali podobne legendy i stąd srebrna szkatułka wyłożona lustrami. Stryj przecież starał się neutralizować ciemną moc, otaczając medalion jasnymi obrazami. Wiedziałem, że niezwłocznie muszę się spotkać z gościem z Providence.

Od wczesnego rana siedziałem w czytelni Biblioteki Polskiej i oczekiwałem przybycia gościa. Kartkowałem pozostawione mi dokumenty, robiłem ostatnie notatki, przepisywałem ważne fragmenty. Nie wiedziałem, jak skończy się ta historia. Nie wiedziałem, czy gość zdecyduje się zmienić swoje plany i zamiast do Ameryki wybierze się ze mną w przeciwnym kierunku, do Poznania. Miałem coraz większe przekonanie, że to nie w Ameryce, ale tutaj,

w Europie, a może nawet w Polsce i w Poznaniu, rozegra się kolejna wielka batalia z siłami Przedwiecznego Zła. Ciemnych Mocy czekających w uśpieniu na moment, gdy pojawi się człowiek, który zbudzi najgorsze demony. Wierzyłem, że jeszcze mam szansę temu zapobiec, potrzebowałem tylko pomocy Howarda, jego wiedzy, doświadczenia i wsparcia.

Minął ranek, przeszło południe, minęła pora obiadu, a mój rozmówca się nie pojawił. Ostatnie blaski słońca skrzyły się w Sekwanie. Postanowiłem, że pójdę w kierunku Hotelu Lambert. Ruszyłem nabrzeżem Quai d'Orleans, które po kilkunastu metrach przeszło w Quai d'Bethune i zbliżałem się do Pont de Sully. Most, który o tej porze jest zwykle pusty, teraz wypełniony był gapiami. Wszyscy spoglądali w dół. Podeszedłem do brzegu bulwaru i zobaczyłem, jak straż rzeczna wyciąga białowłosego topielca. Paryż to duże miasto i co dzień zdarzają się w nim wypadki, w tym jednak coś mnie uderzyło. Zszedłem ku rzece, tak że znalazłem się kilkanaście metrów od zdarzenia, słyszałem głosy policjantów. Mężczyzna, skoczywszy z mostu, uderzył się podobno o metalowy pręt czy barierkę i praktycznie zmiażdżył sobie czaszkę. Nie miał szans się uratować. Przyjrzałem mu się raz jeszcze i rozpoznałem charakterystyczną, szeroką szczękę Howarda. Wczoraj miał jednak kruczoczarne włosy, które dziś były śnieżnobiałe. Słyszałem o ludziach, którzy w ciągu godziny siwieli, ale pierwszy raz widziałem kogoś, kogo to spotkało. Spojrzałem w górę i poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Na moście, z nogami opuszczonymi przez barierkę siedział Murzyn i wpatrywał się we mnie. Nie widziałem białek jego oczu. Nasz wzrok spotkał się. On wiedział, że na mnie czeka. Ja wiedziałem, że on wie. Wolno podniósł się i ruszył w kierunku Dzielnicy Łacińskiej. Namierzył ofiarę, wiedział, że mu już nie umknę, nie musiał się spieszyć. Czuję, jak pot spływa mi po plecach.

Następnego dnia opuściłem Paryż. Obawiałem się, bym w jakiejś ciemnej uliczce nie spotkał marynarza, który mnie śmiertelnie potrafi; czarnoskórego złodzieja, który miał wyjąć portfel, włoży mi nóż pod żebra; hinduskich tragarzy, którzy będą mnie cucili na śmierć, czy norweskich robotników, którym cegła wypadnie przypadkiem na mą głowę. Miałem nadzieję, że jeśli zniknę z Paryża, to poszukiwacze zaginionej arki Cthulhu, którzy dopadli Howarda, mnie nie odnajdą. Miałem nadzieję, że uda mi się ich przechytryć, a to znaczyło oszukać śmierć. Równocześnie jednak wiedziałem, że jestem skazany na całkowitą klęskę i nie mam w starciu z nimi najmniejszych szans.

Krążyłem pomiędzy Poznaniem i Bydgoszczą, załatwiałem sprawy wydawnictwa, ale moje myśli cały czas absorbowali Przedwieczni. Tajemniczy przybysze z kosmosu, o których nikt nie wiedział niczego pewnego. Uświadomiłem sobie, że po śmierci dziadka, a także Howarda i jego dziadka profesora Angella, zostałem jedynym dziedzicem tajemnicy. Tajemnicy tak wielkiej i tak przerażającej, że nie mogłem jej nikomu powierzyć. Nie znałem zresztą nikogo, kto by takie zwierzenie potraktował poważnie. Już samo moje zainteresowanie antropologią, archeologią, starymi kultami i procesami czarownic sprawiło, że byłem traktowany jako osoba niezbyt zrównoważona. Gdybym posunął się o krok dalej, to z ekscentrycznego oryginała, wydawcy z rodziny hrabiów-artystów, zostałbym zdeklasowany do poziomu nawiedzonych włóczęgów, Cyganek wróżących z ręki oraz rozhisteryzowanych dewotek, którym ukazywała się Najświętsza Paniienka. Okultystki kręcące talerzykami, żeby rozmawiać ze zmarłymi, byłyby przy mnie ostoją normalności i naukowego podejścia do świata. Byłem sam, a ludzie, którzy poznali wcześniej tę tajemnicę, istnieli dla mnie tylko w pozostawionych mi tekstach.

Od 30 stycznia nie wychodzę z mojego hotelowego apartamentu. Do końca nie wierzyłem, że to się jednak wydarzy, że mnie znajdą, że mnie namierzą, że mnie dopadną... Właściwie to nieprawda, tak naprawdę doskonale wiedziałem, że to nastąpi, że to nieuniknione. Byłem przekonany, że wkrótce nadejdzie dzień, taki jak ten w marcu 1925 roku, kiedy niewytłumaczalne ruchy sejsmiczne wypiętrzyły ponad ocean przedwieczne miasto, w którym spoczywa starożytny Wielki Cthulhu, Zły, co pragnie zapanować nad światem i go zniszczyć.

Z każdym dniem czułem, jak zło wokół mnie narasta. Skłębione, węzowe cielska oplatały moją głowę. Nie pozwalałem się im dostać do mych myśli, broniłem się przed tym, by ich macki wwierciły się w mój mózg. Nie mogłem dopuścić do tego, by odkryły miejsce, w którym ukryłem artefakty. Medaliony były ich najsilniejszą bronią, uczyniłyby ich niepokonanymi. Od dwóch lat, odkąd wróciłem z Paryża, moje życie podporządkowane było neutralizowaniu siły tych talizmanów. Zwoziłem setki obrazów, układałem z nich galerie mające ograniczać moc kosmicznych kamieni, zamykałem artefakty w skrzyniach, zalewałem najsilniejszymi kwasami, gniołem w walcowniach, spalałem w hutach, zatapiałem w szkle.

Wszystko na nic. Artefakty przechodziły te próby nienaruszone. Kontaktowałem się z najwybitniejszymi profesorami z politechnik całego świata i nikt nie potrafił znaleźć metody na zniszczenie medalionów wykonanych z nieznanymi materiałami. Nikt nie wątpił, że mają one pozaziemskie pochodzenie. Nikt jednak nawet nie podejrzewał, jak potężna moc tkwi w tych wizerunkach.

Tymczasem zło się podnosiło i narastało. Przedwieczni, po tysiącach lat przebywania w zapomnieniu, postanowili wreszcie powstać i zniszczyć świat. Poddane ich woli armie zbroiły się. Świat wolnych ludzi miał ulec definitywnej zagładzie. Przedwieczni, żeby uzyskać pełnię mocy, potrzebowali jednak artefaktów, z którymi przybyli na Ziemię. Artefakty zaś wrywały się, w jakiś niepojęty sposób przyzywały swych panów, pragnęły zawisnąć na piersiach przedwiecznych wędrowców albo ich dziedziców.

Tego lutowego dnia zaświtała mi niezwykła myśl. Poderwałem się i pobiegłem ku hotelowemu sejfowi, w którym zamknąłem arkę. Zacząłem wertować wszystkie notatniki, relacje, opisy, wycinki. Przeglądałem zapiski profesora Angella, czułem, że jestem bardzo blisko znalezienia sposobu definitywnego zneutralizowania medalionów. Wiedziałem, że sam go nie odnajdę.

– Profesor! – wykrzyknąłem nagle i zrozumiałem, że zabrnąłem w ślepią uliczkę. Starożytne artefakty nie mogły zostać zneutralizowane przez współczesnego chemika, fizyka czy metalurga, ale przez starożytnika, bo z przeszłości pochodziła ich moc. Najwybitniejszym specjalistą od starożytności w Poznaniu był profesor Józef Kostrzewski. Wiedziałem, że jemu mogę w pełni zaufać. On także miał powody, żeby obawiać się brunatnej chmury, która nadciągała z zachodu.

Już miałem wybiec z hotelowego apartamentu, który przez ostatnie tygodnie był moim domem, gdy uświadomiłem sobie, że nie mogę pozostawić dokumentów z arki. Spakowałem szkatułkę i zamknąłem ją w sejfie. Naciskałem już klamkę, gdy usłyszałem straszliwy rumor i krzyki na ulicy. Podbiegłem do okna i zobaczyłem spłoszone konie biegnące galopem w dół Paderewskiego. Ciągnięta przez nie dorożka poturbowała przechodnia wyjącego teraz na chodniku. Gdyby nie zwłoka, gdybym się nie cofnął, leżałbym na jego miejscu. Zostałem w pokoju, tu jeszcze byłem bezpieczny. Wysłałem gońców, by ściągnęli profesora do hotelu, do łóżka umierającego przyjaciela, który musi mu wyznać wielką tajemnicę. Prośbie umierającego nie mógł odmówić. A poza tym – zastanowiłem się – nie było w tym ani krztyny przesady.

Kostrzewski przybył późnym popołudniem. Położyłem przed nim dokumenty i powiedziałem, że musi je natychmiast przeczytać. Milczał, wieczorem poszedł tylko do

Biblioteki Raczyńskich po drugiej stronie placu Wolności i wrócił z naręczem książek, które wertowaliśmy do rana. Przeczytał raz jeszcze to, co zebraliśmy o Przedwiecznych oraz o kulcie Wielkiego Cthulhu i także on nie znalazł żadnej odpowiedzi, która by nas zbliżyła od rozwiązania zagadki. Świtało, podszedłem do hotelowego okna. Do tego samego okna, przy którym teraz stoję i otworzyłem je, tak jak je otworzę, gdy tylko przyjdzie świt. Do pokoju wpadł ożywczy strumień powietrza. Profesor układał na biurku książki i dokumenty, spojrzał w stronę otwartej arki i zobaczył leżące w niej luźne kartki: artykuły z gazet, notatki, rysunki. Rysunki. Jego twarz nagle zrobiła się blada i stężała.

– Ma pan te artefakty? – zapytał szeptem. – Tak wyglądają? – wyszeptał, wskazując na rysunek Wilcoxsa. – Gdzie ma pan oryginały?

Dałem mu klucze do bankowego sejfów.

Legenda głosi, że w kaplicy, na miejscu której stanął kościółek Najświętszej Marii Panny in Summo Posnaniensis, modliła się księżniczka Dobrawa – żona pierwszego polskiego księcia Mieszka. Profesor odsunął kamienną płytę, włączył karbidową lampę i ruszył przed siebie. On wiedział, że to nie była legenda. Ja miałem być drugim człowiekiem, który się o tym przekona.

– Mieszko to najbardziej tajemnicza postać w polskich dziejach – zaczął. – Nikt nie wie, kim naprawdę był, nikt nie wie, skąd pochodził. Jak meteor zjawiał się w naszej historii i to od razu jako władca ogromnego, doskonale zorganizowanego państwa. Od dawna zastanawiałem się nad jego fenomenem. Zbierałem i łączyłem kronikarskie zapiski jak fragmenty rozbitej skorupy i wciąż mi czegoś brakowało. Prześladowała mnie natrętna myśl, że nie był rodzimym, słowiańskim władcą. Nie chciałem jej przyjąć, bo musiałbym uznać go za jakiegoś germańskiego wodza. Przed kilkoma tygodniami odnalazłem groby Mieszka i Bolesława. Nie ujawniłem tego nikomu, wołałem najpierw sprawdzić ich pochodzenie. Lepiej zataić odkrycie, niż dać Niemcom taki atut, dowód ich wyższości cywilizacyjnej. Dziś już wiem, że Mieszko nie był Słowianinem, ale nie był też Niemcem. Był potomkiem Przedwiecznych, na trumnach władców, a może kosmicznych kapsułach, są ich rysunki. W jego żyłach płynęła krew tych, którzy pojawili się na naszej planecie i ukazali się jako bogowie wyłaniający się z oceanu. Był potomkiem boga, którego nazywali Dagonem i wiedział o tym. Dlatego swój list donacyjny skierowany do papieża rozpoczął słowami „Dagome iudex” – Ja Dago Sędzia...

Profesor wziął ode mnie artefakty i położył je na niewielkich wgłębieniach w kamiennych płytach przykrywających grobowce. Pasowały do nich doskonale. Podeszedłem do grobowca i dotknąłem medalionu. Był całkiem zimny. Nie drżał. Bliskość kości przedwiecznych władców uspokoiła artefakty. Nie domagały się już spotkania z Wielkim Cthulhu. Mogły zapaść w letarg. Nawet na tysiące lat.

Artefakty zostały zabezpieczone. Historia mogłaby się skończyć szczęśliwie. Jednak w takich opowieściach nie ma szczęśliwych zakończeń. Kolejne noce nie były lepsze. Nie mogłem zasnąć. Oślizgłe macki atakowały mnie. Mijały kolejne dni, a mój stan się pogarszał. Czułem, że dłużej nie będę w stanie się bronić. Wkrótce macki opanują moje myśli i dowiedzą się wówczas, gdzie ukryte zostały medaliony mocy. Nie mogłem do tego dopuścić. Nie mogłem pozwolić, by brunatna siła zalała nasz świat. Nie byłem w stanie przeciwstawić się mocy Przedwiecznych. Otworzyłem okno. Świeży powiew mroźnego poranka przyjemnie owiał mą twarz. Już za chwilę wyskoczę z okna. Oszukam ich. Pokonam. Stracą jedyny ślad. Nie zdobędą artefaktów...

Ukochana Moniko!

Nie pozostawiam tego listu w maszynie do pisania, nie pozostawiam na biurku, nie wysyłam do Ciebie pocztą, zostawiam go w księgach rachunkowych naszego wydawnictwa. Nie chcę, by policja czy inni niepowołani ludzie czytali o tym, co chcę przekazać wyłącznie Tobie i tylko Tobie powierzyć. Za kilka dni, gdy spocznię już w rodzinnym grobowcu w Miłosławiu, a goście rozjadą się do swoich majątków, powrócisz do Poznania, usiądziesz za tym biurkiem i zajmiesz się porządkowaniem naszych spraw. Znam Ciebie doskonale i wiem, że zrobisz to sama, nie powierzysz tych ksiąg żadnym adwokatom czy rachmistrzom, póki ich nie poznasz i nie zrozumiesz. Dlatego mam pewność, że ten list trafi do Twych rąk, gdy otrząśniesz się po mojej śmierci, a nim podejmiesz dalsze decyzje, chcę, żebyś wiedziała...

Post scriptum

Monika Kościelska uratowała rodzinne wydawnictwo, większość majątku udało jej się spieniężyć przed wojną i wyjechać do Szwajcarii. Żyła tam bardzo długo, a kulturę polską

wspierała poprzez ufundowanie Nagrody Kościelskich dla najbardziej utalentowanych polskich literatów.

Józef Kostrzewski ukrywał się w czasie okupacji pod fałszywym nazwiskiem, gestapo bardzo usilnie go poszukiwało, rzekomo ze względu na sformułowaną przez niego teorię o autochtonicznym pochodzeniu Słowian. Żadnego innego naukowca nie szukano jednak tak bardzo.

Heinrich Himmler szukał magicznych artefaktów, wiedział, że w Poznaniu urwał się po nich ślad. Tutaj stworzył centrum poszukiwań, tutaj jego ludzie gromadzili materiały o magii i czarownictwie, czego pozostałością jest specjalny zespół dokumentów w poznańskim archiwum.

Adolf Hitler wierzył w okultyzm, miał własnego astrologa, poszukiwał źródeł magicznej mocy. Powszechnie wiadomo o organizowanych przez niego poszukiwaniach Świętego Graala czy Arki Przymierza, ale to była tylko zasłona. Tak naprawdę szukał poznańskich artefaktów.

W 2010 roku, blisko osiemdziesiąt lat po tym, jak profesor Józef Kostrzewski zasypał swoje wykopaliska, pod poznańską katedrą kopać w tym samym miejscu zaczęła profesor Hanna Kóćka-Krenz, która odnajduje niesamowite pamiątki z początków państwa polskiego. Wykopaliska trwają.

CARPENOCTEM.PL

PISZEMY O GROZIE OD 2003 ROKU

LITERACKI HORROR DLA ZAAWANSOWANYCH.
GROZA WCIĄGA!



KFASON

**KRAKOWSKI FESTIWAL
AMATORÓW STRACHU
OBRZYDZENIA I NIEPOKOJU**

17 PAŹDZIERNIKA 2015



**ARTETEKĄ WOJEWÓDZKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
W KRAKOWIE**

WSTĘP WOLNY

FACEBOOK.COM/KFASONFESTIVAL



WĄPIERZ

Krystian Janik

Józefowi M. Ossolińskiemu

Prolog

W pierwszych dniach listopada Helios rozpuszczał swe czerwone włosy. Liście wiszące nad spojrzzeniami mieszkańców ziemi tarnowskiej nasiąkały ich modlitwami. Na mogiłach płonęły pochodnie, aby strudzone wędrówką dusze mogły się ogrzać, kiedy Helios ustąpi miejsca złowieszczej Nyks i towarzyszącym jej wojskom niebieskim. Stare kobiety wodziły palcami po marmurowych nagrobkach, a kiedy natrafiły na szpary, wkładały do nich

po kilka ziarenek pszenicy lub słonecznika. W dzień zaduszny czyniono różne, zazwyczaj wywodzące się z pogańskich wierzeń, gusła – praktyki zakazywane i tępione przez Kościół. Pospólstwo, pomimo zakazów, wieczorową porą zbierało się w cmentarnych kaplicach i wzywało czyścowe dusze. Kiedy jakaś zabłąkana duszyczka pojawiła się pośrodku izby, to pytano, cóż można dla niej uczynić, aby ulżyć jej cierpieniom. Obawiano się ludzi, którzy za życia skrywali w swych piersiach podwójne serce. Mawiano, iż drugie serce, które budzi się po śmierci pierwszego, czyli po złożeniu człowieka do grobu, jest przyczyną pośmiertnych poszukiwań świeżej krwi. Jeśli padło podejrzenie, że zmarły za życia był posiadaczem dwóch serc, wbijano w jego pierś żelazny pręt lub osinowy kołek.

Nieboszczyk w alkwie

Roku Pańskiego 1666, w dniu uroczystości Wszystkich Świętych, a także w Zaduszki, drzwi wszystkich pijalni trunków w Tarnowie były zawarte. Było to związane z wydarzeniami z roku poprzedniego, kiedy w karczmie „Obieżyświat” czterech żaków dogodziło sobie spadziowym miodem i gdańską anyżówką. Samo pijaństwo było jeno pośrednią przyczyną kościelnej interwencji, albowiem czyny, których młodzieńcy dopuścili się po opuszczeniu karczmy, wołały o pomstę, przynajmniej do kleru. Studenci spotkali w „Obieżyświacie” kowala Franciszka Radwana, który wyznał im, że nie dalej niż tydzień przed Wszystkimi Świętymi zmarł jego szwagier Szymon – bawidamek i hulaka, w podtarnowskich wioskach zwany Mocarnym Juńcem. Jego żona Jadwiga dzień po pogrzebie zwierzyła się proboszczowi, że nocą słyszała głos swego zmarłego małżonka i czuła jego cielesną obecność. Zabobonny kaznodzieja stwierdził, że umrzyk za życia musiał nosić w piersiach dwa serca, więc teraz będzie powracał do swego domostwa pod postacią nienasyconego strzygonia. Młodzieńcy upili kowala i podstępnie dowiedzieli się, w którym domu mieszka jego siostra, poczem opuścili karczmę i udali się prosto na cmentarz. Dotarwszy na miejsce najtrzeźwiejszy z nich zagadał stróża, a pozostali trzej ukradli łopatę, odnaleźli grób Mocarnego Juńca i wykopali truchło, które wraz z trumną zanieśli pod drzwi domu jego oblubienicy. Nie widziało im się zostawiać trupa pod drzwiami, więc dla większej hecy postanowili włamać się do środka i położyć Szymona w piernatach małżeńskiego łóża. Koniec tej historii był przeraźliwy, albowiem nim zapał trzeci kur, w chwili wyswobodzenia się z objęć Hypnosa, ustało serce Jadwigi.

Tak więc bieżącego roku „Obieżyświat” powitał łakomych piwoszy i dmidzbanów dopiero dnia trzeciego. W tym dniu najliczniejszą gromadę stanowili krakowscy studenci,

k którzy powrócili w rodzinne strony, aby zalać się w trupa i odwiedzić cmentarze. Wnętrze karczmy wypełniał nierównomierny śpiew ich tubalnych głosów:

*Gaudeamus igitur,
Iuvenes dum sumus!
Gaudeamus igitur,
Iuvenes dum sumus!*

– Waćpan dasz wiarę, że oni tak od seksty? – rzekł karczmarz. – No, ileż można tak gąść?

– Kochanieńki Andrzejku... – Tęgi mężczyzna przywarł ustami do wyrżniętej z grubego szkła szklanicy. – Ja ich znam, to nasienie hulacze! – Spojrzał na zawodzącego niczym kotka w rui młodzieńca i oznajmił: – Do jutrzni nie przestaną.

*Post iucundam iuventutem,
Post molestam senectutem
Nos habebit humus!
Nos habebit humus!*

– Panie, to łacinniki, one to miód doją z wiadra! – zarechotał bezzębny staruszek. – Najpierwej się spiją, tabaczki zażyją, a na sam koniec pobiegną do zamtuza!

– A po drodze dziewczki będą brzuchacić! – zarechotał podtrzymujący dłonią czoło, odziany z kozacka jegomość.

– Ali-bbb-oo z pa-aaa-rowu truuupa wywle-ee-ee-koo! – dobiegło z drugiego końca pomieszczenia bełkotliwe ujadanie.

– Czorty! Czorty! – pobudził się tęgi mężczyzna i rękawicą otarł zmoczony piwem brunatny wąs. – Takim to trza równo liczko juchą bryzować!

– Dajcie spokój, panie Michale – rzekł karczmarz, stawiając przed rozjuszonym szlachcicem kolejny apostoł piwa.

– Sam żeś waćpan – bezzębny staruszek cisnął w wąsacza łupiną orzecha – z karczmy jak żwirz pochodził!

– Psie krwie...

– I ze Szwedami pod Jasną Górą gorzałkę łykał! – rzucił ktoś z głębi karczmy.

– Szwedy mię życie uratowały! A i mego dobrego mienia nie rozkradły!

– Najświętsza Panienska nie chciała, to Szwedy pomogły! – stwierdził staruszek. – Biesy biesa nie ostawią na zmarnowanie!

– Ać się bzdyk zawrze – szlachcic spojrział na paszczkę staruszka i skrzywił się na widok jego mielących podpłomyk dział – abociem wieczerzę mię obrzydza.

– Rodzic wasz też Remar, a człek czestny i bogobojny. Nigdy by takż do starszego wiekiem nie rzekł!

Michał Remar – urodzony 26 stycznia roku Pańskiego 1632, syn starosty tarnowskiego Władysława Samuela Remara i Jowity z domu Dołęga. W listopadzie roku Pańskiego 1655, wraz z dwoma kamratami, przebywał w gościnie u ojca Klemensa Augustyna Kordeckiego w klasztorze na Jasnej Górze. Pod koniec miesiąca, w nocy 25 listopada, wziął udział w wyprawie do szwedzkiego obozu zorganizowanej przez Piotra Czarnieckiego, której głównym celem było unieruchomienie armat najeźdźcy. Kiedy jego rodacy wdali się w potyczkę ze szwedzkim oddziałem, on położył się w śnieżnej zaspie i wypowiedział pojedynek angisterce gorzałki. Kilkuminutowa potyczka skończyła się zwycięstwem trunku, który zesłał na wojaka niedźwiedzi sen. Obudziwszy się spostrzegł, iż został przywiązany do drewnianego słupa. Zamieniwszy łamaną niemczyzną kilka słów z bladolicym wojskowym o imieniu Burchard, dnia następnego powrócił do klasztoru. Nikomu, pomimo napiętej sytuacji, nie umknął fakt, iż młodzieniec przytaszczył ze sobą wór pełen niewymownych podarunków, na które składały się pędzona z zimowej pszenicy pieprzowa wódka, kiszone śledzie i prasowane suchary.

W Rzeczypospolitej wieści szybko się rozchodzą i obrastają w różne piórka. Mówiono, że szlachcic chciał za wódkę prehandlować Szwedom jasnogórski obraz Bogarodzicy, zwanej Czarną Madonną. Dochodziły również głosy, że opój wyjawiał Szwedom treść przepowiedni matematyka ze Śląska. Słowa Wergilego – *fama crescit eundo* – Michał Remar odczuł na własnej skórze. Po ustaniu potopu nie mógł znaleźć dla siebie miejsca w klasztorze, co skończyło się przepędzeniem opoja z Częstochowy. Po sześcioletniej tułaczce po kraju powrócił do rodzinnego Tarnowa. Ojciec zobaczywszy pod drzwiami domostwa swego pierworodnego syna, w zgodzie z przypowieścią Chrystusa, wydał z tej okazji huczny bankiet. Tańce i śpiewy nie ustawały przez sześć dni i sześć nocy. Wiole, harfy, lutnie, skrzypce i klawicymbały wygrywały skoczne melodyjki. Siódmego dnia nastął czas odpoczynku i leczenia potrunkowych dolegliwości. Trzeciego dnia od zakończenia powitalnej

uczty, Władysław Samuel mianował – napisawszy w tym celu list do miłościwie panującego Jana Kazimierza, w którym prosił o przywrócenie dobrego imienia swemu synowi – Michała starostą bartnym miasta Tarnowa.

Urażony staruszek zebrał ze stołu okruszyny ciemnego chleba, dwa spore plastry polędźwicy i na poły przeżuty podpłomyk. Wszystkie specyjały schował do uszytego ze skóry bydlęcej wora, którego górną powierzchnię zawiązał sznurkiem. Zanim opuścił karczmę, rzucił w kierunku młodego Remara nienawistne spojrzenie i splunął gromadzonymi od kilku minut w paszczęce plwocinami prosto na jego szwedzkie buty. Nie doczekawszy się odzewu ze strony oplutego, nieukontentowany wymamrotał pod nosem jakieś ohydne przekleństwo i wyszedł. W drzwiach potrafił przestępującego próg Cześnika, co spowodowało przebudzenie się studentów, którzy ledwo otworzywszy oczy podjęli – notabene dokładnie w miejscu, w którym skończyli – swój podniosły śpiew:

Ubi sunt qui ante nos

In mundo fuere?

Ubi sunt qui ante nos

In mundo fuere?

– Witajcie, wielmożni panowie! – Cześnik najpierw objął swym niedźwiedzim ramieniem starostę bartnego, a następnie skinął głową w stronę karczmarza. – Jeno czekać – powiódł wzrokiem po twarzach studentów – aż przyjdzie im do głowy jakie wystąpienie. Pamiętacie, waszmościowie, jak żacy wykopali z grobu Juńca? Ech, nieszczęsna Jadwiga!

– Anoć, moi zacni druhowie, za śmierć niewiasty należy winować proboszcza – wyszeptał Andrzej. – Przeto on nabajdurzył żonie nieboszczyka, że ów nocą odwała mogiłę i przychodzi tłuc się po alkierzu. A w Tarnowie wieści prędko się rozchodzą.

– A i do alkowy pono zachodził! – dopowiedział Michał.

– Jeden ziemianin z Radłowa – Cześnik spojrział na wścicza i ściszył głos – opowiadał mi, że jak wracał nocą przez Zbylitowską Górę zaprzęgniętym w dwie kare szkapy wozem, to

kiedy jechał koło cmentarza, umarły kaznodzieja wskoczył mu na wóz i kazał się wieźć aż do Rzeszowa¹.

– Psie krwie! – zaklął starosta bartny. – Haniebne andrykuły pleciecie, panie Stanisławie!

– Z początku sam temu nie dawałem wiary, atoli kiedym rok temu, w pajęczniku, wracał od szwagra, takż przez Zbylitowską Górę, to przy cmentarzu zatrzymał mię obleczone w kościelne szaty sinolicy jegomość i spytał, czy nie zawiózłbym go do Rzeszowa.

Vadite ad superos,

Transite ad inferos,

Ubi iam? Fuere!

Ubi iam? Fuere!

– Przebóg! – poderwał się z krzesła Remar. – Wszystkich czterech wykidam za dźwirze!

– Aleś się waćpan na nich uwziął – westchnął Cześnik.

Żacy niczym jeden mąż poczuli nagłą potrzebę oddania Matce Ziemi jej skroplonych dóbr, które obciążały ich nerki i pęcherze. Jako pierwsi z krzesel podnieśli się dwaj młodzieńcy w rozchełstanych koszulach, którzy nie byli tędzy w śpiewie, więc zachowali najwięcej mocy w płucach. Dwaj pozostali, którzy raczyli bywalców karczmy tubalnym śpiewem, kulili się teraz pod stołem, zaciskając w pięściach pulsującą męskość. Jeden z nich – wysoki i pryszczaty, położeniem swym przypominający ślimaka – spróbował wychylić na powierzchnię kudłaty łeb, lecz uczynił to tak niefortunnie, iż utkwiona pod stołem drzazga

¹Bohdan Baranowski w książce *W kręgu upiorów i wilkołaków* przytacza historię pewnego gospodarza z Drużbic, człowieka obdarzonego ogromnym poczuciem humoru, który rozpuścił pogłoskę, iż pewnego razu, gdy wracał nocą z Pabianic, kiedy przejeżdżał obok cmentarza, na jego wóz wsiadł zmarły ksiądz i kazał mu się zawieźć do wsi.

przeorała jego czoło, pozostawiając krwawą szramę. Młodzieniaszek zawył i w przypiływie gniewu przewrócił stół, ale równie szybko opadł z sił, i gdyby nie jego kamraci, to zaraz po jutrzni kaznodzieja nakreśliłby jego nekrolog, zaś medyk za przyczynę zgonu podałby złamanie kręgosłupa. W końcu sztuka podnoszenia powiodła się wszystkim czterem. Kiedy wyszli na zewnątrz, nie w głowie było im szukanie wychodka. Wszystkiemu przyglądał się kopający tytoń bezzębny staruszek. Po chwili spostrzegli go studenci.

– Dziadku siwy jak gołąb – przyszczaty chwiejnym krokiem podszedł do staruszka – dajże nam zakopcić.

– Młokosy – staruszek uczynił przywołujący do siebie gest – posłyszałem, że starosta bartny chce wam liczka bryzować.

– *Mingere, mingere* – zaśpiewali studenci.

Pryszczaty wdał się w dyskusję ze staruszką. Rozmawiali krótko, ale owocnie, albowiem po jej zakończeniu wszyscy byli ukontentowani.

Lico wapięra

– Druhowie moi – starosta bartny rozpostarł ramiona – żal, żal was opuszczać, atoli niemoc mię bierze.

– Na niemoc łyknąć węgrzyna i serem tworzowym zagryźć – mądrą radą obdarował towarzysza Cześnik.

– Ano, nie masz na świecie wyśmienitszego lekarstwa niż węgrzyn! – potwierdził karczmarz Andrzej. – Aczkole miód sycony niezgorzej waćpana ożywi.

– Przebóg! Nie węgrzyn, nie miód, jeno balwierz mię potrzebny. Zajdę do Rocha z Wadowic zażyć dębowej łaźni.

– *Filius fellatricis!* – paskudnie zaklął Cześnik. – Jedgy byłem w malignie, to ma czcigodna żona zawezwała tegoż cyrulika, iżby mię krwi upuścił. Kazał pacholikowi przynieść puszcza dło. Waćpanowie, zaprawdę wam powiadam, iż widok samej szwajcy mię ożywił. Cyrulik jednak rzekł, że połowę kwarty trza upuścić. Wbił szwajcę do mej żyły, pod rękę podstawił słoje wytopiony na miarę jednej kwarty i kazał czekać. Żona uraczyła go wódeczką wonną skorzycą i cybebami, o które poprosił. Cyrulik łakomy, szklanicy z rąk nie wypuszczał, a krew się ze słoja przelewała...

– Wystarczy! – zaprotestował Remar. – Nie mogę tegoż słuchać.

– Wspomnisz waćpan me słowa!

– Jam starosta bartny, a cyrulik wie, że aczci coś spartaczy, to rozłupię jemu czerep bartą!

Nastawała trzecia część listopadowej nocy, kiedy Michał Remar pożegnał swych towarzyszy i wyszedł z karczmy „Obieżyświat”. Odźwierny widząc, iż przyjaciel jego chlebowawcy opuszcza towarzystwo, ukłonił się niedbale i otworzył drzwi.

Noc w przeciwieństwie do dnia była zimna. Jesienny wiatr przyniósł ukojenie rozgrzanej twarzy starosty. Niebo burczało, mężczyzna pomiarkował, iż zbiera się na deszcz i postanowił skrócić sobie drogę. Do mieszczącej się na bagnach chatki cyrulika najszybciej można było dotrzeć, wybierając drogę przez cmentarz. W pierwszych dniach listopada nekropolia była najlepiej oświetlonym miejscem na ziemi tarnowskiej. Starosta bartny lubił cmentarze, ale tylko wtedy, gdy odbywały się na nich pogrzeby. Zawsze czekał na zakończenie ceremonii pogrzebowej, kiedy kaznodzieja poświęci kwaterę nieboszczyka i pozwoli zebrany wrócić do swych domów. Rzadko się zdarzało, żeby uczestnicy ostatniej ziemskiej wędrówki zmarłego rozeszli się w milczeniu, wszakże w Rzeczypospolitej panował zwyczaj wyprawiania stypy. I to właśnie stypę węsaty szlachcic cenił sobie najbardziej. Jednak i w tym przypadku Kościół musiał wtrącić swoje trzy grosze. Duchowieństwu nie podobało się, że na stypach miast modlitw za duszę ukochanego zmarłego królują obżarstwo i opilstwo. Starosta tarnowski Władysław Samuel Remar przez długi czas wadził się z miejscowym proboszczem, który wołał z ambony, aby pogrzeby były skromne i ciche. Ponadto zażądał, aby wszelkie użyte podczas pogrzebu przedmioty – również konie i wóz, którym przewożono na cmentarz trumnę – oraz kosztowności i stroje należące do zmarłego przekazać na rzecz kościoła. Syn, podobnie jak ojciec, był przeciwnikiem panoszenia się dostojników kościoła.

– Zaczekaj...

– Przebóg! Kogóż licha niesie? – przeląkł się starosta bartny.

– Jam jest Paweł Korwin – odpowiedział świszczący głos.

Szlachcic podniósł nagrobną pochodnię, aby rozproszyć ciemność i obaczyć twarz swego rozmówcy. W trzaskających bursztynowych płomieniach ujrzał przygarbioną postać

odzianą w kruczoczarny żupan i tej samej barwy delię. Mężczyzna miał twarz młodą, aczkolwiek poorly dziwnymi zmarszczkami, przypominającymi wydrążone przez kornika dziury, policzki zapadnięte, wysuniętą zuchwę i podkrążone oczy. Górna warga unosiła się w – a w zasadzie wykręcała – odsłaniając gnijące dziąsła. Skóra twarzy w świetle ognia zdawała się mieć barwę bladozieloną z domieszką maku.

– Waćpana lico mór obleka – wyszeptał Remar.

– Mór? Tak. Samotność i tęsknotę niejeden zowie morem.

– Dokąd waćpan zmierzasz?

– Do niej, atoli wiem, że wolno mię jeno afektować.

– Do kogóż?

– Do Laury – odpowiedział nieszczęśnik, widząc narastającą w oczach szlachcica ciekawość. – Miłowałem ją, chciałem się żenić, ale rodzic jej mię przegnał...

– A to czort! – przerwał starosta. – Znam ja ci lekarstwo na miłosne zawody! Pójdź ze mną do karczmy!

– Raz ostatni piłem miody z mymi druhami, kiedym bawił w Lipsku – odparł nostalgicznie Paweł Korwin. – Wtenczas ją poznałem. Przyprowadził ją Stanisław Tarnowski, atoli nie był to jej amazyjo. Ona była taka czysta, taka piękna...

– Michał Stanisław Tarnowski? – podejrzliwie zapytał starosta bartny.

– Nie, nie. Stanisław...

– A jak zwał się wasz drugi kamrat?

– Mikołaj Sęp Szarzyński.

– Waćpan banialuki pleciesz – oburzył się wąsacz. – Stanisław Tarnowski umarł grubo ponad czterdzieści wiosen wstecz, a poeta jeszcze wcześniej.

– Jam umarł przed niemi, kiedy Kupido przeszył me serce strzałą miłości. Opuściłem Lipsk, lecz nie powróciłem do rodzinnego Zamościa. Afektowałem poruszać się jej śladami, więc postanowiłem wyruszyć do Tarnowa.

– Waćpan zonglujesz opacznyimi conceptami! W której waćpan jesteś wiosnie?

– Byłem w dwudziestej – niespełniony kochanek rozpiął żupan, toż samo uczynił z lnianą koszulą i odsłonił pierś – kiedym umarł.

– Jezus Maryja!

Skrywająca serce pierś Pawła Korwina była przeorana paskudną blizną, przypominającą wypalony pociskiem pierścień.

– Jakiż to żywot bez ukochanej? Posłyszałem głos w mej głowie, który rzekł, abym skończył, więc skończyłem.

- Drogi chłopcze, czy mógłbym służyć ci jakąś ratą?
- Jest coś, co mógłby waćpan uczynić, ale waćpan się nie zgodzisz.
- Rzeknij jeno – łamliwy głos zdradzał przerażenie starosty – a uczynię, co w mej mocy.
- Zgoda – odparł umarły. – Potrzebuję krwi.
- Krwi?! – rozdziawił usta Remar.
- Człowieczej krwi – potwierdził Korwin i odsłonił przed rozmówcą swe wydłużone kły. – Jestem przeklęty, wszak sam odebrałem sobie to, czym obdarował mię Stwórca.
- Waćpan jest wąpierzem! Waćpan chcesz mej krwi?!
- Tak. Wystarczy ćwierć kwarty, lecz nie wpiję się w waćpana szyję, wszakże nie jestem mordercem. Acć waćpan sam upuści ćwierć kwarty do naczynia.

Starosta bartny odpiął od pasa kontuszowego karabelę, która nigdy nieużywana służyła jeno za ozdobę tradycyjnego stroju polskiego szlachcica. Następnie spod podbitej sobolami delii wy dobył wypełnioną do połowy miodem skórzaną łagwicę. Wyciągnął kurek i przechylił pojemnik, wszakże szkoda było mu przeznaczać trunek na zmarnowanie. Niewielką ilością miodu skropił błyszczące ostrze karabeli, poczem wykonał powolne, aczkolwiek dokładne cięcie u nasady lewej dłoni. Z przegubu prosto do łagwicy popłynęła strużka jasnoczerwonej, jakby rozcieńczonej z wodą, krwi.

- Pij waćpan na zdrowie – rzekł starosta, podając potępieńcowi skórzany pojemnik.
- Dziękuję wielmożnemu... – Wąpierz wpił w łagwicę swe spierzchnięte usta i chleptał łapczywie, starając się nie uronić ani kropelki orzeźwiającego likworu.

Posiliwszy się, Paweł Korwin nisko skłonił się swemu dobrodziejowi i pobieżał w kierunku domu rodzinnego Laury. Czekąło go jeno rozczarowanie, wszakże leżąc w parowie doszczętnie stracił poczucie czasu. Jego luba, nawet gdyby wciąż żyła, byłaby sędziwą niewiastą, liczącą ponad sto wiosen.

Kilka godzin po spotkaniu z wąpierzem, Michał Remar wypił dwa jajka i konew zimnego krowiego mleka. Wyśmienity to napitek, albowiem potrunkowe dolegliwości niczym woda święcona złego ducha odpędza. Odzyskawszy głos, szlachcic udał się do pracowni miejscowego artysty-wyrobnika, słynącego z odlewania w wosku podobizn dostojników duchownych. Wielce zdziwił się artysta, kiedy usłyszał, iż najbardziej niezbożny z tarnowskich urzędników odzyskał ongiś utraconą wiarę. Starosta polecił wyrobnikowi

wymodelowanie w wosku swego lica i pokrycie najszlachetniejszą polichromią, aby godnie prezentowało się zawieszono u ołtarza Matki Boskiej Częstochowskiej.

Epilog

W trzecim dniu listopada roku Pańskiego 1667, przed drzwiami karczmy „Obieżyświat” stanął starosta bartny Michał Remar. Tego dnia szlachcic roztaczał wokół siebie zapach starej sosny i pszczelego miodu. W samo południe, nim igliwie załśniło deszczem i śniegiem, starosta własnoręcznie zabezpieczył przed mrozem wszystkie wyżłobione w sosnach barcie. W tym samym czasie pewien lubujący się w łakociach młodzieniec został przyłapany na gorącym uczynku przez podsędkę na odklejaniu miodowych plastrów z wyżłobionej w jodle barci. Karą za wybieranie miodu w Rzeczypospolitej było powieszenie. Kiedy złoczyńca dokonał żywota, rozcinano brzuch i wywlekano z truchła wnętrzności, poczem – ku przestrodze jemu podobnych – okręcano nimi drzewo, z którego wybierał miód. Podsędek zaprowadził nicponia przed oblicze starosty bartnego i zażądał powołania sądu pierwszej instancji.

– Zdybałem pacholika – podsędek szarpnął za bujną czuprynę chłopaka – jedgy miód z barci wybierał garściami.

– Kochanieńki – Remar spojrział na posiniaczoną twarz młodzieńca – zdaje mi się, że znam twe liczko.

– Panie Michale, to szkolar, psia jego mać! – zawarczał podsędek. – Onym jeno w głowie gorzałka i wołanie *pauperibus!*

– Psie krwie! – starosta chwycił studenta za gardziel – Jam swe lico kazał odlać z wosku i zawiesić u ołtarza Czarnej Madonny! Psie krwie! Jam przed Jej najświętszym obliczem przyrzekał, że przez rok cały ni kropli miodu, ni gorzałki, aniż piwa...



r.v.s. Roman Panasiuk

ZA WYJĄTKIEM BIAŁYCH KOŚCI

Artur Frysztacki

Pierwszej myśli ta opowieść nie ma, a więc i pierwszego zdania, bez względu na to, jak wychodzi. A wychodzi jak zawsze źle i jakby nie wyszło, rzeczy źle wychodzą, ponieważ w ogóle wychodzą, same z siebie się pojawiają, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo po co, nieoczekiwanie zjawiają się bez końca i bez początku. Nic się nigdy nie rozpoczyna, tak jak

nic się nigdy nie kończy. Żadnego principio i żadnej apokalipsy na tym świecie, któremu cicho patronuje skromny, bezmyślny trzykropek. Z trzykropka wylaniam się ja i oto jestem w Jarosławiu. Nie mieszkam, nie przyjechałem, nie wyjadę, w przeciwieństwie do samego miasta, które było, jest i będzie. Jesteśmy, ja i to miasto, jak nuta przeciw nucie i samą tą opowieścią, która rozsnuwa się pomiędzy nami, opowieścią, która się nie zaczyna i która się nie kończy.

Rzeczy są i dzieją się – trudno odmówić im tej urody. Świat istnieje, Jarosław leży nad Sanem, ja siedzę w Sztywniaku na ławce w dzień letni, słoneczny i gorący. Fontanna pluska i jakże tu wszystko dookoła jest. Niektóre rzeczy widać, inne znów słyhać, pozostałe czuć na różne sposoby. Siedzę w cieniu, bo trudno nie siedzieć w cieniu o tej porze dnia, wczesnym popołudniem, skoro jest się już na mieście, nie wstąpić do parku, najlepiej z fontanną, nie usiąść i nie siedzieć. Siedzieć i patrzeć, niespecjalnie nawet się przysłuchiwać ani rozglądać – patrzeć. Siedzieć. Może nawet nie myśleć o niczym – o czym w ogóle można myśleć w dzień tak skwarny – tylko siedzieć i patrzeć, to i tak przecież dość dużo. Widać – park zupełnie pusty, ludzie w pracy jeszcze albo już na obiedzie, albo w ogóle gdzie indziej, nie wiadomo gdzie. Ja w białych sandałach, białych spodenkach za kolano i białej koszulce. Zupełnie bez koloru, o ile biały nie jest kolorem, a prawdopodobnie nie jest. Ja – jestem zupełnie bezbarwny, bezmyślny, prawie bezosobowy.

W białym na brązowej ławce. To jedyne, zdaje się, tak zdecydowane białe teraz w Sztywniaku, wśród zieleni trawy i liści drzew, szarej kostki alejek, kolorowych klombów, czarnej kory drzew, bladożółtej elewacji kaplicy, kiedyś prezbiterium cerkwi cmentarnej, niebieskiego nieba i słońca, którego koloru nie sposób ustalić. Nie ma tu nic na tyle białego, co mogłoby się równać z moją bielą – bielą Wiszniewskiego, który siedzi, który siedzę na ławce z przymrużonymi oczyma i nogą na nodze. Za wyjątkiem białych kości. Sztywniak – dawny cmentarz greckokatolicki, zdeptany później, z racji swojego centralnego położenia w mieście, przez przechodniów z Lubelskiej na Kraszewskiego i z powrotem. Zdeptany, zaniedbany, zapomniany, niewielki plac nekropolii przyciągnął pijaków i stał się areną ich nocnych libacji. Potem, niedawno właściwie, parę lat temu, szkła butelek usunięto, ziemiste podłoże pokryto kostką, zasadzono trawę i kwiatki, wyłobiono fontannę i powstał park. Białe kości, których jakaś część z pewnością tkwiła gdzieś pod powierzchnią, pozostawały teraz w ukrytej harmonii z bielą Wiszniewskiego, moją bielą, bielą siedzącego na ławce, patrzącego na to, co widać. Półtorej godziny już mija, od kiedy usiadłem i siedzę. To musi już być półtorej godziny co najmniej, od kiedy wykonałem ów ruch do wtóru tego, co dawniej było biciem południowych dzwonów z pobliskiego kościoła franciszkanów, a co od niedawna stało

się odtworzeniem jakiejś taniej melodii na południe z głośników zainstalowanych w dzwonnicy.

Trzydzieści stopni co najmniej. I pojawia się wietrzyk. Jeden podmuch słabszy, potem silniejszy, potem jeszcze jeden. Prawie idealny pion wystrzeliwanych strużek wody zostaje zachwiany, woda skrapia kwiatki po jednej stronie fontanny, od ulicy. Kolejny podmuch i park osnuty zostaje ciepłym, słodkim, lepkiem zapachem przyniesionym tutaj z fabryki kruchych ciasteczek. Słodkość osiada w nozdrzach, czuć ją na języku, biszkopty nadziewane różaną marmoladą. I pomarańczowy kanarek, tuż nieopodal, który nie wiadomo skąd się tu wziął. Patrzę, jak skacze, podfruwa, zanurza wzrok pomiędzy źdźbła trawy, to rzuca znów główką dookoła. Wstaję z ławki i ruszam w jego stronę. Ten wlatuje i siada na gałęzi drzewa. Uciekł swojemu właścicielowi z klatki, uciekł mi – Wiszniewskiemu, będzie tak uciekał jeszcze jakiś czas, dopóki wrony go nie dorwą i nie rozszarpią. Albo koty.

Stoję jeszcze przez chwilę, wypatrując pomarańczowej plamki wśród liści drzewa, po którym kanarek zaczyna buszować, po czym zawracam, by z powrotem usiąść. Moja ławka nie jest już wolna – siedzi na niej dziewczyna, nie wiedzieć skąd i w jakim celu. Spięte, lekko kręcone blond włosy, nagie, szerokie ramiona, koścista sylwetka, w sukience w jakieś rozmazane kwietne wzory, sięgającej jej do połowy uda i w białych sandałach. Siedzi z nogą na nodze, lekko kiwa wystawioną w powietrze prawą stopą. Takie same sandały jak moje. Postanawiam się przysiąc i już otwieram usta, żeby zapytać, czy mogę, po czym nic nie mówiąc, przysiadam się, siadam dość blisko, bez słowa. Patrzy na mnie swoimi niebieskimi oczyma, ja opuszczam wzrok na jej dekolt z lekko zarysowanymi piersiami pokrytymi kropelkami potu. Opuszczam wzrok na jej łydki i stopy w sandałach, zakładam nogę na nogę. Dziewczyna odwraca głowę w kierunku ulicy, gdzie samochody jadą jeden za drugim, szybko i głośno, w jedną i drugą.

Bez słowa i żadnych innych wzajemnych gestów, z każdą chwilą coraz wygodniej ze sobą na ławce, coraz mniej uciążliwi dla siebie – on, ja, Wiszniewski i ona. Gdy wreszcie ławka zaczyna tracić swój cień, słońce coraz większym ukropem opadać na nasze ciała, krople potu spływać po twarzach i plecach, ramiona i biodra drętwieć od zasiedzenia. Kiwamy swoimi wystawionymi do wzajemnego wglądu stopami, wpatrzeni to w fontannę, to w samochody sunące Kraszewskiego, to znowu wypatrując czegoś, kogoś z głębi parku od strony kaplicy. W końcu dziewczyna wstaje i odchodzi jedną z parkowych alei, w kierunku szkoły muzycznej, nie oglądając się. Nie patrzę za nią. Odchodzi nagle, a więc i mi nie pozostaje nic innego, jak również sobie pójść, odejść stąd, gdzie indziej.

Wstaję więc, odklejam koszulkę od pleców i ruszam w głąb parku, przechodząc po trupach w kierunku kaplicy. Będąc na jej wysokości, zauważam nadchodzącego z naprzeciwka Wotę w białych tenisówkach i czarnych okularach. On też mnie dostrzega, a jego twarz rozpromienia uśmiech – mieszanka zaskoczenia i nieokreślonych nadziei. Przystaję i obserwując jego kroki, czekam, aż podejdzie. Witamy się, nie mówiąc nic. Wotę znam o tyle, że mijamy się dość często, szczególnie ostatnio, podczas spacerów jarosławskimi ulicami. Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz mnie o coś zagadnął, czy to ja go pierwszy zagadnąłem o coś, w każdym razie kiedy do tego doszło, znaleźmy się już dość dobrze z widzenia. A wpadliśmy sobie w oko chyba właśnie przez to, iż w podobny sposób chodzimy po mieście, samotnie i niby bez celu, bez związku z niczym, a jednak. Wota jest jarosławianinem, w przeciwieństwie do mnie, który nim jeszcze nie jestem, a może już nie.

Przytrzymujemy swoje powitanie dłużej niż zwykle. Próbuje przeniknąć głęboką czerń okularów Woty, ten prawdopodobnie do woli korzysta z okazji, urządzając sobie spacer oczyma po zakamarkach mojej twarzy. Kiedy chwila zaczyna niewygodnie rozwlekać się i sytuacja ciążyć swoim zawieszeniem, postanawiam usunąć swoją spoconą dłoń ze spoconego uścisku jego dłoni i przerwać ciszę. Spoceni ludzie, jak gdyby zwabieni obecnością Woty, zaczynają napływać alejami do parku: spocony grubas z wylewającym się spod podkoszulka brzuchem, spocona mama nienadążająca za spoconym synkiem na rowerze, spocony chłopak, spocona staruszka, spocony pies, podczas gdy my dwaj rozmawiamy w cieniu kaplicy. Proponuję wspólny obiad, na co Wota przystaje i obaj ruszamy w stronę Lubelskiej, mijając szkołę muzyczną, pizzerię Corleone, by przekroczywszy ulicę znaleźć się w obrębie starego miasta, nad którym góruje widoczna nad dachami zabudowań czarna wieża Ratusza. Kierując się w stronę Opolskiej, przy której mieści się włoska restauracja, rzuciwszy okiem na lewo, zauważam szeroką wyrwę w przestrzeni, gdzie nieoczekiwanie objawiają mi się dwie wieże opactwa benedyktynek położonego nieopodal. Dałbym sobie uciąć głowę, nigdy wcześniej z tego miejsca nie dało się ich zobaczyć. Tym bardziej przykuwa mnie ich widok, iż chwilę temu, gdzieś na wysokości pizzerii, zanotowałem już owe dwie wieże, na lewo, w głębi, poprzez koronę drzewa – perspektywę dobrze już przyswojoną, której wspomnienie nadaje nagle niezwyklej ostrości perspektywie nowej, wydobywa ją jako coś poruszającego.

– Nie było cię przy tym tak, jak przy wielu rzeczach tutaj cię nie ma. Gdzie ty jesteś w ogóle? – reaguje Wota na moje zdziwienie. – Dlaczego ciągle cię nie ma? Dlaczego nie widziałem cię w tej pomarańczowej mgle? Dlaczego nie było cię przy mnie, kiedy dusiłem się tym ceglanym pyłem?

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z braku kamienicy za synagogą, na łączeniu Ordynackiej z Placem Bóźnic – braku, który otworzył widok na wieże od strony Opolskiej. Patrzą na Wotę, który omiata już swoim przerzuconym przez parking wzrokiem tyły domów przy Grodzkiej. Wreszcie ruszamy, notując widoczne stąd budynki rynku wraz z dużych gabarytów studnią, które wydają się jakby poupychane w kadr. Skręcamy w drzwi kamienicy, nad którymi wisi szyld Centuriona.

Wszedłszy, omal nie zaczynamy krztusić się powietrzem. O ile na zewnątrz jest po prostu gorąco, w restauracji panuje atmosfera piekła, przesączona jednak przyjemną wilgocia dań. Zgadzą się obaj, iż klimatyzowane lokale przy upalnej pogodzie są jedną wielką pomyłką. Siedzieć w chłodnym pomieszczeniu, gdy na zewnątrz panują upały jest – wydaje się nam – czymś nienaturalnym, głupim wygodnictwem, kwestią, jeśli już, innego klimatu niż nasz, umiarkowany w końcu, nigdy specjalnie nieprzedłużający swoich tropikalnych ekstremów aż tak, by nie móc ich od czasu do czasu pokornie znieść. I ta restauracja, jako jedyna w mieście, spełnia nasze oczekiwania. Nie tylko nie posiada klimatyzacji, ale jeszcze z pieca, w którym wypala się pizzę, a który ustawiony jest vis-à-vis stolików wzdłuż ścian kiszkowatego pomieszczenia, bucha gorącem rozgrzanego drewna. Czerwone i mokre twarze klienteli pochylają się nad półmiskami z gnocci i lasagne, okapują potem w talerze zupy minestrone, nasiąkają oliwą parującą ze spaghetti, by na końcu pochłonąć zachłannie parę kieliszków wina i zacząć przymierzać się do tiramisu. Potrzebujemy tylko chwili na uregulowanie oddechów, po czym zajmujemy miejsca po prawej stronie, tuż przy barze.

Na naszym stoliku pokrytym obrusem w granatową kratkę leży Gazeta Jarosławska. Wota odwraca ją do siebie i czyta nagłówek: Kolejny atak Białej Sonii. Od początku tego lata, gdzieś zdaje się od końca maja, temat powraca w wiadomościach z pewną regularnością. Biała Sonia – gwałcicielka.

– Każde szanujące się miasto powinno mieć swojego gwałciciela – mówię.

Wota spogląda na mnie.

– Dlaczego ty się nie zdecydowałeś?

– Ja? O co chodzi?

– Nie wiem – odpowiada. – Świadców nie ma, ofiary milczą, policja ogranicza się do zdawkowych komunikatów, tylko gazety snują nieprawdopodobne historie... Trudno jakoś z tym... Gdyby chociaż Czarna Sonia wpierw... nie wiem... podrapała ich, pogryzła, posiniaczyła. Żadnych śladów prócz tego, że zniewala ich w jakiś tajemniczy sposób i wyciska z nich ostatnie soki, po czym porzuca gdzieś na obrzeżach miasta, bez tchu...

– Bez ducha – wtrącam.

– A ci – mówi dalej Wota – wyprowadzają się, znikają. Nie wiadomo – ze wstydu to robią? Z upokorzenia? Ze wzruszenia?

– Głupie to jest – podsumowuję.

– Głupie.

– Zamówmy coś... Wody! – woła Wota przez ramię do kelnerki.

I znów razem na dywanie, prawie nieubrani już. On wygląda bardzo ładnie i bardzo ładnie pachnie. Ona patrzy w jego oczy... Patrzę na Wotę, który połykając kęsy pizzy prosciutto crudo oblanej gęsto oliwą, z rozbawieniem rozwodzi się nad fenomenem braku jakiegokolwiek pomysłu w doborze muzyki do profilu restauracji. Zajadając swoje porcje pizzy z rukolą, przyglądam się przy okazji fotosom oprawionym w ramki i gęsto porozwieszonym na ścianach lokalu. Czarno-białe sceny smakowania, jedzenia, napychania się daniami włoskiej kuchni, wśród których króluje spaghetti, przeniesione tu zostały widocznie z jakichś starych włoskich i francuskich filmów. A poza tym – te obrusy przypominające ceraty, te flakoniki z kwiatkami na stołach, te wieszaki zdobyte gdzieś w sklepach ze starociami, ta goła posadzka jak z dawnej zakładowej stołówki, ta kelnerka, która podchodzi, by porozmawiać, jak we włoskich knajpach...

– Spójrz na chłopaka. – Wota przerywa moje obserwacje, lekkim ruchem głowy wskazując młodego kucharza, który rozebrany do pasa krząta się przy swoim stole, tuż obok pieca.

– Co z nim? – Nie bardzo rozumiem intencje swojego towarzysza.

– Nic – odpowiada i nie patrząc na mnie, wkłada do ust kęs ciasta. Przełykam swój, ocieram chustką usta z oliwy i wycelowuję w niego swój widelec.

– Nie zaczynaj – ostrzegam go.

– Z czym?

– Chcę mieć spokój przynajmniej z tym, przynajmniej z tobą.

Kelnerka podaje kolejną karafkę zimnej wody, Wota nalewa sobie trochę na dłoń i pociera nią skronie.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nigdzie cię nigdy nie ma, nic cię nie obchodzi... Czego ty szukasz?

– Jeśli już czegoś szukam, to na pewno nie brakuje mi całego tego... folkloru miłosno-erotycznego.

Do baru podchodzi młody chłopak i pyta o keczup.

– Zwariował. – Uśmiecham się do Woty. – Świetnie.

Podchodzi do nas właścicielka. Za miesiąc otwierają lodziarnię na Rynku. Fragolla.

Wszystko jest fajnie, ale może być bardziej. Znowu boję się moich snów. I co z tego, gdy jutro będzie trochę za późno i zostaną już zawsze tu...

– Robisz coś jeszcze dzisiaj?

– Niespecjalnie.

– I w dodatku jeszcze nigdy nic nie robisz... – Wota widocznie nie ma zamiaru zostawić mnie w spokoju. – O co tobie w ogóle chodzi? – rzuca nagle dość gwałtownie.

– Zostaw mnie.

– Ciekawi mnie tylko to, jak skończysz.

– Skończę?

On uśmiecha się do mnie, odkładając sztuce po obiedzie, widocznie nie mając zamiaru wyjaśniać swojej uwagi i raczej spodziewając się, iż udało mu się czymś mnie zaintrygować. Widząc to, postanawiam nie dać mu tej satysfakcji.

– Więc myślisz, że jak skończę?

– Kiedy patrzę na ciebie, trudno mi sobie nawet wyobrazić, że jutro też będziesz. I z jednej strony, jak zawsze, mam cię dość po piętnastu minutach, z drugiej jednak mam ochotę nie odstępować cię na krok w obawie, że już się nigdy nie zobaczymy, że cię po prostu nie będzie. Nigdzie. Nigdy.

Patrzę na niego, nie wiem, co myśleć, nie wiem, co powiedzieć. Wydaje mi się jednak, że opowiada bzdury. Już chcę coś powiedzieć, kiedy wyprzedza mnie.

– Z przyczyn naturalnych czy z przyczyn boskich uważasz, że jasny szlag nas i nasz piękny świat w końcu trafi?

– Myślenie o końcu to kolejna patologia, trzymam się od tego z daleka.

– Więc ja mam zapłacić rachunek?

Znów jest wieczór, a ja w mieście chodzę z tobą coraz częściej. Znowu niebo jest różowe, wiesz, że z tobą chodzi się latem najfajniej... Ale mnie nie zabraknie.

Wychodzimy na słońce rozanieleni posiłkiem, trochę ociężali, trochę senni, zmęczeni i niewiedzący, co ze sobą zrobić. W jednej chwili obaj podnosimy wzrok ku niebu, przywołani krakaniem stada wron przelatujących nad dachami na zachód.

– Park miejski, szpital czy ogród franciszkanów? – Wota próbuje odgadnąć cel ich podróży.

– Ciekawsze jest skąd – zastanawiam się.

– Znad Sanu czy tylko gdzieś z ruin na tyłach Rynku? – próbuje ocenić mój kompan.

– Nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć dokąd. Dobrze by było zbadać trajektorię ich lotu nad miastem – mówię.

Wota patrzy na mnie pytająco, czuję na swoim policzku ten jego na wpół zdziwiony, na wpół rozbawiony moją osobą wzrok, podczas gdy sam wciąż wpatrzony jestem w pewnym nawet rozmarzeniu w niekończącą się lunę małych, czarnych, ruchliwych kształtów na czystym niebie.

– Inaczej nigdy nie będziesz wiedział, czy trasa ich przelotów nie układa się w jakiś znak, czy nie układa się w jakiś podpis – wyjaśniam, prawdopodobnie ku jeszcze większemu rozbawieniu z jego strony.

Ten znów spogląda szybko w górę i wyrokuje:

– Jednak lecą na Kościuszki. Idziemy na kawę?

Tuż za rogiem wstąpić można do kawiarenki Galerii Przedmiotu. Zbyt jesteśmy ociężali, aby szukać czegoś innego.

Wchodzimy przez otwarte drzwi do bladopomarańczowej sali, mimo iż od początku zamierzamy zasiąść w sali turkusowoniebieskiej, do której prowadzą osobne drzwi, przyparte teraz, przez których szybę widać, iż miejsce w łoży przy oknie jest wolne. Właściwie cały niewielki ten lokal jest pusty, za wyjątkiem pary obsługujących przy ladzie: kobiety, która przyjmuje i kasuje zamówienia oraz chłopaka, który kręci się wokół niej nerwowo, wstawiając teraz porcje ciasta do klimatyzowanej gabloty z wyraźnym kłopotem, jak ustawić talerzyki na małej powierzchni półki. Zamawiamy kawę i przechodzimy do drugiej sali, by zasiąść na podwyższeniu przy wychodzącym na rynek oknie. Ja siadam w rogu, rezerwując sobie lepszy widok przez okno, Wocie pozostaje miejsce naprzeciwko, tuż pod regałem z książkami, jednym z kilku tutaj, z którego półki zdejmuje zaraz jeden wolumin i zaczyna przeglądać. Stare to jest wydawnictwo, co najmniej kilkunastoletnie, jak wszystkie tutaj wystawione książki – niepotrzebne nikomu, wyrzucone z biblioteczek domowych i sprezentowane Galerii, literatura niepopularna, nieaktualna, w większości mało rozpoznawalna zarówno po tytułach, jak i autorach. Najlepsza. – *Skąd to Bóg prowadzi? – Ze świata, drogi panie, ze świata. – A dokądże tak, dokąd? – A w świat, drogi panie, w świat!*

– Jednak leciały na Kościuszki – Wota wraca do tematu wron.

Ja wyglądam za okno na przestrzeń rynkową, której centrum z tej perspektywy stanowi studnia. Wokół niej stoją, spacerują, śpieszą się gdzieś jarosławianie.

– Parę dni temu – zaczynam po dłuższej chwili – podsłuchałem na ulicy dwie kobiety. Wśród rozległych narzekań na wszystko, począwszy od krzywych chodników, nieremontowanych kamienic i tak dalej, znalazło się i takie, że psychiatryk już dawno zamienił się w izbę wytrzeźwień. Deficyt wariatów zmusza tę instytucję, niemal wizytówkę

miasta, do opieki nad zwykłymi awanturnikami-alkoholikami, których podrzuca im policja. Jedna z tych kobiet była pielęgniarką w szpitalu... Proszę kawę.

Od strony baru nadszedł właśnie chłopak, niosąc chwiejnie na tacy dwie filiżanki czarnej. Przyglądam się jego podłużnej nieco głowie z bardzo krótko ściętymi włosami, wśród których zauważam prześwitującą białą rysę skóry, widocznie bliznę po operacji. Chłopak mamrocze coś do siebie, z pewnym wysiłkiem ustawiając filiżanki na stoliku. Obserwuję jego drżącą rękę, kontynuując wątek, a właściwie nie mogąc już skupić się na tym, co chciałem powiedzieć.

– Myślę o tym, ponieważ jeśli wkrótce okaże się, że jedynym wariactwem jest alkoholizm... a wariactwo... Zauważ, że... Ale z drugiej strony...

Wota, po tym jak kelner ustawił już przed nim filiżankę, lekko rozchlapując czarny płyn na spodek, wbija w niego swoje ciemne oczy i, w ogóle mnie nie słuchając, wiedzie wzrokiem za chłopakiem, odprowadzając go aż do baru. Następnie zwraca się do mnie ściszonego głosem.

– Słyszałeś to?

– Słuchałem siebie.

– Nie słyszałeś tego? Co on tam mamrotał? Cud u jezuitów? Będzie cud u jezuitów?

– Cud u jezuitów? Cud?

– U jezuitów.

– U jezuitów? Cud u jezuitów? Chyba. Może. Nie wiem.

– Może... Nie wiem... Najprawdopodobniej – mruczy zrezygnowany i wraca do przeglądania swojej książeczki, popijając kawę.

Słońce, miodowy kołacz – wysoko na niebie letnim, a każdy promyk jak pszczoła gra tonem fletni... Wypijam dwa łyki swojej i znów wyglądam przez okno na Rynek. Ludzie – idą, stoją, rozmawiają, patrzą, gonią i uciekają. Człowiek ulicy – kosmiczna przepaść bez dna i płaska dekoracja w jednym.

– Nie wiem jak ty, ja się jednak będę upierał, że wariatem nie jestem. Nie mogę nim być... To jest po prostu nieprawdopodobne, żebym nim był. Mimo iż...

– O! A jednak? – ożywia się Wota na moją wątpliwość.

– Ta studnia działa na mnie jakoś tak... Zaglądałeś do niej kiedyś? – pytam.

– Oczywiście, że zaglądałem.

– Ja nie zaglądałem.

– Zagłównij. – Wota znów skupia się na książce, coraz bardziej mnie denerwując.

– Zaglądnij, sprawdź, przekonaj się, bądź tu, bądź tam... Ech, ta niekończąca się empiria, nawał rzeczy do zbadania, śmietnik doświadczeń do rozgrzebania...

Wota notuje mój wybuch z lekkim rozbawieniem, które jednak zaraz przechodzi w powagę.

– A ty czego chcesz? Czego się spodziewasz? Skąd ty się w ogóle wzięłeś?

Nie odpowiadam na głupie pytania. Jeszcze raz rzucam okiem na Rynek i wydaje mi się, że gdzieś wśród przechodniów zamajaczyła mi przez chwilę kwietna sukienka dziewczyny ze Sztyniaka.

– I co tam widać? – pytam o studnię, rozglądając się jednak w zaaferowaniu za tą, która najwyraźniej albo przepadła już gdzieś w tłumie, albo była tylko chwilowym złudzeniem. Na twarzy Woty pojawia się znużenie. Odkłada książkę i dopijając kawę, wyjaśnia:

– Zaświaty. Przepastne, ciemne zaświaty, które magistrat zamierza wkrótce wydobyć dla oka wszystkich mieszczan, a także wielu przyjezdnych, na których liczy. Nie słyszałeś, że planuje się tutaj przeszklenie płyty rynkowej, żeby każdy mógł sobie wygodnie spojrzeć w podbrzusze miasta?

Mdli mnie na te słowa. Wstaję z krzesła.

– Idziemy.

Wtedy wschodzący księżyc, zaciekawiony miotającymi się cieniami, począł się opuszczać na miasto. Uśmiechał się przy tym złośliwie i byłby całą wyprawę wydał przed czasem, gdyby...

Wychodzimy drugimi drzwiami, bezpośrednio na ganek kawiarni, omijając bar, a następnie wstępujemy na płytę Rynku i nie umawiając się wcześniej, milcząc przez cały czas, ruszamy w cichym porozumieniu na przełaj w stronę podcieni po przeciwległej stronie placu. Idziemy razem, lecz każdy już jakby w osobnym kierunku. Wota zapewne ma zamiar i wielką ochotę wstąpić do Trattorii na swoją codzienną lampkę czerwonego amarone costasera, w którym, jak twierdzi z lubością, wyczuwa zapach potu Dantego, przedzierającego się przez gęstwinę ciemnego lasu, ja – Wiszniewski – nie pragnę z kolei niczego innego, jak tylko zachłysnąć się szerokim widokiem krajobrazu, który roztacza się ze skarpy na Cygańskiej Górze – widokiem na opactwo na wzgórzu św. Mikołaja oraz dalej na dolinę Sanu. Przed wejściem na Kasztelańską kieruję wzrok w dół, w kierunku Plastyka, znad którego bramy wyrasta wieża Kolegiaty – dawnego kościoła jezuitów. To przypomina mi incydent z kawiarni i postanawiam rzecz zbadać osobiście, mam nadzieję, już bez towarzystwa Woty. Mijając podcienia, wchodzimy w Kasztelańską, zwolnioną od bolesnego

uścisku słońca i przyjemnie schłodzoną cieniem. U wylotu na Mały Rynek zauważamy sporą gromadę ludzi, głośno biesiadujących w ogródku piwnym przy Trattorii. Wota waha się przez chwilę, czy wejść do środka, czy zostać na zewnątrz, a stojąc tak w rozkroku, nie zauważa, jak z drzwi restauracji wysuwa się młoda kobieta, która, rozpoznawszy go z widocznym zadowoleniem, kładzie rękę na jego ramieniu.

– Idziemy do ogródka. Zamawiaj swoje wino i czekam na ciebie.

– Kopystyńska? Myślałem, że nie żyjesz!

– Chciałbyś. – Uśmiecha się słodko dziewczyna, odwracając głowę przez nagie, kościste ramię i znika wśród stolików ogródka. Wota zwraca się do mnie.

– Zdaje się, że jednak mam już dość na dzisiaj twojego ciężkiego, męskiego pierwiastka. Ostatecznie. Mam ochotę zanurzyć się teraz w oparach wina w towarzystwie tej lekkiej poświaty kobiecej... Jednym słowem – nie zapraszam cię.

Kłaniam mu się nisko.

– Dziękuję – mówię, po czym odprowadzam go wzrokiem w głąb osnutego mrokiem wejścia do lokalu.

Wbrew swoim pierwotnym zamiarom, porzucam pomysł podejścia do skarpy, mimo iż wciąż czuję przemożną potrzebę zażycia pewnej ilości przestrzeni otwartej i rozległej. Jednakże pali mnie już coś innego – owa obietnica cudu, który, o ile mamrotanie kelnera, w dodatku interpretowane jeszcze ignoranckim uchem Woty, miało jakiś sens, wydarzyć miało się w kolegiacie. Nie pozwalając sobie na zbytnią zwłokę, jedynie pobieżnie otaczam wzrokiem okolice, ową ciemną, zaniedbaną i w dużym stopniu zrujnowaną podszewkę reprezentacyjnego Rynku, z jednego końca, gdzie przez drzewa prześwituje kopuła cerkwi, do drugiego, gdzie nad szarymi budynkami Plastyka góruje wieża kolegiaty – i ruszam w dół Małego Rynku.

Wieża coraz bardziej znika z widoku, podczas gdy ja, zostawiając za sobą roześmiane i rozgaworzone towarzystwo ogródka piwnego, schodzę w stronę Jezuickiej, skręcam w lewo i jeszcze raz – w prawo, by wejść na plac kolegiacki, który wyłożoną kostką prowadzi mnie w stronę wystawionych na murze dwunastu kamiennych figur świętych jezuickich, obok drewnianego krzyża „Wierzę w Boga” i dalej ku drzwiom świątyni. Wchodzę do obszernej kruchty, gdzie spowija mnie chłód nasączony przyjemnym zapachem stęchlizny, którym się głęboko zaciągam. Nie przychodzę tutaj, czegokolwiek oczekując. Jeśli nic się nie wydarzy, nic się nie stanie. Nic się prawdopodobnie również nie stanie, nawet jeśli coś się wydarzy. Zresztą, co tak naprawdę musiałoby się wydarzyć, żeby stało się coś? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Mętna przepowiednia, podana mi z drugiej ręki, nie ma już żadnego znaczenia.

Wstępuję do środka kościoła być może tylko po to, jeśli już muszę uzasadnić ten czyn przed samym sobą, lub powiązać go jakoś z dotychczasowym przebiegiem dnia, aby zaznać świątynnego chłodu, świątynnej ciszy, uspokojenia.

Jest pusto i głucho, słyszę odgłos swoich kroków. Nie chcąc burzyć ciszy, wślizguję się zaraz do ławki i odruchowo klękam, ale zaraz podnoszę się do pozycji siedzącej. Ręką przesuwam po drewnie ławki, rozkoszując się jej chłodem i gładkością. Jednak nie jestem sam: w oddali, blisko czarno-złotego ołtarza, zdaje się, że w samej pierwszej ławce, po lewej stronie, majaczy jakaś czarna głowa. To czarna chustka na głowie nieruchomej, modlącej się starej kobiety. Kolorowo tu, a jakoś jednolicie, brąz przechodzi w żółć, żółć w jakiś błady róż, róż w złoto, złoto w czerń, ciemność w jasność. I całe to bogactwo dekoracji, które przede wszystkim ukrywa pustkę i przez to nie daje o sobie myśleć jako o nadmiarze. Więc jest tu wszystkiego właśnie tyle, ile powinno być. Przez otwarte boczne drzwi słychać trele ptaków. Nie przeszkadzają. Serce Jezusa, a pod nim stojący zegar wahadłowy – już po piątej.

Siedzę dłuższą chwilę prawie nieruchomo, patrzę, ale z czasem przestaję mieć ochotę cokolwiek widzieć. Widok czegokolwiek zaczyna przeszkadzać. Nie mogę na podłogę i nie mogę na malowidła, i nie mogę na krzyżowe sklepienia, i nie mogę na ołtarz, ani na jej nieruchomą głowę. Opuszczam wzrok na ławkę. Jaką katorgą jest wzrok. Im bardziej obraz wydaje się przyjmować jakąś formę, im bardziej staje się przez to zgodny z oczekiwaniami, tym bardziej forma ta rozdziera poszczególne jego elementy, jak gdyby w zemście za to, iż użyto jej bezprawnie – bezprawnie, bo egoistycznie, zadając gwałt temu, co jest, w imię tego, by łatwiej można było znieść siebie w czasie i przestrzeni. W jednej chwili zatem kolory zaczynają gryźć się ze sobą: brąz tworzy przeraźliwy zgrzyt z żółcią, żółć pochłania i unicestwia róż, złoto zalewa czerń, cień i światło przyduszają się nawzajem, wszelkie dekoracje odklejają się od gołych ścian jak strup od skóry, obnażając ranę. Wszystkiego jest nagle za dużo, za mało...

Trel zaalarmowanych czymś ptaków przemienia się w dziki jazgot, nie do zniesienia dla uszu. Po chwili – ruch gałęzi, szelest liści – ucieczka, dlaczego uciekają? Rozglądam się dookoła – zza drzew wyłania się jakaś niewielka polana, czy może bardziej – wyrwa w gęstwinie – tam coś się dzieje, coś się ma stać, tam trzeba iść. Idę, choć bardziej chcę stąd uciec, zostawić to, cokolwiek ma się wydarzyć – nie chcę nawet o tym myśleć. Jednak muszę, inaczej nie mogę, coraz bardziej podniecony i coraz bardziej przerażony, coraz bliżej. Podchodzę, starając się zachować ciszę, ostrożnie stawiając kroki, by nie dać się usłyszeć, kuląc się i trzymając blisko pni drzew, by nie dać się zobaczyć. Idę, muszę, nie chcę. Widzę coraz szerzej i coraz dokładniej to miejsce i jakąś czarną kotłownicę. Coraz bardziej boję się

zobaczyć to, co zobaczą i coraz bardziej chcę, i coraz bliżej. Przystaję i kucam, zakrywając dłonią oczy i rozkładając dwa środkowe palce, by móc widzieć dokładnie. Dokładnie tam, wśród czerni kępek traw i bijącej jasnością kory drzew, dokładnie to samo gęste stado wron rozszarpuje dokładnie tego samego pomarańczowego kanarka, którego pióra unoszą się nad ziemią w kłębach dymu. Zbyt dużo tych piór jak na tak małego ptaszka nasycą dym ceglastym kolorem, który gęstnieje i zasnuwa widok jak pył po zburzonej kamienicy. Wyteżam wzrok, ale nie widzę. Chcę podnieść się i podejść bliżej, ale pomarańczowa mgła opada coraz bardziej i odsłania coraz więcej. Coraz wyraźniej zaczynam widzieć, ale widok, który mi się teraz objawia, jest już inny. To jest zupełnie co innego, a jednak przecież prawie to samo. Ta sama energia, ten sam impet, ta sama zaciekłość, to samo dążenie do końca, natarczywy pęd ku spełnieniu. To Wota z opuszczonymi spodniami na dziewczynie w podwiniętej sukience w jakieś kwietne wzory – ich miłość namiętna – czuła i drapieżna. To oni ze sobą w Lesie Kidałowickim, w miłosnym zapamiętaniu, w sobie, tego lasu i całego świata zapomnieniu.

Zasłaniam oczy, nie chcę patrzeć. Potem odsłaniam – wyraźnie już ciemniej. I tamtej już nie ma tam, gdzie była. Kątem oka widzę, jak mija zegar i znika za filarem. Jej postać zupełnie czarna i bardzo mała. Wychodzę z ławki pośpiesznie, nie ma się nad czym zastanawiać, szybko doganiam zegar. Dziewiąta – czyżby rzeczywiście było już tak późno? Bez względu na wszystko, nie mam wyjścia, jak tylko oddać się jej do dyspozycji. Lecz trzeba się śpieszyć: mimo iż wygląda na bardzo starą i bardzo kruchą, jej krok żwawy, nie wolno jej zgubić. Wychodzę na zewnątrz przez boczne drzwi. Czarna kobieta zeszła już ze schodów na plac, skręciła w prawo i goni w górę, mijając świetlicę i bibliotekę parafialną. Zatrzymuję się, próbując trochę oprzytomnieć. Gdzie jestem? Skąd się tu wziąłem? Co się wydarzyło? Nie wiem, nie rozumiem, nie pamiętam. Ale nie będę tu stał, nie zostanę tu, pójdę za nią.

W wieczór już dość zaawansowany, ale gorący, bezwietrzny, pójdę za nią. Muszę, nie mam wyjścia. Farną w górę, obok Placu Sybiraków i potem w lewo na Spytka, gdzie u góry czarna wieża Ratusza, coraz bardziej zlewająca się z granatowym niebem, a z rynku odgłosy jakiejś muzyki, jakiejś imprezy i szum ludzki. Skręcę w prawo na Świętojańską, gdzie na górcie przyjrę się jej postaci, cały czas próbując nadgonić drogi. Miniaturowa, cała na czarno, z nogami wykrzywionymi artretyzmem, szybko jednak nimi przebiegająca, ze spuszczoną głową, do przodu. Jak gdyby było jej gdzieś bardzo śpieszno, jak gdyby było już trochę za późno, będzie goniła i mnie za sobą poganiała. Na Plac Bożnic, gdzie spod czerwonawych okruchów cegły widoczne jeszcze fundamenty zburzonej kamienicy. Obok starej synagogi,

przez Opolską, gdzie z nowym impetem odgłosy z rynku dobiegną mych uszu, a oczom ukaże się tłum ludzi zebranych wokół studni, czekających na to, co ma się wydarzyć. Lecz ja – za nią, przez parking, Węgierską, wąskim przesmykiem wzdłuż dawnych murów miasta w stronę Grodzkiej. Fosa i ruina tych murów po prawej stronie, wprost na 5-10-15, Oxide, Mohito i Santander Consumer Bank, zupełnie już rozbudzony, coraz bardziej ożywiony i z tym ożywieniem przez bramę miasta, jakbym z niego wychodził, zostawiając wszystko za sobą, przez pasy i na Grunwaldzką.

Dentime czas na twoje zęby, Sarafis zwrot VAT i Puma, wyprzedaż 50, 70, ubezpieczenia tanie OC AC pewne. Tam gdzieś apteka blisko i tanio, tu zaraz oświetlenie, zegarki, kantor i znicz solarny, do przodu, w zmierzchu, coraz szybciej. SNC Fujifilm Almed NFZ, buty, torebki, galeria zdrowia i nieruchomości, lecz nie ona, która coraz bardziej dynamiczna, coraz szybsza i coraz jakby mniejsza z każdym krokiem. Awangarda madrid berlin warsaw los angeles likwidacja Cotton Club Cotton Club, do przodu, za nią, nie oglądając się na nic. Złoto, srebro, skóry, porcelana, szkło, czując się lżej z każdym krokiem wokół street style, Libera, Dzierżyński, Huelle, plastyka dla dzieci, akcesoria dla niemowląt bobo rozmiary, dorabianie kluczy. Będę tak szedł, jakbym tracił na wadze za nią, jakby się kurczyła, naprzeciw nich, którzy jak jeden w przeciwną stronę – na Rynek, gdzie muzyka, ciepły wieczór, piwo, festyn, śmiech i gwar. Aparaty, profesjonalny, refundacja, wizyty domowe, ciśnieniomierze na raty. Mijając lombard, zdany tylko na siebie, wszystko za 2.99. Garnitury eologii gender kocham Polskę, dom do sprzedania.

Uwaga! Niepowtarzalna szansa na zdobycie zawodu operatora maszyn budowlanych i drogowych. I samochody będą nam przeciwne, tak jak oni na rynek w koncert, w hałas, lecz to my w stronę słońca, zanikającego coraz bardziej, zachodzącego, uciekającego nam, oddalając się tak, jak oni się oddalają. Wierzę w Syna Bożego, kebab, jeden jest tylko wasz mistrz Chrystus, przyjdź do Jezusa totalna wyprzedaż i Milano Pizza. Hibiskus yerba mate exclusive fashion staf za mor ple. Jola Piore Lama zegarmistrz, kolektory słoneczne w hołdzie Chrystusowi Królowi dla każdego i na każdą okazję. Państwowa Wyższa Adam & Eva ogłasza nabór Irys Credit Agricole karnisze, rolety, aranżacja, montaż. Dekoracje, elegancja, a nawet kancelaria, grawer, bielizna, kredyty i kredyty. Apteka, apteka, kredyty, kredyty, by wreszcie dojść do przecznicy Kraszewskiego, gdzie, w dół idąc, Sztyniak – dzień, kiedy wszystko jeszcze było otwarte. Podczas gdy teraz tylko ona, coraz mniejsza i ja, coraz lżejszy, w sandałach, które coraz luźniejsze na stopach, w skórze coraz luźniej rozkładającej się na mięśniach coraz bardziej wiotkich.

W Jana Pawła factory outlet do fortu XIII w Żurawicy, antykwariat, Galeria Jarosławska, męskie, damskie, Triumph Rossman i Altero. Społem i Muszynianka, krakersy, swojska, sosy Amino i Milka Bubbly w cenach. Zaraz przecznica z Sienkiewicza, którą w dół do Matejki. Lecz my pójdziemy prosto, coraz prościej, coraz równiej, coraz mniejsza, malejąca, coraz chudszy, odtłuszczony, odmięśniony, dalej i dalej, aż po horyzont, gdzie głębiej. T-Mobile Inter Risk tu kupisz i doładujesz oraz zespół adwokacki, perfekcyjna panna młoda czyli oszczędzanie przez dodawanie. Bank polski, Poczta Polska, biuro obrotu, bagatelka. Do Ciebie się uciekam, o Maryo Królowo, Życie Podkarpackie, prasa, chemia, papierosy, ośmiorniczka, ciasteczka, Jagusia. Długi, biały mur franciszkański. Sąd Rejonowy, parking dla interesantów, Starostwo Powiatowe, pasemka, ślubne, balejaż, trwała. Kumulacja oraz zakaz wprowadzenia psów plus podpis, który można złożyć o referendum w sprawie lasów. Pielgrzymka dziękczynna i superliga tenisa. Meble z ratanu i odzież damska w dworku naprzeciwko. Tu Panorama, Sokołów i szynka dębicka, tam Szarlotka, Aspirynka i Stare Kąty. Napoje, słodycze i przejście na drugą stronę i powiew wietrzyka, który gdzieś znad Pruchnickiej nanosi odór świńskiego mięsa z ubojni. Ciasteczka nadziewane wieprzowiną.

Kiosk usług pogrzebowych, za którym zniknie już zaledwie półmetrowa czarna postać, coraz bardziej ruchliwa, z każdym krokiem coraz bardziej chybota. Za nią skręć ja – skóra i kości ze strzępem białych spodenek i białej koszulki, w rozpadających się białych sandałach. W Cmentarną, gdzie kompleksowa obsługa, karawan z chłodnią, wieńce, wiazanki, znicze, kwiaty, w kraju i za granicą, po otrzymaniu zasiłku pogrzebowego, tanio, solidnie, czynne całodobowo. W jeszcze niezamkniętą bramę, w ostatniej chwili przed całkowitym zmrokiem, przed kaplicę na chwałę Trójcy Przenajświętszej i zbawienia dusz w czyścicu. Spod kaplicy tej czarna postać staruszki-dziecka skręci na lewo w stare grobowce, wśród których zagubi się dla mnie na zawsze.

Ja będę jednak szukał. Józef i Michalina Pretorius, Alfred i Helena Grudzińscy, Halina Dien z Siarów, Stanisława Kozłowska ze Szczekotów, Aniela Zakrzewska Winnik, proszą o modlitwę, Jezu ufam Tobie. Pretoriusowie, Ludwik Giżycki, Eugeniusz Kupczakiewicz, zmarły 1961, 1962, 1966, kombatant II wojny, emerytowany dyrektor Technikum Geodezyjnego, nauczycielka szkoły muzycznej. Kluczając między starymi grobowcami, będę jej szukał, lecz na próżno. Kluczając między mogiłami, będę sam coraz bardziej znikał. Tadeusz Tkacz, Karol Bartoszewski, Stasio Oźga, Aniela Wrzuszczak, Bronisława Szmigielska, Tadeusz Jamroz, Anna Jenke, Maria Ziemiańska, Eustachy de Jawor Sas Jaworski, zmarły 1901, 1941, 1945 1951, 1953, 1987, notaryusz, b. poseł do Rady Państwa i Sejmu Krajowego,

emerytowana urzędniczka Dyrekcji Ceł we Lwowie, kochająca Boga i Matkę Najświętszą, wierna Kościołowi i Polsce, proszą o Anioł Pański. Już bez ciuchów, bez skóry prawie.

Więc ją zostawię, zapomnę o niej i pójdę już sam, wśród tyłu. Józef Dubiel, Pulcheria Sikora, Eugeniusz Cyganik, Michał Jarosz, Leopold Kieferling, Józef Podgórski, Szymon Harländer, Julian Lupa, Dwulittowie, Stepkowie, Benderowie, Sołgowie, 1967, 1976, 1978, zastępca ordynatora Oddziału Chirurgicznego, odznaczona medalem za długoletnie pożycie małżeńskie, kombatant, żołnierz dwóch wojen światowych, starszy ogniomistrz, odszedł do Pana, Bóg jest miłością, pokój jego duszy. Sam, coraz bardziej bez siebie, coraz bardziej biały.

Józef Kowalski, mistrz ślusarski, 1967, Jan Domaradzki prosi o modlitwę, z Pomesów Maria Krach, Hryniuka Jan, mistrz stolarski, 1941, przeżywszy lat 52, prosi o Zdrowaś Mario. Panie okaż nam Twoje Najświętsze Oblicze, a będziemy zbawieni. Katarzyna Nowakowska, Zofia Młynarkiewicz, Nieznany Żołnierz poległ na polu chwały w 1939. Przyjm błaganie nasze, Filomena Bury, pokój ich duszy, Michał Ślipiec, po długich i ciężkich cierpieniach, długoletni dyrektor LO w Jarosławiu, zginął śmiercią tragiczną w dziewiątej wiosnie życia, Krasowscy, Argasińscy, Bugajscy, Gołębiowscy, Bądź woła Twoja, zasnął w Panu, daj nam życie wieczne. Emerytowany kierownik pociągów PKP, 1933, u drzwi Twoich stoję Panie, Rozalia Muzyczka, Franciszek Cichy, Talentowie, Paszkowscy, Romanowscy, Jarzębińscy i zostanie mi już tylko skrócić w prawo i otworzyć drewniane drzwiczki. Cały biały. Z powrotem w swojej kwaterze, w domu, Bogu Najlepszem Największemu, gdzie czeka na mnie ta, którą nazywają Białą Sonią, cała biała, jak ja. Puste już nasze czaszki, puste klatki piersiowe, puste miednice objają się o siebie ze stukiem...

Ale to jeszcze nie koniec.

rys. Paweł Chmielnicki



CZŁOWIEK TŁUMU

Edgar Allan Poe

Przekład: Bolestaw Leśmian

*Wielką jest klęską – niemożność
przebywania sam na sam ze sobą!*

La Bruyère.

Trafnie ktoś powiedział o jednej książce niemieckiej: *Es loest sich nicht lesen* – książka ta przeciwi się odczytaniu swej treści. Istnieją tajemnice, które przeciwią się wysłowieniu swej treści. Ludzie mrą po nocy w swych łóżach, kurczowo ściskając dłonie widmom, które ich spowiadają, i żałośnie wpatrując się im w oczy. Ludzie mrą z rozpaczą w sercu i z dławieniem w gardle wobec grozy tajemnic, które *nie chcą* podledz odsłonie.

Częstokroć, niestety, sumienia ludzkie obarcza brzemień zgrozy tak śmiertelnej, że jeno w mogile mogą się zbyć owego brzemienia. Dlatego też istota zbrodni pozostaje w ukryciu.

Niedawno, na schyłku jesiennego wieczoru siedziałem w sklepienym oknie kawiarni D. – w Londynie. Przez kilka miesięcy byłem chory, lecz w owej chwili już zdrowiałem i dzięki powrotowi sił czułem ów błogostan, który jest ścisłym przeciwieństwem nudy – ów błogostan, gdy instynkty duchowe nabierają przedziwnej wyrazistości, – gdy bielmo, brużdzące naszym wewnętrznym jasnowidzeniom, znika bez śladu, – ἀγλὺς ἢ πρὶν ἐπιῆεν, – gdy duch naelektryzowany tyleż przewyższa poziom swych codziennych zdolności, ile płomienny i naiwny umysł Leibniza wybiega ponad bezrozumną i zniewieściałą retorykę Gorgiasa. Sam oddech był już – rozkoszą, i czerpałem rzetelną uciechę z kilku owych źródeł, którym z pozorną słusnością przypisują zazwyczaj zdolność udręki. Każdy przedmiot budził we mnie pogodną, lecz pełną zapału ciekawość. Z cygarem w ustach, z dziennikiem na kolanach przez większość godzin popołudniowych oddawałem się mym rozrywkom, już to uważnie przeczytując ogłoszenia, już to przyglądając się różnorodnej na sali publiczności, już to obrzucając spojrzeniem ulicę poprzez zasnuęte dymem szyby.

Ulica ta była jedną z głównych arteryi miasta i przez dzień cały tłumno na niej bywało. Wszakże z nadejściem nocy tłum wzrastał co chwila, i, gdy wszystkie latarnie zapłonęły, dwa gęste i zwarte potoki ludzkie jęły przepływać mimo drzwi.

Nigdy nie doznawałem uczuć takich, jak w owej osobliwej godzinie zmierzchu, i wzburzony ocean głów ludzkich nappełnił mię rozkosznem, a zgoła nowem wzruszeniem. Po pewnym czasie nie zważałem bynajmniej na to, co się działo w hotelu, i oddałem się całkowicie oglądaniu scen ulicznych.

Postrzeżenia moje były na razie oderwane i ogólnikowe. Oglądałem przechodniów ryczałem i myśl moja ujmowała ich jeno w zbiorowej treści. Wkrótce wszakże dojrzałem do szczegółów i z drobiazgowością jąłem badać niezliczone odmiany twarzy, ubiorów, postawy, chodu, rysów i wyrazów.

Większość przechodniów miała ruchy stanowcze i zdawała się jeno dbać o torowanie sobie drogi po przez tłumy. Ci właśnie marszczyli brwi i szybko miotali ślepiami. Potrąceni przez sąsiada, nie zdradzali najmniejszych oznak znieczcierpliwienia, jeno, poprawiwszy ubrania, przynaglali kroku. Inni – nie mniej liczną stanowiący klasę – mieli ruchy niespokojne, twarze, krwią nabiegłe, – gadali sami do siebie z przydatkiem giestykulacyi, jak gdyby sam fakt znalezienia się wpośrodku niezliczonych tłumów, zmuszał ich do poczucia własnej samotności. Zatrzymani w swym pochodzie, zaprzestawali natychmiast mruczeń pod nosem, lecz za to zdawajali giestykulację, z roztargnionym i nadmiernym uśmiechem

wyczekując chwili, gdy osoby, które im stanęły na przeszkodzie, przeminą. Otrzymawszy szturchańca, stokrotnym ukłonem wdzięczyli się do odnośnego dawcy, jakby słaniając się pod brzemieniem zakłopotania.

Dwa owe liczne rodzaje przechodniów po za tem, co wyżej zaznaczyłem, nie miały żadnych znamion wybitnych. Ich ubrania należały do gatunku, który najzupełniej streszcza się w słowie: *przyzwoity*. Byli to bez wątpienia szlachcice, kupcy, doradcy pokątni, dostawcy, giełdjarze – dobrze urodzona lub podrzędna szarzyzna ludzka – ludzie bez zajęć, lub ludzie, pilnie zajęci sprawami osobistymi, które na własną prowadzili rękę. Nie obudzali też we mnie zbyt wielkiej ciekawości.

Rasa pośredników rzucała się w oczy, i wyróżniłem wśród nich dwa znamienne podrodzaje. Byli tam – drobni pośrednicy przedsiębiorstw, na *chybił-trafił* obliczonych – młodzi jegomości, w obcisłych ubraniach, w butach o lustrzanym połysku, z pomadą na włosach i z bezczelnością w pyskach.

Pomijając pewną niepochwytą wyrzutność ruchów, której możnaby, w braku trafniejszego określenia, przysporzyć nazwy *stylu bławatnego*, sposób zachowania się tych okazów zdawał mi się dokładnem odbiciem tego, co uchodziło za szczyt dobrego tonu dwanaście lub ośmnaście miesięcy temu. Karmili się łaskawymi ochłapami mieszczańskiej *grandezy*.

Co się tyczy pierwszorzędných pośredników poważnych domów handlowych lub *steady old fellows*, nie można było ich prześlepić. Zdradzał ich rodzaj surdutów oraz czarnych i brunatnych spodni wygodnego kroju, ponadto – krawaty i białe kamizelki, szerokie, krzepkie na oko buty, tęgie pończochy lub kamasze. Wszyscy byli posiadaczami zlekka lysawych łbów, zaś prawie ich uszy, dzięki przedawnionemu nałogowi dźwigania pióra, nabyły osobliwego odskoku na stronę. Zauważyłem, iż zawsze zdejmowali lub wdziewali kapelusze oburącz i nosili zegarki z krótkimi, złotymi łańcuchami krzepkiej i staroświeckiej roboty. Ich troską jedyną – było poczucie własnej godności, jeżeli tylko dano im było zdobyć się na tak czcigodną troskę.

Znalazło się też podstatkiem błyskotliwego pozoru osobników, których poznałem łącno, że należą do rodziny rzezimieszków *najpierwszego kalibru*, stanowiących plagę wielkich miast. Z niezmierną ciekawością przyglądałem się temu gatunkowi *modnisiów* i trudno mi było zrozumieć, jakim sposobem mogą ujść za gentlemen'ów w oczach samych gentlemen'ów. Przesadny rozmiar ich mankietów tudzież wyraz niewiarogodnej szczerości winny ich były zdradzić od pierwszego wejrzenia.

Zawodowych graczy – których wykryłem w ilości sporej – jeszcze łatwiej można było rozpoznać. Zażywali wszelkiego rodzaju ubiorów, poczynając od ubrania istnego z pod ciemnej gwiazdy *alfonsa* w aksamitnej kamizelce, z fantazyjnym krawatem, z dewizką z połączonej miedzi, z wyszukаныmi guzikami, a kończąc na szatach pobożnych, których prostota była tak ściśle zachowana, że nic chyba nie mogło mniejszych zbudzić podejrzeń. Wszyscy zaznaczali się smagłą i ogorzałą cerą, jakimś nieokreślonym a mglistym przyćmieniem oczu, oraz zaciskaniem i bledością warg. Istniały ponadto dwa inne rysy, po których zawsze mogłem ich rozpoznać: uciszony a oględny ton głosu w rozmowie i nadzwyczajna skłonność dużego palca do odskoku tak, iż tworzył z resztą palców – kąć prosty. Często w towarzystwie owych łotrzyków postrzegałem ludzi, którzy się nieco wyróżniali swymi zewnętrznymi cechami. Wszakże były to ptaszki z tegoż gniazda. Można o nich rzec: *gentlemani*, których kiesy podzwaniają – sprytem. W swym niszczycielskim do publiczności stosunku dzielą się na dwa – bataliony: ród dandysów i ród wojowników. Głównymi oznakami pierwszego – są długie włosy i uśmiechy, – zaś drugiego – długie surduty i mars na czole.

Porzucając szczeble tej dziedziny, która nosi nazwę *śmietanki towarzystwa*, trafiłem na bardziej mroczne i pospolite przedmioty do rozmyślań. Ujrzałem żydów – handlarzy z jastrzębiem, migotliwym okiem w twarzy, która swą resztą wyrażała jeno nikczemną pokorę. Ujrzałem zawodowych a zuchwałych żebraków, postraniających pięścią nędzarzy właściwych, których jedna tylko rozpacz rzuciła w mrok nocy gwoli błagania o litość. Ujrzałem inwalidów zgoła bezsilnych a podobnych do widm, na których śmierć położyła swą dłoń nieodpartą, a które kulawym i chwiejnym krokiem brnęły po przez tłumy, błagalnie zaglądając każdemu do twarzy, jakby w poszukiwaniu jakiejś pociechy przygodnej lub zagubionej nadziei. Ujrzałem skromne i młode dziewczęta, które po zapóźnionej pracy wracały do swych nor domowych i raczej ze łzami, niż z oburzeniem stroniły od napastliwego wzroku hultajów, nie mogąc nawet uniknąć bezpośredniego z nimi zetknięcia.

Ujrzałem wszelkiego wieku i rodzaju prostytutki, – bezwzględna piękność w pierwszym rozkwicie swej kobiecości, przywodząca na myśl opisany przez Lukjana posąg, którego powierzchnię zdobił marmur z Parosu, a wewnątrz – napelnia nieczystość, – trędowatą w łachmanach, wstrętną i do cna upadłą, – starą, pomarszczoną wiedźmę, pokrytą różem i bielidłem, obciążoną klejnotami, czyniącą ostatni ku odmłodzeniu swej postaci wysiłek, – istne dziecko o kształtach niedojrzałych, lecz już dotkniętych sprawnością dzięki długiemu zżyciu się z okropnymi zabiegami swego rzemiosła, – dziecko, pałające żarliwą chęcią dorównania grzechem swoim starszym współtowarzyszkom. Ujrzałem niezliczonych

i trudnych do opisanego opojów: jedni w łachmanach, chwiejni w kroku, z drzącą w stawach, z sińcami na twarzy i z mgłą w źrenicy, – drudzy w całych ubraniach, lecz brudni, nie zupełnie pewni swej własnej zawadyckości, z grubymi, zmysłowymi wargami, z czerwonymi i dobrodusznymi pyskami; – inni wreszcie – w ubraniu, które lepsze pamiętało czasy, a które i dziś jeszcze starannie było wyszczotkowane. Ludzie ci szli nienaturalnie krzepkim i sprężystym krokiem, lecz twarze ich były przerażająco blade, oczy straszliwie obłądne i przekrwione, i zamazyście stąpając wśród tłumu, czepiali się palcami wszelkich dostępnych ich dłoniom przedmiotów. A wreszcie ujrzałem – paszterników, posłańców, węglarzy, kominiarzy, kataryniarzy, pokazywaczy małą, handlarzy pieśniami – tych, co kupczą śpiewającymi, – obszarpanych rzemieślników i wszelkiego rodzaju wyczerpanych pracą robotników – i całą hałastę, krzykliwie i bezładnie ruchliwą, która raniła uszy – zgrzytem, a oczom udzielała wrażeń bolesnych.

W miarę, jak noc się wzmagała, wzmagał się stopień mej ciekawości, ponieważ nie tylko odmienił się ogólny pozór tłumu, (najszlachetniejsze jego cechy znikły wraz ze stopniowym usunięciem się stateczniejszej części ludności, zaś pierwiastki bardziej zwierzęce uwydatniły się z większą siłą w miarę, jak zapóźniona godzina nocy wywabiała z kryjówek wszelkie śmiecie społeczne) – lecz i płomienie gazu, wątle wówczas, gdy walczyły ze światłem mrącego dnia, rozpanoszyły się teraz i rzucały naokół blask rozmigotany i ruchliwy. Wszystko było czarne a olśniewające, jak ów heban, któremu przyrównano styl Tertuliana.

Cudaczność oświetleń skusiła mnie do przyglądania się twarzom ludzkim, a chociaż szybkość, z którą owa lawina zrzeszonych migotów przesuwała się za oknem, wzbraniała mi więcej nad jeden rzut oka dla każdej twarzy, zdawało mi się jednak, że dzięki osobliwemu stanowi ducha mogę częstokroć w tem krótkim okamgnieniu przeczytać dzieje długich lat.

Przyłgnąwszy czołem do szyby, badałem w ten sposób tłumi, gdy nagle zjawiła się wśród nich twarz, (posiadaczem jej był zgrzybiały starzec lat sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu) – twarz, która od pierwszego wejrzenia przykuła i całkowicie pochłonięła moją uwagę wskutek bezwzględnie swoistego działania swego wyrazu. Nigdy dotąd nie widziałem nic takiego, co by się dało przyrównać temu wyrazowi nawet w bardzo dalekim przybliżeniu. Przypominam sobie dobrze, iż na widok tej twarzy pomyślałem przede wszystkim, że Retzch, gdyby ją ujrzał, oddałby jej pierwszeństwo przed obliczami, w które próbował wcielić – szatana. Starając się w przeciągu krótkiej chwili, niezbędnej dla pierwszego rzutu oka, zdać sobie jakkolwiek sprawę z ogólnego wrażenia, które otrzymałem, – uczułem mętnie i paradoksalnie zrodzony we mnie wniosek o potężnej inteligencji, przezorności, sknerstwie, chciwości, zimnej krwi, złej woli, drapieźności, tryumfie,

rozpasanej ucieście, bezmiernem przerażeniu, oraz usilnej i najwyższej rozpacz. Jakieś wrażenie osobliwe zbudziło mię ze snu, ogarnęło, opętało. Co za dziwne dzieje – spytałem siebie samego – poryły tę oto pierś swemi zgłoskami? Zachciało mi się nieodparcie mieć starca wciąż na oku – zbadać go dokładniej. Wdziałem pośpiesznie palto, porwałem kapelusz i laskę, wybiegłem na ulicę i jąłem torować sobie drogę przez tłumy w kierunku, obranym przez starca a zauważonym przeze mnie. Starzec bowiem już zniknął mi z oczu. Z pewną trudnością zdołałem go wreszcie odnaleźć, zbliżyłem się doń i szedłem tuż obok, zachowując wszakże wielką ostrożność, aby nie ściągnąć na się jego uwagi. Mogłem teraz swobodnie przyglądać się jego postaci. Był niskiego wzrostu, wielce szczupły, wielce na pozór słaby. Ubranie miał brudne i podarte, lecz, ponieważ wkraczał chwilami w jarzący poblask lampionów, postrzegłem przeto, że mimo brudu ma bieliznę w dobrym gatunku, i, jeśli mię oczy nie myliły, w szparze kupionego zapewne z drugiej ręki płaszcz, w który się starannie owinał, postrzegłem wyblask dyamentu i sztyletu. Te postrzeżenia podnieciły nad wyraz moją ciekawość i postanowiłem towarzyszyć nieznanemu wszędzie, gdziekolwiek pójdzie.

Już zapadła noc głuca i ponad miastem stłoczyły się mgły wilgotne i gęste, które wkrótce spłynęły ciężką i trwałą ulewą. Ta zmiana pogody w sposób dziwny odbiła się na tłumie, który cały bez wyjątku zaroił się na nowo i zataił się pod gęstwą parasoli. Falowanie, ścisk i zgiełk wzmogły się dziesięciokrotnie. Co do mnie – nie wielem sobie z deszczu robił – we krwi mej tkwiła potajemnie przedawniona febra, dla której wilgoć była zakazaną rozkoszą. Przewiązałem usta chustką do nosa i czułem się niezgorzej. W przeciągu pół godziny starzec z trudem torował sobie drogę przez najludniejszą dzielnicę miasta. Szedłem mu niemal po piętach, w obawie stracenia go z oczu. Ponieważ nigdy nie odwracał głowy za siebie, nie zauważył przeto mej obecności.

Wkrótce skręcił w przecznicę, która mimo natłoku nie była tak przeludniona, jak owa główna ulica, którą przed chwilą opuścił. Tu zaszła zmiana widoczna w jego chodzie. Zwolnił kroku, zdradzając mniejszą, niż przed chwilą, stanowczość – większą zaś chwiejność. Często przechodził na tamtą stronę ulicy i wracał znowu – bez widomego celu. Tłum był tak gęsty, że musiałem każdy krok jego śledzić z pobliża. Była to wąska i długa ulica i spacer po niej trwał mniej więcej godzinę, w której ciągu tłum przechodniów uszczuplił się stopniowo do zakresu tej liczby, którą zazwyczaj można oglądać w Broadway, w pobliżu parku, około południa, – tak bowiem dalece sięga różnica pomiędzy tłumem Londynu a tłumem najludniejszego amerykańskiego miasta.

Na drugim zakręcie ulicy zboczyliśmy do rzęsiście oświetlonego i rojącego się od ludzi placu. Nieznajomy powrócił do pierwotnego *narowu*. Skłonił głowę na piersi, miotał

dziwnie oczyma z pod zmarszczonych brwi – po tłumie, który go otaczał. Przynagłał kroku stopniowo i bez przerwy. Zauważyłem wszakże ze zdziwieniem, że, okoliwszy plac, powrócił do miejsca, skąd wyszedł. Zdziwienie moje wzrosło na widok, że kilkakroć powtórzył tę samą przechadzkę. Pewnej chwili, odwróciwszy się nagle, o mało mię nie przyłapał na gorącym uczynku.

Powyższym ćwiczeniom poświęcił jeszcze godzinę, na której schyłku ścisk tłumu o wiele mniej nam przeszkadzał, niż początkowo. Deszcz padał rześisty, powietrze oziębło, i przechodnie śpieszyli do domu. Z giestem zniecierpliwienia błędny jegomość wkroczył w ulicę ciemną, względnie samotną. Przez całą, mniej więcej ćwierć milową długość tej ulicy biegł ze zwinnością, którejbym nigdy się nie spodziewał po takim starcu, – ze zwinnością taką, że zaledwo mogłem mu kroku dotrzymać. Po kilku minutach – wpadliśmy na obszerny i zgiełkliwy rynek. Nieznajomy był najwidoczniej doskonale świadom wszelkich zakątków i raz jeszcze postąpił po dawnemu, torując sobie drogę – bez celu – po przez tłumy kupujących i sprzedających.

Przez półtorej mniej więcej godziny naszego w tem miejscu krążenia, musiałem się zdobyć na wielką przytomność umysłu, aby nie stracić go z oczu bez ściągnięcia na się jego bacności. Na szczęście miałem na nogach gumowe kalosze i mogłem się poruszać bez najmniejszego hałasu. Nie zauważył nawet przez jedno oka mgnienie, że go śledzono. Wchodził kolejno do wszystkich kramów, nic nie kupował, i nic nie mówił, jeno dotykał wszystkich przedmiotów wzrokiem tęnym, obłądnym i pustym. Jego obecne zachowanie się zdziwiło mię nad wyraz i postanowiłem niezłomnie trwać przy nim dopóty, dopóki w jakikolwiek sposób nie zaspokoję swej ciekawości.

Godzina jedenasta wybiła na donośnie dzwoniącym zegarze i ludzie z wielkim pośpiechem jęli opróżniać rynek. Jakiś kramarz, zamykając okiennice, potracił łokciem o starca i w tej-że chwili postrzegłem, że gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Odskoczył w bok na ulicę, przez chwilę oglądał się z niepokojem wokół siebie i wreszcie z niewiarogodną szybkością przebiegł kilka pokrętnych i samotnych ulic, aż w końcu dotarliśmy znowu do wielkiej ulicy, skąd wyszliśmy uprzednio – do ulicy, przy której znajdowała się kawiarnia D. Wszakże ulica owa odmieniła swój pozór. Wciąż jeszcze jarzyła się od gazu, ale deszcz padał ulewny i jeno rzadkiego można było spotkać przechodnia. Nieznajomy zbladł. Z ponurym wyrazem twarzy uczynił kilka kroków wzdłuż alei, ongi tak ludnej, potem z głębokim westchnieniem skręcił ku rzece i, zaprzepaszczając się w labiryncie przejść ubocznych, stanął nakoniec przed jednym z głównych teatrów. Była to właśnie chwila, gdy teatr zamykano, i publiczność falami wypływała po przez drzwi.

Postrzegłem, że starzec rozwarł usta, jakby ku westchnieniu, i zmieszał się z tłumem, lecz wydało mi się, iż głęboka trwoga w jego twarzy uciszyła się cokolwiek. Głowa znów mu opadła na piersi. Był to ten sam starzec, którego ujrzałem po raz pierwszy. Zauważyłem, iż posuwa się w kierunku większości tłumu, lecz koniec końcem nie mogłem zgoła zrozumieć jego uporczywych praktyk.

Podczas, gdy szedł, – tłum się przerzedzał. Wróciły doń – niepokój i dawna niepewność. Przez czas pewien trzymał się w pobliżu gromadki jakichś dziesięciu czy dwunastu krzykaczy. Powoli i kolejno liczba ich uszczupliła się i spadła do trzech osób, które pozostały razem w uliczce wąskiej, ciemnej i mało ludnej.

Nieznajomy przystanął i przez chwilę zdawał się gubić w namysłach, potem – z niezwykłym ożywieniem podybał szybko przez ulicę, która nas wyprowadziła na krańce miasta, do dzielnicy zgoła odmiennej od tych, które zwiedzaliśmy dotychczas. Była to najniezdrowsza dzielnica Londynu, gdzie wszystko miało na sobie pieczęć najopłakańszej nędzy i nieuleczalnej występności. W przypadkowym świetle mrocznej latarni widniały domostwa drewniane, wysokie, zgrzybiałe, robaczywe, grożące upadkiem, – a w tak zawiłym i dziwacznym bezładzie, że zalewo¹ można było wśród nich wypatrzyć coś w rodzaju przejścia. Bruk sterczał w dowolnym rozpierzchnięciu, wyważony ze swych nor zwycięskim chwastem. Przerażliwe nieczystości butwiały w zatamowanych rynsztokach. Wszakże w miarę naszego zbliżania się – odgłosy życia ludzkiego budziły się wyraźnie i stopniowo, aż wreszcie, mając tu i tam, ukazały się rojne mrowia ludzkie, złożone z najnikczemniejszych wyrzutków Londynu.

Starzec znowu poczuł w sobie jakieś podrygi życia, jak lampa przed zagaśnięciem. Raz jeszcze pomknął przed się krokiem sprężystym. Nagle skręciliśmy za węgiew, – nawprost nas zapłonęło rześiste światło i stanęliśmy przed jednym z olbrzymich, zamiejskich przybytków Niewstrzeźliwości – przed pałacem demonicznego Alkoholu.

Stało się to niemal o brzasku, lecz zgraja nikczemnych opojów roiała się jeszcze po tej i po tamtej stronie uroczystych drzwi. Niemał z okrzykiem radości starzec przecisnął się między tłumy, przybrał pierwotny na twarzy wyraz i jął zamasyście kroczyć w obrębie tłumu, we wszelkich kierunkach, bez widomego celu. Wszakże nie wiele czasu upłynęło, od chwili gdy oddawał się owym ćwiczeniom, a już nagły i gwałtowny tłok u drzwi oznajmił, że gospodarz zamierza je zamknąć z powodu późnej godziny. To, com podpatrzył w twarzy tej

1 Błąd w druku; powinno być – *zaledwo*.

osobliwej a tak uparcie przeze mnie badanej istoty, było w swem natężeniu czemś więcej, niżeli rozpaczą.

Atoli starzec nie zawahał się w swym biegu, lecz z obłądnym wysiłkiem wrócił po własnych śladach do serca potężnego Londynu. Biegł szybko i długo, i biegłem wśród za nim nieustannie, postanowiwszy nie zaniechać swych badań, dla których zapal doznany pochłaniał mię całkowicie. Podczas naszego biegu, słońce ukazało się na niebie i, gdyśmy raz jeszcze dotarli do kupieckiej dzielnicy ludnego miasta, a mianowicie do ulicy, gdzie stał hotel D., – ten ostatni miał pozór życia i ulicznego ruchu, dorównujący niemal temu, który oglądałem poprzedniego wieczoru. I tam – wśród wzrastającego wciąż natłoku, długo jeszcze trwałem w mej pogoni za nieznajomym. Lecz ów swym zwyczajem chodził tam i z powrotem i przez dzień cały nie wysuwał się po za kres wrzenia tej ulicy. I, gdy zbliżyły się zmierzchy drugiego z kolei wieczoru, uczułem znużenie śmiertelne i, przystanąwszy nawprost błędnego starca, spojrzałem mu w oczy nieustraszenie.

Nie zwrócił na mnie uwagi, jeno ponownie rozpoczął swe marsze uroczyste podczas, gdy, zaniechawszy swej pogoni, przystanąłem, pogrążony w zadumie.

– Ten starzec – rzekłem wreszcie do siebie – jest symbolem i geniuszem straszliwej zbrodni. Unika przebywania sam na sam ze sobą. *To – człowiek tłumu*. Pogoń za nim jest nadaremna, gdyż nie zdobędę żadnej innej wiedzy o nim, ani o jego czynach. Najgorsze na świecie serce jest księgą bardziej odpychającą, niż *Hortulus animae*² i, być może, jest to jedna z wielkich łask Bożych, iż *es loesst sich nicht lesen* – że księga owa przeciwi się odczytaniu swej treści.

2 Hortulus animae, cum oratinnuculis aliquibus superadditis. Grünningera.

Urodziny Mistrza

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

Różnymi drogami człowiek poznaje literaturę. Różnymi sposobami dostępuje możliwości pierwszego czytania jakiejś książki. Zainteresuje go okładka, usłyszy o dobrej powieści, przeczyta recenzję, skusi się na zakup w ciemno... Mnie Mistrz King został podarowany intelektualnie przez mojego własnego Mistrza, któremu zawdzięczam także inne literackie pierwsze razy – jak chociażby Mastertona, Kunderę czy Gardnera. I „strach się bać”, co by było, gdyby nie dał mi do przeczytania *Smętarza dla zwierząt*, *Miasteczka Salem*, *Lśnienia*... Wymieniam te trzy tytuły, bo one (no i oczywiście *It*) ukształtowały mój zachwyt Kingiem, pozwoliły poznać jego pisarski kunszt, jego fenomenalną zdolność opowiadania...

I choć najnowszy King – *jak zachwyca, kiedy mnie nie zachwyca?*, mówiąc Słowackim, to miłość do autora *Misery*, wystawiana ostatnimi czasy (a konkretnie ostatnimi książkami autora) na próbę, trwa i trwać będzie. Właśnie ze względu na arcydzieła, które spod jego pióra wyszły. I ten artykuł jest ukłonem dla Mistrza w jego urodziny, nie bałwochwalczy, ale pełnym uznania.

Zaznaczam od razu, jeśli kogoś poufny ton wstępu by zmylił – nie będzie to jednak wspomnienie lekturowej inicjacji Kinga z rozpisywaniem się, jak na przykład szłam z nosem w książkę, odebrawszy ją dopiero co zamówioną z księgarni i pochłaniając w drodze każde słowo (inna to była zresztą książka, innego autora, mój Mistrz wie, o kogo chodzi, a reszcie zostawiam to w ramach niewiadomej). Nie będzie więcej wycieczek osobistych w tym tekście. Nie będę też przedstawiała szczegółowego życiorysu autora *Christine* – zainteresowanych odsyłam do źródeł biograficznych (książkowych, internetowych) – jest tego ilość wręcz zatrważająca. Nie oznacza to, że o pewnych datach z życia Mistrza Kinga nie wspomnę, lecz postaram się zrobić to oszczędnie. Mój artykuł będzie próbą zasygnalizowania tego, co w pisarstwie Kinga moim skromnym zdaniem jest mistrzowskie. Zaznaczam od razu, że jest to rozpoznanie subiektywne i z racji konieczności liczenia się ze słowem (także w magazynie internetowym) – mocno selektywne.

O urodzonym 21 września 1947 roku w Portland amerykańskim twórcy literatury mówi się i pisze jako o najpoczytniejszym i najbogatszym pisarzu (lub jednym

z najpoczytniejszych i najbogatszych); twórcy bestsellerów, o których sfilmowanie biją się wytwórnice. Podkreśla się jego charyzmę, nazywa artystą i rzemieślnikiem (warto wspomnieć tu *Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika*, w którym konfesyjnie pisze on o swoim pisarskim warsztacie czy *Danse macabre*, gdzie m.in. daje popis znajomości literatury grozy). Krążą o nim legendy, łączy się jego biografię z wątkami jego książek, bada się zależności pomiędzy poszczególnymi jego tekstami, odwołania do wcześniejszych jego utworów (tu najczęściej nie prowadzi do *Lśnienia*), wspólne miejsca akcji (często przywoływane miasteczko Castle Rock); szuka się intertekstualnych smaczków, które pisarz umieszcza w utworach – a tych ostatnich lista jest imponująca. Dlatego należałoby dodać – jeden z najpłodniejszych pisarsko autorów – od czasu uznawanej za debiut *Carrie* z 1974 roku (po prawdzie King pisał już wtedy od dwudziestu lat, a wspomniana powieść była jego nie pierwszą, a piątą wydaną, zresztą debiutował pod koniec lat sześćdziesiątych opowiadaniem w „Startling Mystery Stories”) liczba jego utworów – drastycznie (to chyba odpowiednie słowo) wzrosła.

Uważany za ojca horroru (choć w wywiadach mawia, że nigdy nie myślał o sobie jako autorze horrorów) i grozy (choć jego twórczość to także literatura faktu), za głównego przedstawiciela tzw. literatury popularnej, jest nie tylko pisarzem uprawiającym horror i grozę w praktyce, ale także świetnym teoretykiem gatunku. Istotę uprawianej literatury zawarł we wstępie do jednej ze swoich powieści. Autor *Martwej strefy* zwraca uwagę na cel opowieści grozy – w jego ujęciu (a uznaję je za bliskie istocie rzeczy) – gatunek ten stara się wyrażać niewyraźne – jak pisał w Przedmowie do *Nocnej zmiany*: (...) *opowieści horror stanowią punkt łączący świadomość z podświadomością, stanowią miejsce, w którym wyobraźnia i alegoria stapiają się w najbardziej naturalny sposób i wywierają największe wrażenie.* (NZ, s. 20) King podkreśla swoistość literatury grozy jako tej, która zawiera w sobie elementy świata racjonalnego i wyobraźniowego, która posługuje się znakami, aby odkryć tajemnicę rzeczywistości: *Każdy utwór z gatunku horror jest utworem alegorycznym; czasami alegoryczność jest zamierzona, (...) a czasami po prostu jest...* (NZ, s. 20)

Pomijając kwestie sporne w definicji alegorii, warto zauważyć jedną kwestię – literatura grozy jest próbą opisanego nie wprost otaczającego człowieka świata. Jest to takie przedstawienie rzeczywistości, które poddaje się interpretacji; jest wieloznaczne. I takie są najlepsze książki Kinga – niedające się odczytać w jeden sposób, mimo kwalifikowania ich jako horror, wykraczające poza tę przynależność. Można je czytać jako przerażające opowiadania, można widzieć w nich dostrzec drugie dno, w którym odbijają się nie tylko ostrza wampirycznych kłów, ostrych narzędzi czy blask płomieni lub ślady krwi, lecz to, co ze sobą semantycznie niosą te i inne rekwizyty literatury grozy. Takie patrzenie pozwala odczytać

jego książki jako opowieści o człowieku, o jego lękach, namiętnościach, samotności...

W centrum zainteresowania autora, który pisał także pod pseudonimem Richard Bachman, stoi bowiem człowiek, jego relacje z rzeczywistością, jego spotkanie z innym (zewnętrznym lub immanentnym wobec niego), kontakt z nieznanym – zwykle destrukcyjnym dla człowieka. Temu humanistycznemu zacięciu towarzyszy bardzo baczny namysł nad emocjami, pragnieniami, dobrem, złem, mechanizmami ludzkich strachów, potwornością różnego rodzaju. Przy czym pisarz nie moralizuje, nie poucza, on opowiada... a to wychodzi mu po mistrzowsku.

King opowiada obrazami. Jego proza jest gęsta, pełna opisów (niezwykle nieraz rozbudowanych, to cecha charakterystyczna dzieł autora *Czterech pór roku* – zwielokrotnienie przedstawianego obiektu, które mimo to nie zawiera zbędnych powtórzeń, jest maksymalnie wypełnione informacjami na jego temat), wyrazistych kreacji bohaterów i miejsc. To świat niezwykle plastyczny, wielowymiarowy – budowany bardzo kunsztownie, co wpływa na zawieszenie niewiary czytelnika, na jego zaangażowanie w tekst.

Zaletą omawianych utworów jest dbałość o szczegóły – niemal z kronikarską skrupulatnością autor *Bezsenności* opisuje osoby, miejsca, detale z nimi związane – i tak na przykład po odnotowanej niezbyt pochlebnej myśli Jacka Torrance'a o przyszłym pracodawcy, otwierającej *Lśnienie*, pojawia się opis następujący:

Ullman mierzył pięć stóp i pięć cali, a poruszał się z pełnym zaafierowania pośpiechem, który zdaje się wyłączną cechą wszystkich niskich i korpulentnych mężczyzn. Przedziałek miał prościutki, ciemne branie dyskretne, lecz budzące zaufanie. Jestem kimś, do kogo można się zwracać w kłopotliwych sprawach – mówiło to ubranie do klienta. Do pracownika przemawiało zwięźle: to należy zrobić dobrze, pamiętaj. Stuart Ullman nosił w butonierce czerwony goździk, zapewne w tym celu, aby żaden przechodzień nie wziął go za miejscowego przedsiębiorcę pogrzebowego. (L, s. 9)

W późniejszym opisie Watsona oprowadzającego Jacka po Panoramie czytamy, że: *Był muskularnym mężczyzną o puszystych włosach koloru prażonej kukurydzy, ubranym w białą koszulę i ciemnozielone spodnie z bawełnianego diagonalu. (L, s. 19)*

King przygląda się rzeczywistości i odtwarza ją na kartach swoich utworów tak intensywnie, że przedstawione postacie są niemal namacalne. *Miasteczko Salem* otwiera opis, który „ustawia” całą fabułę książki:

Niemal wszyscy sądzili, że mężczyzna i chłopiec – to ojciec i syn. (...) Chłopiec mówił bardzo niewiele. Jego twarz była zawsze skupiona, a ciemne oczy zdawały się bezustannie wpatrywać w jakiś ponury, widoczny dla niego horyzont. W restauracjach i na stacjach

benzynowych, przy których zatrzymywali się po drodze, był po prostu uprzejmy i nic więcej. Najwyraźniej starał się nie tracić z pola widzenia wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, a kiedy ten musiał opuścić go na chwilę, żeby skorzystać z łazienki, chłopca natychmiast zaczynał ogarniać niepokój. (MS, s. 9-10)

W tym krótkim zarysie postaci autor *Podpalaczki* zawiera to, co sprawia, że czytelnik otwiera książkę i nie może przestać czytać – jest niewiadoma, jest tajemnica, jest coś – w przypadku przywoływanego fragmentu, to coś kryje się w przeszłości branych za rodzica i dziecko osób. King umiejętnie budzi i podsycia ciekawość. Te zamierzone niedopowiedzenia odkrywane są u niego w miarę prowadzonej fabuły, fakt zasygnalizowany w jednym miejscu, w późniejszym zostaje uwypuklony, staje się kluczowym elementem rozwinięcia czy rozwiązania akcji. Pisarz stopniowanie zaciekawienia osiąga poprzez mające charakter przedstawieniowy i retardacyjny opisy świata przedstawionego – podobnie jak w przypadku kreowania postaci są one bardzo plastyczne, szczegółowe – tak jest np. w opisach pogody czy miejsc, w których są lub do których trafiają bohaterowie. I wszystkie te elementy mają znaczenie – jak chociażby śnieg odcinający Jacka i jego rodzinę w *Lśnienu*, odbierający im, cytując: *zdolność podejmowania decyzji* (L, s. 171). Opis, który przy swoim rozbudowaniu i skupieniu na jednym – padającym śniegu, jest interesujący i wzmacnia wyczuwalne napięcie, że coś nadchodzi.

Podobną rolę odgrywają, choć trochę na innej zasadzie (jako znaków rzeczywistości znanej człowiekowi, zwyczajowej) opisy pory roku czy dnia i tytułowej przestrzeni w *Miasteczku Salem*. W przywołanej powieści pojawia się wizja miasteczka jako ostoji zwyczajności:

Miasteczko budzi się wcześniej, bo takie są prawa codzienności. Ruch zaczyna się wtedy, gdy krawędź słonecznej tarczy leży jeszcze głęboko za horyzontem, a ziemię spowija głęboka ciemność. (MS, s. 48)

Z jednej strony przywoływane przez niego obrazy są znakami rzeczywistości znanej człowiekowi, z drugiej stanowią opozycję do tego, co w ten uporządkowany świat wkracza. Dotychczas miasteczko było enklawą bezpieczeństwa:

Niemal wszystko, co mieszkańcy Salem wiedzieli na temat wojen, katastrof i kryzysów gabinetowych, pochodziło z telewizyjnych programów... – autor wymienia drobne społeczne, miejscowe niepokoje, by dodać – Nie licząc tych spraw, wiedza mieszkańców na temat gnębiących świat wstrząsów była czysto akademicka. Tutaj czas biegł zupełnie innym rytmem. W takim miłym, małym miasteczku nie mogło wydarzyć się nic nieprzyjemnego. Wszędzie, ale nie tutaj. (MS, s. 34-35)

Ale coś się zmienia... – pisarz często w swoich utworach korzysta z opozycji tego, co jest, i tego, co staje się, będzie – zwykle spokój i bezpieczeństwo (nawet jeśli trwało od niepamiętnych czasów) jest tylko pozorem. Niebezpieczeństwo czai się, czeka na swój moment (zjawiskowo zostaje to przedstawione w *It*). Może się pojawiać stopniowo lub objawić nagle, zwykle zapowiadają je drobne znaki – te wręcz niezauważalne sygnały „innego” King dawkuje – niby wszystko jest tak samo, a jednak coś się zmieniło. I tak na przykład mamy opis nadchodzenia jesieni w Salem i przechodzenia dnia w noc, świadczące o cykliczności, powtarzalności zjawisk – o ich zwyczajności:

Jesienią w Salem noc zapada w następujący sposób: najpierw słońce przestaje promieniować ciepłem, powietrze staje się chłodniejsze, przypominając o tym, że już wkrótce nadejdzie długa, mroźna zima. Na niebie pojawiają się rzadkie obłoki, a cienie wydłużają się, tracąc wyraźnie na gęstości, bo nie ma liści na drzewach ani opasłych chmur na niebie, które mogłyby nadać im solidniejszą konsystencję. Są to ponure, wstrętne cienie, wgryzające się w ziemię niczym zęby. (MS, s. 334)

Takich pejzażowych opisów jest w omawianej prozie sporo, budują one nastrój, są też tłem do wydarzeń. Ale bywają czymś więcej. Na przykład obraz końca dnia w kolejnym fragmencie przywoływanej powieści jest preludium do tego, co się stanie, ta spokojna wizja ujawnia zmianę – uaktywnienie się czegoś groźnego:

Dzień zatrzymał się z drżeniem na krawędzi swojego istnienia. Spowite ciemnością domy spały spokojnie. W centrum palące się w sklepie z narzędziami, Domu Pogrzebowego i Excellent Café światła rzucały na chodniki migotliwy blask. W niektórych domach także paliło się światło. (...) Jednak zdecydowana większość mieszkańców Jerusalem spała snem sprawiedliwych i spracowanych ludzi.

Przy bramie cmentarza położonego na Wzgórzu Spokoju stała samotna, przygarbiona postać, czekając, aż nadejdzie jej czas. Kiedy to nastąpiło, odezwała się cichym, kulturalnym głosem. (...) Głos umilkł. Zerwał się łagodny wiatr, przynosząc ze sobą cichy szept liści i traw i odór zgnilizny z wysypiska przy drodze.

Poza tym panowała cisza. Postać stała przez chwilę bez ruchu, po czym wyprostowała się i wyciągnęła przed siebie ramiona, na których spoczywało nieruchome ciało małego chłopca. (...) Nie było już nic oprócz ciszy. (MS, s. 84)

King za pomocą jednego obrazu burzy całą dotychczasową rzeczywistość – to nie żadna scenka rodzajowa, to wkroczenie czegoś „innego” w ludzki świat. Często pisarz korzysta też nie z wprowadzania nowego elementu, ale wykorzystuje zależności pomiędzy przedstawionymi już składnikami, by ukazać metamorfozę tego, co człowiekowi było znane.

Modelowym i jakże udanym przykładem tego zabiegu jest scena z *Lśnienia*, gdy Jack:

Właśnie wtedy usłyszał za plecami ten odgłos. Obrócił się szybko, zły, speszony, ciekawy, czy ktoś widział te jego wyglupy w królestwie dzieciaków. Przebiegł wzrokiem po zjeżdżalniach, po huśtawkach stojących i wiszących, na których bujał się tylko wiatr. I popatrzył dalej, na furtkę i niski płotek oddzielający plac zabaw od trawnika i zwierząt – lwów skupionych opiekuńczo wzdłuż ścieżki, królika pochylonego, jakby zamierzał skubać trawę, bawołu gotowego zaatakować, psa sprężonego do skoku. (...) Nic się właściwie nie zmieniło. Więc dlaczego zaczęła mu cierpnąć skóra na twarzy i rękach, dlaczego zaczęły się jeżyć włosy na karku, jakby nagle mięśnie się tam napięły? Znow zerknął na hotel, ale to niczego nie wyjaśniło. Panorama stała sobie z ciemnymi oknami i cienką smużką dymu wijącą się z komina, bo przed wyjściem przytłumił ogień w holu. (L, s. 168-169)

Dźwięk, widok czegoś/kogoś, coś, co człowiek rejestruje lub tłumaczy sobie, że wydaje mu się, że odbiera; sprawia, że świat człowieka ulega zmianie, rozpada się, przestają obowiązywać dotychczasowe prawa i racjonalne podejście nie tłumaczy niczego. Rzeczywistość przekracza ludzki wymiar – lub inaczej – w tę sferę wkracza coś, co ją modyfikuje – definitywnie. Proces ten może mieć wektor odwrotny – jak w *Lśnieniu* – człowiek wstępuje w świat Panoramy, podlega jej wpływom. To miejsce, które wywołuje pragnienie, zmienia – to też charakterystyczne w twórczości Kinga przekonanie o sile miejsc, szczególnie tych złych. Miejsca żyją własnym życiem, człowiek jest jedynie gościem, jak w hotelu, lecz właśnie czynnik ludzki jest koniecznym ogniwem aktywizującym przestrzeń, budzącym zło:

Jack stał w jadalni pod drzwiami barowymi prowadzącymi do salonu Colorado i nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Uśmiechał się blado.

Wokół niego Panorama zaczynała pulsować życiem. (...) Nie były to wrażenia wzrokowe ani słuchowe, lecz coś bardzo do nich zbliżonego, ukrytego przed zmysłami wzroku i słuchu za najcieńszą postrzeżeniową zasłonką. Zupełnie jakby inna Panorama stała o parę zaledwie cali za tą, oderwaną od świata rzeczywistego (jeśli istnieje coś takiego, jak „świat rzeczywisty”, pomyślał Jack), lecz stopniowo przekształcająca się w jej przeciwwagę. Przypominało mu to filmy trójwymiarowe oglądane w dzieciństwie. Jeśli patrzyłeś na ekran bez specjalnych okularów, widziałeś obraz podwójny – coś podobnego czuł w tej chwili. Ale kiedy je włożyłeś, nabierało to sensu.

Wszystkie ery hotelowe połączyły się teraz, wszystkie prócz obecnej, ery Torrance'ów. I ona jednak już wkrótce się z nimi połączy. To dobrze. To bardzo dobrze. (L, s. 271-273)

Pisarz ukazuje mechanizmy wpływu, zależności pomiędzy rzeczywistością otaczającą

bohaterów a nimi samymi – są one sugestywne właśnie ze względu na obrazy, którymi się posługuje. W ich kreowaniu kluczową rolę odgrywa człowiek. Może on zмагаć się z przytłaczającym go terytorium, może zostać poddany miejscu – jak w przypadku Jacka, którego opanowuje hotel. Co istotne, oprócz ukazania procesualnego charakteru tego zjawiska, autor posługuje się także sugestywnymi opisami, skupiając się przede wszystkim na stanie bohatera, jak na przykład wtedy, gdy wspomniany bohater wychodzi z pokoju 217:

Ale poprzez chaos bezładnych myśli, poprzez walenie serca przebijał cichy odgłos daremnego obracania gałki u drzwi, podczas gdy coś, co było zamknięte w środku, nieporadnie usiłowało się wydostać, coś, co chciało zawrzeć z nim znajomość, coś, co pragnęłoby zostać przedstawione jego rodzinie. Jednocześnie wichur zawodził dokoła, a jasne światło dnia ustępowało czarnej nocy. Jack by zwariował, gdyby otworzył oczy i zobaczył, że ta gałka się porusza. Więc zaciskał powieki, aż po nie wiedzieć jak długiej chwili zapanowała cisza. (L, s. 205)

King eksponuje w swoich utworach człowieka – jego emocje (warto wspomnieć *Smętarz dla zwierząt* stanowiący kwintesencję ludzkiego statusu – istoty rozdartej, pragnącej, kochającej, rozpaczającej), jego chwile słabości, rzadkie chwile szczęścia, częstsze momenty lęku; wreszcie jego odczuwanie innego, jego spotkanie z niewiadomym – bohaterowie jego powieści są podatni na ową odmiennność, jak Jack, który zostanie przez nią zawładnięty, jak jego syn, który będzie z nią walczył. W cytowanym dziele jest bardzo oddany fragment, który traktuje o wpływie potwornego terytorium Panoramy i jego odczuwaniu przez chłopca:

Teraz Danny uszy miał otwarte i znowu je słyszał, to zgromadzenie, upiory czy duchy, a może sam hotel, przerażający gabinet osobliwości, gdzie wszystkie pokazy kończyły się śmiercią, gdzie wszystkie specjalnie malowane potwory żyły naprawdę, gdzie żywopłoty spacerowały, a po przekręceniu małego srebrnego kluczyka rozpoczynał się sprośny występ. Słyszał ciche zawodzenie i szelest jakby bez ustanku igrającego nocą pod okapami zimowego wiatru, wiatru powodującego otępienie, nigdy niesłyszanego przez turystów w lecie. Ten sen przypominał senne brzęczenie os, które latem budzą się w ziemnym gnieździe, ospałe i groźne. Mają dziesięć tysięcy stóp wysokości. (...) Był to żywy dźwięk, ale nie głosy, nie oddech. Człowiek nastawiony filozoficznie mógłby go nazwać dźwiękiem dusz. Babcia Dicka Halloranna, dorastająca na drogach Południa w latach poprzedzających przełom stulecia, nazwałaby go wyciem upiorów. Psycholog mógłby wymyślić długą nazwę – echo psychiczne, psychokineza, zabawa telesmiczna. Ale dla Danny'ego był to jedynie głos hotelu, starego potwora skrzypiącego wciąż dokoła nich, w coraz mniejszej odległości: korytarzy cofających się teraz w czasie i przestrzeni, wygłodniałych cieni, ożywionych gości, którzy nie bardzo

potrafią spocząć. (L, s. 261)

Fenomen Kinga to dążenie poprzez obrazy (fabuła bywa nieraz drugorzędna) do intensyfikacji przedstawianych zjawisk – eskaluje on przeżycia, odczucia bohaterów, którzy stają twarzą w twarz z lękami (różnego zresztą rodzaju):

Ciemność i korytarze. Wędrował w ciemności korytarzami podobnymi do tych hotelowych, ale jakoś innymi. (...) Rozległ się łoskot, dobrze mu znany, i ochryple okrzyki, słabe z oddali. Nie rozróżniał słów, lecz zdążył już przyswoić sobie tekst. Słyszał go przedtem we snach i na jawie.

Przystanął – mały chłopczyk przed niespełna trzema laty chodzący jeszcze z pieluchą – i spróbował stwierdzić, gdzie jest, gdzie może się znajdować. Odczuwał lęk, z tym lękiem jednak dało się żyć. Bał się co dzień o dwóch miesięcy, a strach jego przybierał rozmaite postacie, od tępego niepokoju do absolutnego, paraliżującego przerażenia. Z tym lękiem dało się żyć. Ale chciał wiedzieć, dlaczego Tony przyszedł i woła go po imieniu w tym korytarzu niebędącym częścią świata rzeczywistego ani krainy snów, w której czasami coś mu ukazywał. Dlaczego, gdzie... (L, s. 333)

King umieszcza swoich bohaterów w momencie próby – skupia się na ich odczuciach, ładunek emocjonalny przedstawień reprezentujących reakcje postaci jest niezwykle silny. Jak na przykład w opisie Marka, który po traumatycznej wizycie w piwnicy Barlowa:

Głos wydobywał się gdzieś z głębi brzucha, przeciskał przez ciasną szczelinę gardła i wylatywał z szeroko otwartych ust. Krzyczał tak długo, aż poczuł, że czarna mgła zaczyna powoli ustępować z jego mózgu, a w napiętych strunach głosowych pojawił się ostry, przenikliwy ból. Mimo że dał w ten sposób upust szarpiącemu go przerażeniu, rozpaczy, wściekłości i rozczarowaniu, to jednak w ślad za nim z pogrążonej w ciemności piwnicy wydostała się świadomość ogromnej odpowiedzialności, a także wiedza o tym, że gdzieś tam, w dole, w dalszym ciągu czai się Barlow. Poza tym zbliżał się zmierzch. (MS, s. 383)

Pisarz doprowadza swoich bohaterów i czytelników do granicy wytrzymałości, do zatarcia światów:

Danny stał tyłem do drzwi, wpatrzony w punkt, gdzie pod kątem prostym łączyły się korytarze. Ciągły nieregularny łoskot młotka uderzającego o ściany rozbrzmiewał coraz głośniejszy. To coś, co go ścigało, wrzeszczało, wyło i klęło. Sen i rzeczywistość zlewały się w jedno.

To coś wyszło zza rogu. (L, s. 339)

I choć wiemy, że mały chłopiec swoje lęki przeżywa w hotelowych korytarzach wykreowanych przez autora *Sklepiku z marzeniami*, to myśl o czymś, co może ukazać się

niespodziewanie, budzi niepokój nawet u najbardziej doświadczonego znawcy horroru.

King grozę buduje rekwizytami konwencjonalnymi (warto wspomnieć rozważania bohaterów *Miasteczka Salem* na temat uprawomocnionych przez literaturę i filmy sposobów unicestwienia wampira) i niekonwencjonalnymi, sam zresztą wiele z nich usankcjonował swoim pisarstwem jako nieodłączne elementy grozy, żongluje nimi w swojej twórczości, także w tekstach słabszych, które choć ładząco podobne do arcydzieł Mistrza (składają się nieraz z podobnych, niemal identycznych składników fabularnych, rozegranych akcji) razić mogą wnikliwych czytelników sztampowością i powtarzaniem wątków, opisów etc. Bo niestety zauważyć można u Kinga popadanie w schematyzm, czy mówiąc inaczej, wykorzystywanie sprawdzonych sposobów pisarskich. Nie będę wskazywała konkretnie tych słabszych miejsc, zaznaczam jedynie, że zachwycając się Kingiem, nie jestem wobec niego bezkrytyczna. I Mistrzowi zdarza się mieć gorszy dzień.

Warto zwrócić jednak uwagę na to, co najlepsze – co sprawia, że Kinga można nazwać mistrzem. Tym czymś jest opowieść – konstruowana przez pisarza tak, że pochłania czytającego całkowicie – jej elementy, zależności pomiędzy nimi korelują ze sobą, czyniąc rzeczywistość wykreowaną przez Kinga światem ze wszech miar pasjonującym, przerażającym i zapadającym w pamięć. Oddajmy na koniec głos Kingowi, w słowie od Autora zamieszczonym w *Nocnej zmianie*, wyznaje on:

Opowieści grozy zawierają wiele elementów, ale jestem głęboko przekonany, że jeden z nich jest najistotniejszy: historie te muszą być opowiadane w taki sposób, żeby przykuć uwagę czytelnika do tego stopnia, iż zagubi się on w świecie, który nie istnieje, który nie ma prawa istnieć. Jako pisarz zawsze uważałem, że utwór powinien posiadać wartość samą w sobie; charakterystyka postaci, temat, nastrój nic nie znaczą, kiedy utwór jest nudny. Jeśli absorbuje twoją uwagę bez reszty, wszystkie inne potknięcia da się wybaczyć. (NZ, s. 21)

I taki jest właśnie King – absorbujący, budzący lęki, prowadzący czytelnika do zatracenia w świecie niepokojów – i to po mistrzowsku.

Cytaty pochodzą z następujących wydań, przywoływane fragmenty opatrzone zostały pierwszą literą tytułu oraz numerem strony umieszczonymi w nawiasie:

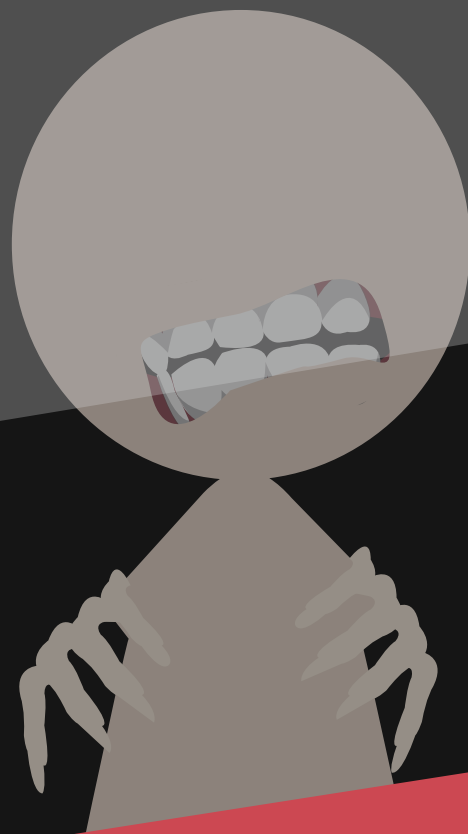
L – *Lśnienie* – wydanie: *Jasność*, przeł. Z. Zinserling, Warszawa 1990.

MS – *Miasteczko Salem*, przeł. A. Nakoniecznik, Warszawa 1991.

NZ – *Nocna zmiana*, przeł. M. Wroczyński, Warszawa 1994.

PRZEKROCZ PRÓG RZECZYWISTOŚCI
BY SPOTKAĆ SIĘ Z PRZERAŻENIEM

LUSTRA ZBRODNI



DO POBRANIA **ZA DARMO**
JUŻ 1-WSZEGO WRZEŚNIA!

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL
ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

